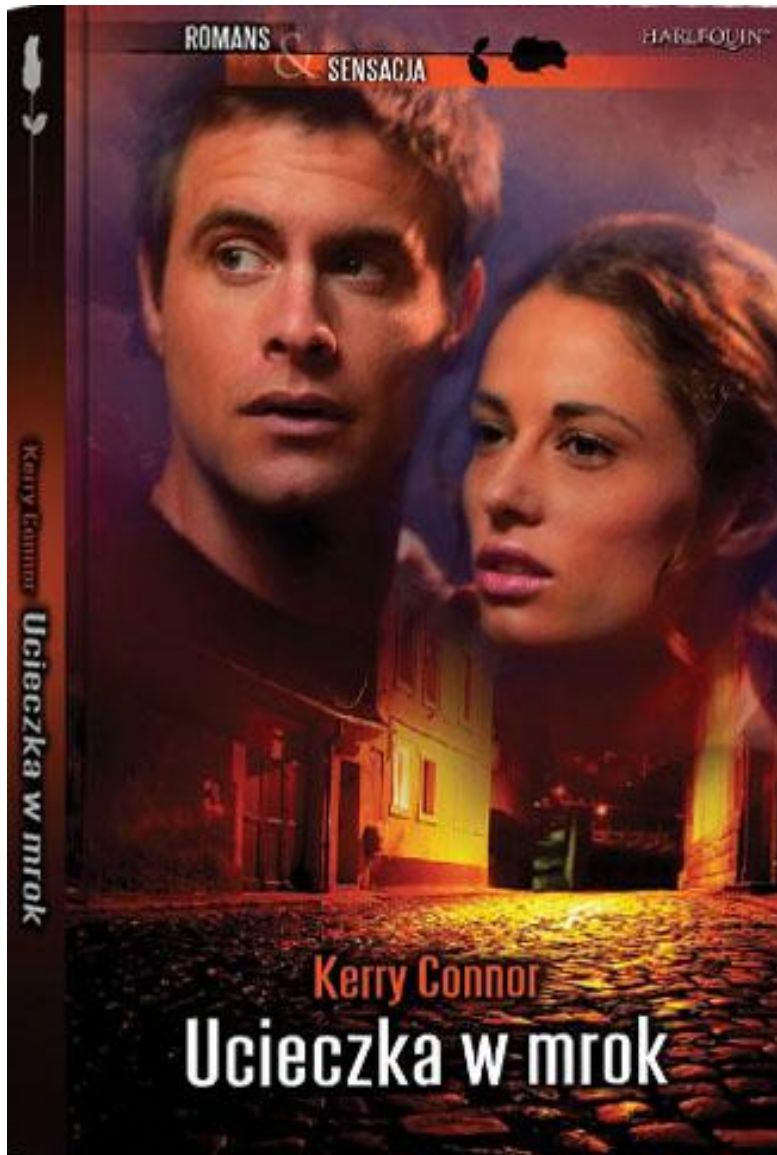


Kerry Connor

Ucieczka w mrok



Pewnego wieczoru przed jedną z potężnych nowojorskich korporacji odgrywa się dramatyczna scena. Szef firmy, Price Chastain, z zimną krwią strzela do Kathleen Mulroney, swojej podwładnej... Jest przekonany, że ją zabił, jednak dzięki natychmiastowej pomocy jednego z ochroniarzy Kathleen zostaje uratowana. Przez kolejny rok jej życie to wieczna ucieczka - używa fałszywych nazwisk, nocuje w motelach. Nikomu nie ufa, a jednak jest zmuszona poprosić o pomoc zupełnie obcego mężczyznę. Tak poznaje Gideona, byłego policjanta i łowcę nagród. Gideon proponuje jej ochronę, jednak w zamian żąda, by wyznała mu o sobie całą prawdę...

PROLOG

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem korporacji Chastaina tuż po dziewiątej wieczorem. Allie przez chwilę siedziała nieruchomo, słuchając, jak krople deszczu bębnią o dach kabiny. Patrzyła w ciemność przez zalane deszczem okno. Widziała mdłe światło nad wejściem. Majaczyło zza zasłony deszczu, a w wąskim zaułku pomiędzy typowym dla Manhattanu wieżowcem a sąsiednim budynkiem panowała kompletna ciemność. Oczywiście zapomniała parasolki. Paskudny dzień. Taksówkarz odwrócił się do niej twarzą.

- Czy na pewno pani nie chce, abym odprowadził ją do wejścia? - zapytał.

Jedyne, czego Allie na pewno nie chciała, to iść tam, gdzie zaraz musiała pójść. Była wykończona. Bolał ją kręgosłup i piekły stopy. Marzyła, aby nie ruszać się z wygodnego siedzenia i pozwolić zawieźć się do domu.

Niestety, popełniła błąd, robiąc bratu uprzejmość i zdobywając dla niego bilety na jutrzejszy mecz Metsów, a potem nieopatrznie zostawiając je na swoim biurku w pracy. Tak to jest, kiedy w piątek po południu człowiek spieszy się, aby jak najszybciej wyjść z biura. Żeby było jeszcze lepiej, chodziło o najwcześniejszy mecz, rozgrywający się wczesnym popołudniem. Po morderczym tygodniu, który miała za sobą, nie było szansy, aby zwlekła się z łóżka przed dwunastą, toteż musiała zabrać te głupie bilety jeszcze dzisiaj wieczorem. Sięgnęła po portfel.

- Dam sobie radę.

- Zaczekać na panią?

- Nie. - Jeśli zapłaci mu teraz za czekanie, może nie starczyć jej na powrót do Queens. Kiedy wyjdzie, złapie nową taksówkę.

Położyła pieniądze na dłoni kierowcy, ignorując spojrzenie, które wyraźnie wyrażało zawód z powodu braku napiwku. Allie wyszła z taksówki, która natychmiast odjechała.

Ruszyła szybko ulicą, mrużąc pod nosem niepochlebne uwagi o bejsbolu i młodszych braciszkach.

Liczyła, że jeśli wejdzie drzwiami służbowymi od tyłu, omijając strażnika w recepcji, załatwi sprawę szybciej. Jeden z nocnych wartowników był niemiłym typem, a nie była pewna, czy nie ma dzisiaj dyżuru.

Deszcz padał dalej i zdążyła już nieźle zmoknąć, kiedy wreszcie zobaczyła przyćmione ulewą światło, palące się nad tylnym wejściem. Z jej ust wymknęło się westchnienie ulgi. Przyspieszyła kroku, sięgając do kieszeni po kartę z kodem do zamka. Właściwie to nie powinna jej mieć, ale ponieważ miała przyjaciół na odpowiednich szczeblach, w tym Nadine z księgowości, więc weszła w nielegalne posiadanie tej karty. Tak naprawdę Nadine również nie przysługiwała karta, lecz Allie nie zamierzała zdradzać tego innym.

Nagle usłyszała jakieś podniesione głosy. Zaskoczona, zmyliła krok i potknęła się o własne nogi. Byłaby upadła, gdyby nie oparła się o ścianę. Znieruchomiała w tej pozycji, niepewna, co robić dalej. Nie słyszała, o czym rozmawiają, lecz głosy wyraźnie dobiegały z przodu - z kierunku, w którym podążała. Ciekawość przeważała i Allie powoli podeszła bliżej. Mogła teraz je rozróżnić. Były ściszone i poirytowane. Ze zdumieniem stwierdziła, że jeden należy do Price'a Chastaina, deweloperskiego potentata, szefa Chastain Corporation. Człowieka, którego nazwisko widniało na jej czeku z wypłatą, choć miała większą szansę zobaczyć go na okładkach prasowych niż w biurze. Zaskoczenie

rosło. Price był ostatnią osobą, której spodziewałaby się w tym miejscu. Drugi głos należał do kobiety. Allie nie rozpoznała go. Kimmolwiek była ta osoba, ostatnie słowo wyraźnie należało do niej. Temperament Chastaina był legendarny, lecz rozmówczyni nie ustępowała mu pola. Allie wspięła się na palce i zerknęła zza rogu w kierunku ukrytego w zaułku wejścia.

Stali tuż przed drzwiami w jasnym kręgu blasku ulicznej lampy. Chastain patrzył kobiecie w twarz.

Nieznajoma, mimo że zwrócona profilem do Allie, dała się łatwo zidentyfikować. Nazywała się Kathleen... jakaś tam... Allie nie pamiętała nazwiska i nie była pewna, w którym dziale ta Kathleen pracuje, ale nieraz widywała ją przelotnie w biurze. Zauważyła, że kobieta trzęsie się cała, pięści ma zaciśnięte i pociemniała z gniewu twarz. Widać było, że ostro stawia się Chastainowi.

Nie byli jednak sami. W pewnej odległości za plecami kobiety stali z obu jej stron dwaj mężczyźni.

Coś w ich postawie świadczyło jednak, że nie znaleźli się tu po to, aby ją wspierać.

Allie przeniknęło niemiłe odczucie. Nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi i nie chciała wiedzieć. Ostatnie, co by teraz chciała, byłoby wmieszanie się w coś, co nie jest jej interesem. Musi się wycofać i spróbować dostać się do biura głównym wejściem. Nagle zapragnęła znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Ostrożnie zaczęła wycofywać się z powrotem za róg.

W tym momencie Chastain wyciągnął broń.

Na ułamek sekundy czas się zatrzymał. Allie zamarła. Kathleen zamarła. Atmosfera, jeszcze przed chwilą iskrząca od gniewnych głosów, zmieniła się w upiorną ciszę.

A jednak czas nie stał w miejscu. Pan Chastain nie próżnował. Wyjął pistolet z kieszeni płaszcza niedbałym ruchem, kompletnie nie pasującym do sytuacji, tym samym leniwym gestem uniósł go i wycelował w pierś kobiety stojącej przed nim. I nacisnął spust.

Jak na filmie, puszczone w odtwarzaczu, który nagle przyspiesza przewijany w przód, wszystko zaczęło się dziać na raz. Stłumiony wystrzał. Eksplozja krwi, która trysnęła na nieskazitelną białą koszulę i płaszcz Chastaina. Głowa Kathleen gwałtownie odskoczyła do tyłu, oczy rozszerzone w szoku i ciało upadające na ziemię.

Znów ta cisza. I tylko jednostajny szum deszczu. W gardle Allie narastał krzyk, rozpaczliwie domagając się ujścia. Nie dopuścił do tego instynkt samozachowawczy. Zaciśnęła kurczowo usta. Nie mogła krzyczeć, nie mogła pozwolić, by ją dostrzeżono.

Stała, skryta w cieniu, bojąc się poruszyć, bojąc się pozostać w miejscu. Patrzyła, jak Chastain powoli opuszcza broń i wkłada ją z powrotem do kieszeni. Morderstwo, pomyślała. Właśnie była świadkiem morderstwa... Allie obserwowała twarz Chastaina, bardziej przerażona tym, co widziała teraz niż tym, co zobaczyła przed chwilą. Żadnego wstrząsu z powodu własnego czynu. Zero emocji, wzburzenia, nic. Nigdy by nie uwierzyła, gdyby nie widziała, jak zabija. Patrzył na ciało kobiety z tak nieobecny wyrazem twarzy, że zwątpiła, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że przed chwilą zamordował człowieka. I nagle na jego twarzy pojawił się przerażająco chłodny uśmiech.

Powiedział coś do dwóch mężczyzn, którzy stali przez cały czas obok kobiety i nie reagowali. Allie stwierdziła z przerażeniem, że nadal tu stoi, że nie ruszyła się z miejsca i że też nie zareagowała. Jest jak sparaliżowana.

Jak długo to trwa? Dziesięć sekund? Parę minut? Stanowczo za długo.

Musi uciekać. Jeśli morderca się obejrzy, zobaczy ją natychmiast. O, Boże. Musi się ruszyć. Musi uciekać.

Wstrzymując oddech, starając się za wszelką cenę nie robić żadnych gwałtownych ruchów, powoli wycofała się zza węgła w zbawczy cień. Dopiero wtedy zaczęła poruszać się szybciej. Odwróciła się gwałtownie i runęła biegiem w mrok, byle dalej od tego miejsca. Biegła tak szybko i wytrwale, iż wydawało się, że będzie uciekać wiecznie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W rok później

Gideon Ross usłyszał odgłos silnika na długo przedtem, zanim samochód wyłonił się z krętej górskiej drogi. Od razu wiedział, dokąd zmierza. Droga prowadziła tylko do jednego miejsca - do jego chaty. Przez całe dni żaden samochód nie mącił ciszy, nie licząc comiesięcznych dostaw ze sklepu w miasteczku u podnóża gór. Po paru tygodniach bezskutecznych prób mieszkańcy zrezygnowali z zagadywania odludka i dali mu spokój. Dom był zbyt oddalony, a oni nie mieli ochoty się wysilać. Doszli do tego wniosku zbyt późno jak na wymagania Rossa. Nie po to kupił w Adirondacks posiadłość oddaloną od ludzkich siedzib, żeby zawierać znajomości. Wprowadził się tam, żeby ich unikać. Gdyby mógł zrezygnować z dostaw, nie ryzykując śmierci głodowej, z chęcią by to uczynił. Od początku wiedział, że pojazd pnący się po serpentynach nie jest furgonetką dostawczą. Dobrze znał odgłos jej silnika. Ten pomruk, złowieszczy i narastający, brzmiał inaczej. Podniósł do ust butelkę piwa, wysączył z niej ostatnie krople i cisnął na podłogę za sobą. Siedział z nogami opartymi na poręczy werandy, w krześle odchylonym do tyłu i opartym na dwóch nogach, z rękami złożonymi za głową. Do licha z tym. Nie pozwoli, żeby jakiś idiota zrujnował mu dzień. Jesienne popołudnie było zbyt piękne - ciepłe, łagodne, słoneczne.

Samochód, najnowszy model buicka - odnotował ten fakt odruchowo, na słuch - zatrzymał się przed chatą. Silnik umilkł i po chwili usłyszał kroki idące pod górę. Nie raczył zsunąć z twarzy rybackiego kapelusza, którym chronił się przed słońcem, żeby zobaczyć, kogo diabli niosą. Wiedział swoje bez patrzenia. Kimkolwiek był ten ktoś, z pewnością nie znał go, bo inaczej nie

ryzykowałby naruszenia świętego spokoju Gideona Rossa. Paru nieopatrznie spróbowało to zrobić i gorzko potem żałowało. Buty zachręściły na kamienistym gruncie i za moment zadudniły na schodkach werandy. To musiał być mężczyzna albo kobieta chodząca męskim krokiem. Sądząc po ciężkim stąpieniu, raczej sporo ważący mężczyzna.

Ross stłumił gniewne sapnięcie, nie chcąc burzyć wrażenia, że śpi. Stare nawyki niełatwo zanikają, a rok bezczynności nie stłumił w nim nawyku do automatycznego analizowania każdego szczegółu. Dopóki gość nie miał wobec niego wrogich zamiarów, nie obchodziło go, kim jest. Sam stanowił łatwy cel, ale nadal żył. To już było coś.

- Może byś tak przestał udawać i zaproponował spragnionemu łyka?

Głos był znajomy, ale przez to wcale nie bardziej mile witany, niż gdyby należał do obcego. Napięcie ścisnęło mu żołądek, likwidując piwny rausz, w którym trwał przez całe popołudnie.

- Więc jak? - nalegał głos.

- Nie.

Balustrada werandy zatrzeszczała, gdy Ken Newcomb ciężko się o nią oparł.

- To kiepsko. Nie po to tłułem się tu przez sześć godzin, żebyś mnie zbywał.

- W mieście jest kupa miejsca, gdzie można się napić piwa.

- Ale ty tkwisz w samym środku cholernej dziczy.

- Mam powód.

- Tak, bo odbiło ci w tym twoim popieprzonym łbie.

- Chciałem, żeby wszyscy dali mi spokój.
- Wierz mi, wołałbym, żeby mnie tu nie było. I nie musiałbym cię osobiście nawiedzać, gdybyś miał telefon.
- Nie mam ochoty ani potrzeby z nikim gadać.
- Zaraz nabierzesz. Mam dla ciebie zajęcie.
- Nie jestem zainteresowany.
- Będziesz.
- Wygasła mi licencja. Musisz znaleźć sobie innego łapacza.
- Nie potrzebujesz licencji. To nieoficjalne zajęcie. Chodzi o osobistą sprawę. Tego właśnie Ross się obawiał.

Wreszcie odsunął kapelusz z twarzy i popatrzył na gościa. Detektyw z nowojorskiej policji kryminalnej miał twarz pociemniałą i pobrużdżoną jak wygarbowana skóra; chyba właśnie w ten sposób wytrawiła na niej swój ślad każda sprawa, którą parał się w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy. Ross miał wrażenie, że w ciągu zaledwie czternastu miesięcy, kiedy widział Newcomba po raz ostatni, detektyw posunął się o dobre pięć lat. Na czole i wokół oczu pojawiły się nowe zmarszczki. Oczy lśniły gorączkową emocją.

Supel w żołądku Rossa zacisnął się mocniej. Cokolwiek to się okaże, sprawa jest na pewno ciężka. Tym trudniej będzie odpowiedzieć odmownie.

Co nie znaczy, że tego nie robi.

Ross milczał, więc Newcomb kontynuował.

- Słyszałeś kiedyś o Chastainie?

Price Chastain. Już samo nazwisko wystarczyło, by unicestwić resztkę świętego spokoju, który naruszyło przybycie Newcomba.

- Słyszałem.

- Proces zaczyna się za parę tygodni. Liczę, że zjawisz się z tej okazji w mieście.

- Newcomb, ile razy prokurator okręgowy stawiał Chastaina w stan oskarżenia? Moment zawahania Newcomba mówił sam za siebie.

- Cztery.

- A ile wyroków dostał?

- Żadnego.

- Sam więc rozumiesz, dlaczego i tym razem nie mam zamiaru gonić do miasta z wywieszonym językiem.

- Tym razem jest inaczej. Tym razem go mamy.

- Słyszałem to już poprzednio.

- Mamy nagranie.

Ross przez moment przetrwał tę rewelację - bardziej nawet zwróciło jego uwagę podniecenie w głosie detektywa niż same słowa. Nie zamierzał robić Newcombowi nadziei, ale musiał przyznać, że zainteresował się owym nagraniem.

- Mów.

- Co wiesz o sprawie?

- Niewiele tu słyhać na moim odludziu - odpowiedział przeciągle Ross.

- Denatka to Kathleen Mulroney, sekretarka w jego firmie. W piątek wieczorem ostatniego dnia września nakrył ją, kiedy usiłowała wynieść z budynku skopiowane przez siebie dokumenty. Nie wiemy, co w nich było. Zagięły, zanim został aresztowany. W systemie komputerowym sprawdzono, że zdobyła dostęp do tajnych plików, lecz Chastain zdażył je usunąć, zanim do nich dotarliśmy. Sądzymy, że trafiła na dowody jego brudnych interesów.

- Nie macie konkretnego motywu.

- Nie musimy. To, co mamy, powinno wystarczyć. Ross postanowił na razie wstrzymać się z komentarzem.

- Dalej.

- Musiał ją już wcześniej podejrzewać, gdyż czekał na nią przy tylnym wyjściu z biura. Zatrzymał ją, kłócili się, a potem strzelił jej prosto w pierś.

- Drań sam ją załatwił? - To było zbyt dobre, aby mogło być prawdziwe. Dlatego Ross nadal nie mógł uwierzyć.

- Dokładnie. Może w porywie szału, a może w poczuciu totalnej bezkarności. Nigdy nie udało nam się czegokolwiek mu udowodnić. Jedno morderstwo więcej, cóż to dla niego.

- I macie wszystko nagrane?

- Chastain nie wiedział, że w budynku po drugiej stronie ulicy zainstalowano nowy system bezpieczeństwa. Kamera nad tylnym wejściem rejestrowała wszystko, co działo się w uliczce. Gdyby nie to, Mulroney stałaby się kolejną osobą związaną z Chastainem, która znikła bez śladu. Nigdy nie zdołalibyśmy powiązać go z tym przypadkiem. - Newcomb potrząsnął głową. - Pięć lat śledztwa i wreszcie dorwaliśmy go tylko przez głupi traf!

- Zawsze tak jest - mruknął Ross.

Newcomb, wyczuwając jego brak entuzjazmu, zaczął tłumaczyć:

- Mamy wszystko. Chastaina zatrzymującego Mulroney wychodzącą z budynku. Kłótnię. Chastaina, który do niej strzela. Dwóch jego ludzi usuwających ciało...

- Jakich ludzi?

- Gość, o którym nigdy nie słyszałeś, nowy pracownik Chastaina, Pete Crowley. - Newcomb patrzył teraz prosto w oczy Rossa. - I Roy Taylor.

Lodowaty dreszcz spłynął Rossowi po krzyżu.

- Dlaczego tu przyjechałeś, Newcomb?

- Taylor zwiął z miasta.

Nie musiał już nic więcej mówić. Obaj wiedzieli. Te parę słów powiedziało Rossowi wszystko, co chciał wiedzieć, i gwarantowało jego pełną współpracę. Zaklął szpetnie - dokładnie tak, jak spodziewał się tego Newcomb. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu detektyw uśmiechnął się -szeroko, z satysfakcją.

Ross szybko przymknął oczy. Bał się, że jego zaciśnięta pięść zaraz wyląduje na tej szczerzącej się klawiaturze.

Rossa nosiło. Wyciągnął z lodówki kolejne piwo i podważył kapsel kciukiem. Nie było szansy, aby powrócił przyjemny rausz, ale jeśli musiał się napić, to na pewno teraz. Żałował, że nie ma pod ręką czegoś mocniejszego.

Wypił pół butelki jednym haustem, niecierpliwie wyczekując, aż Newcomb wreszcie wyjdzie z łazienki. Detektyw guzdrał się

tak, jakby jadąc do niego pochłoniął hektolitry wody lub przez cały czas żłopał kawę z termosu.

Ross czuł, że jakaś część jego duszy buntowała się i miał ochotę natychmiast odesłać kłopotliwego gościa tam, skąd przyjechał i zapomnieć o wszystkim, co mu powiedział. Wchodzenie z powrotem w to bagno było ostatnią sprawą, na jaką miał ochotę. Wreszcie udało mu się wyrwać stamtąd i kupić ten bezludny skrawek ziemi na końcu świata, o czym marzył od lat, i totalnie odciąć się od swojego zawodu. W ciągu ostatniego roku udało mu się przynajmniej znaleźć ukojenie, jeśli nie spokój. Koniec z szukaniem tropów w miejscach, od których normalny człowiek trzymałby się z daleka; koniec z lawirowaniem w przestępczym światku i wśród przepracowanych, niedowartościowanych stróżów prawa, zaludniających Nowy Jork. Tu miał święty spokój i wszystko, czego mu było potrzeba do szczęścia.

Wszystko poza jednym: Price'em Chastainem za kratkami.

Ross znów podniósł butelkę do ust. Alkohol, gładko spływając mu do gardła, zaledwie lekko rozgrzewał żołądek. Uczucie nieporównywalne do gniewu, który rozpalał mu mózg do czerwoności na myśl, że Chastain wreszcie dostanie to, na co zasłużył.

Price Malcolm Chastain, a naprawdę Gary Allan Paine, własnym wysiłkiem dochrapał się tytułu króla deweloperów i był właścicielem znacznej części trzech okręgów. Oprzemysłowy sławą swojej fortuny arywista ze społecznych dołów nie cofał się przed najbardziej podłymi zagraniami, byle zwiększyć swój stan posiadania. Przebiegły cwaniak, powiązany niezliczonymi mackami ze światem przestępczym.

To on kazał zabić Jeda Walsha - człowieka, który nauczył Rossa wszystkiego, co sam wiedział. Jed był jedynym

człowiekiem, który wyciągnął do niego pomocną dłoń, kiedy jako mały dzieciak usiłował przetrwać okrutną szkołę ulicy.

Oczywiście ani Chastainowi, ani Taylorowi, szefowi jego ochrony, nie udowodniono niczego w związku ze śmiercią Jeda, choć wszyscy wiedzieli, jak było naprawdę. Zawsze tak działo się z Chastainem. W ciągu lat wielu ludzi, którzy stanęli mu na drodze, kończyło śmiercią w niewyjaśnionych okolicznościach. Wszystkie kłopoty spływały po tym człowieku jak woda po kaczce. Policja stale siedziała mu na karku. Nowojorski oskarżyciel generalny chciał go mieć żywcem. Prokurator, cztery razy wyprowadzony przez Chastaina w pole, dałby się pokroić za dowody przeciwko niemu.

I nic się nie udawało. Ross nie był tak naiwny, by liczyć, że złych chłopców w końcu spotka zasłużona kara. Choć świadomość ta była bolesna, musiał wreszcie przyjąć do wiadomości, że nie ma szans na rozpracowanie Chastaina.

Ale może tym, razem należałoby jednak przywołać dawny optymizm?

Drzwi łazienki otwały się i Newcomb wszedł do salonu, dopinając pasek i ogarniając dom

spojrzeniem pełnym aprobaty.

- Nie przypuszczałem, że tak fajnie się tu urządzisz. Sam mam kawałek ziemi w New Jersey i chcę tam osiąść na emeryturze. Może ten dzień nadejdzie szybciej, niż się spodziewałem, co? Wyraz pewności i błysk satysfakcji, jakie pojawiły się w spojrzeniu Newcomba, świadczące, że tym razem jest przekonany o rychłym końcu Chastaina, pogłębiły rozdrażnienie Rossa.

Gdyby to kto inny, a nie Ken Newcomb pokazał się na jego progu, zatrzasnąłby mu drzwi przed nosem. Nigdy nie przepadał za glinami, choć przez całe lata regularnie stawał po ich stronie w

obronie prawa. Zbyt wiele czasu w młodości zajęło mu wodzenie ich za nos, aby mógł czuć się dobrze w tym świecie. Może dlatego był tak dobry w swoim fachu; wiedział, na co stać gorliwego stróża porządku i co może z tego wyniknąć. Lecz Newcomb był głównym detektywem rozpracowującym sprawę Jeda, jak również członkiem elitarniej grupy nowojorskich policjantów i prokuratorów, którzy pragnęli głowy Chastaina równie mocno jak on sam, o ile nie bardziej.

- Kiedy? - zapytał rzeczowo.

- Za dwa dni, tak nam się wydaje. - Newcomb zerknął znacząco na pustą butelkę, którą Ross piastował w dłoniach. - Masz jeszcze?

Ross w jednej chwili znalazł się przy lodówce.

- Tobie się wydaje? Tobie? Twarz detektywa spoważniała.

- Taylor miał stawić się w sądzie wczoraj rano. Adwokat próbował go kryć, ale w dwie sekundy zyskaliśmy pewność, że nie pojawi się więcej w mieście.

- Spóźniliście się o dobre parę godzin. Powinniście przydzielić mu kogoś. Było do przewidzenia, że ucieknie. W ogóle nie należało go wypuszczać za kaucją.

- To wiesz ty i ja też. Ale spróbuj powiedzieć to sędziemu. Ross z hukiem postawił butelkę na stole przed Newcombem.

- Kto to jest?

Detektyw pokręcił głową i sięgnął po piwo. Ross już wiedział, o co naprawdę należy spytać. Chastain wywijał się wymiarowi sprawiedliwości zbyt długo, by po drodze nie posmarować tyłu rąk, ile było trzeba.

- Sędzia Bernstein. Katapultuje się ostro w górę - odpowiedział wreszcie Newcomb. - Twardy, służbisty typ. Prokurator okręgowy jest zadowolony, że wyznaczono właśnie jego. Zresztą bardziej interesuje nas Chastain. On ma o wiele więcej do stracenia.

- Dowody są takie mocne? - Znając mistrzostwo, jakie wykazywał Chastain, wymigując się z sądowych zarzutów, Ross nie potrafił sobie wyobrazić, iż zdecyduje się na mało komfortowy żywot uciekiniera. Chyba że tym razem przeczuwał klęskę, ale Chastain nie zwykł był łatwo się poddawać. Newcomb zaczął wyliczać dowody na palcach:

- Znaleźliśmy krew na jego garniturze i płaszczu. No i mamy nagranie.

- Wystarczająco dobre?

Newcomb pociągnął łyk, zanim odpowiedział. Po raz pierwszy Ross wyczuł wyłom w niezachwianej pewności detektywa.

- Jakie jest?

Odpowiedziało mu westchnienie.

- Nie mamy ciała, choć świadkowie widzieli tej nocy Taylora zrzucającego coś do rzeki. Na nagraniu z kamery przemysłowej nie ma oczywiście dźwięku, co nie ułatwia wykrycia motywu. Ponadto tego wieczoru mżyło i adwokat Chastaina będzie usiłował udowodnić, że obraz nie jest na tyle wyraźny, by stwierdzić coś z całą pewnością. Zrozumiała wątpliwość, przynasz. Zresztą znasz te chwytły. Facet będzie próbował wszystkiego w obronie swojego klienta.

- Czyli stara historia, co?

Newcomb zgromił go spojrzeniem nabiegłych krwią oczu.

- Facet wyciąga broń, strzela jej z bliska w pierś, ona pada, tamci odciągają ciało. Wszystko tam jest, czarno na białym. Fakt, przydałby się świadek naoczny, ale i tak mamy najmocniejszą pozycję startową od lat.

- Dlaczego uciekł Taylor, a nie Chastain? Newcomb chciwie pociągnął łyk i sapnąwszy z niekłamaną satysfakcją, odstawił butelkę.

- Może Chastain nadal myśli, że i tym razem się wymiga. A Taylor to tylko wynajęty zabójca. Tamten kapnął się, że sprawa nie wygląda za dobrze. Miał do wyboru: sypanąć Chastaina albo wiać. Ale żaden gość, który próbował sypanąć szefa, nie przeżył tego.

- O kim mówisz?

- O Crowleyu, który tamtego wieczoru pomógł Taylorowi usunąć ciało Mulroney. Dawał do zrozumienia, że chciałby porozmawiać z prokuratorem. A potem znaleziono go martwego. Wszyscy wiedzą, kto to zrobił.

- Ale nie ma możliwości udowodnienia. Newcomb zabębnił palcami po butelce.

- Czyli po śmierci Crowleya tylko Taylor miał zasiąść z Chastainem na ławie oskarżonych - ciągnął

Ross.

- I pewnie Taylor uznał, że tym razem jego szanse na uniknięcie wyroku są kiepskie.

- Kto prowadzi śledztwo? Oficjalnie, rozumie się.

- Wes Miller.

Ross kiwnął głową. Kolejny łowca nagród.

- On jest dobry. Nie powinien mieć trudności ze znalezieniem Taylora. Nie jestem ci potrzebny.

- Miller jest dobry. Ty jesteś najlepszy.

- Jed był najlepszy.

- I nauczyłem cię wszystkiego, co sam wiedział. Co ważniejsze, ty jesteś bardziej zmotywowany niż Miller, który robi to tylko dla kasy. Traktujesz sprawę osobiście. Pragniesz dorwać Taylora jeszcze bardziej niż Chastaina i nie ustanieś, dopóki nie pošlesz go tam, gdzie jego miejsce. Obaj wiemy o tym. Dlatego tu jestem.

Do diabła! Newcomb za dobrze go zna. Wie, że choć mózgiem był Chastain, dla Rossa bezpośrednio odpowiedzialnym za śmierć Jeda na zawsze pozostanie Taylor.

Na moment przestał kontrolować swoje emocje. Kiedy uniósł wzrok nad stołem, zobaczył wpatrzony w siebie, triumfalne spojrzenie Newcomba.

- Więc zrobisz to?

Słowa automatycznie wyszły z jego ust.

- Zrobię.

Ross nie był pewien, kogo zamierza przekonać. W głębi duszy, choć nie chciał się do tego przyznać, pragnął wejść do gry. Nie był w stanie pomóc Jedowi, uratować mu życie; nie był w stanie sprawić, by morderca zapłacił za swój czyn. Ale mógł spróbować. Był w tym dobry, bo Jed nauczył go, jak ścigać morderców.

Jeśli miał być ze sobą całkowicie szczery, musiał przyznać, że czekał na tę możliwość. Spokój okazał się cholernie dręczący.

Newcomb uśmiechnął się i rzekł, wolno cedząc słowa:

- Jeśli tylko dowody okażą się wystarczające, Taylor jest twój.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Dobranoc, Connie - powiedział pan Mortimer, przepuszczając ją do wyjścia w drzwiach apteki. - Do zobaczenia jutro.

- Dobranoc - odpowiedziała cicho Connie Baker i wyszła na zasnutą deszczem ulicę.

Nie przyjdzie do pracy ani jutro, ani w ogóle. Nazajutrz rano będzie już daleko od Chicago i zapomni o swoim krótkim pobycie tutaj i panu Mortimerze, który zacznie zachodzić w głowę, co stało się z jego młodą kasjerką. Connie Baker przestanie istnieć; kolejne nazwisko, które zniknie i już się nie pojawi, jak tyle innych przed nim. Beth Roberts, Lisa Greene, Allie Freeman. Kolejna kobieta, która po prostu rozplynie się w niebycie, aby zmaterializować się w nowym miejscu.

Nie rozumiała, czemu tak trudno przyszło jej tym razem skłamać człowiekowi, którego okłamywała od samego początku. Nie znał jej prawdziwego nazwiska, nic nie wiedział o jej przeszłości. Znał tylko starannie wymyślony życiorys, który wybrała na jego użytek i ani krztyny prawdy.

Nawet na koniec nie potrafiła powstrzymać się od jeszcze jednego kłamstwa, choć ten człowiek okazał się dla niej nadszpodziewanie życzliwy, a przecież sądziła, że zdołała całkowicie uodpornić się na najmniejszy przejaw ludzkiej troskliwości. Louis Mortimer od czterdziestu lat prowadził aptekę w tej dzielnicy Chicago i tu wraz ze swą nieżyjącą już żoną dochował się trójki dzieciaków. Dał jej szansę, nie pytając prawie o nic, wyczuwając, że przed czymś ucieka. Zaczęła się odwracać. - Panie Mortimer, ja...

Przeciągły huk grzmotu - końcówka burzy, która przetoczyła się niedawno nad miastem, bądź zapowiedź nowej - zagłuszył jej

słowa. Kiedy ucichł, aptekarz już zamknął drzwi. Ogarnęła ją fala smutku. Nie wiedziała, czemu. Aptekarz nie był pierwszą osobą, której nie dała szansy normalnego pożegnania. I pewnie nie ostatnią.

Znów zagrzmiało. Uniosła twarz ku niebu i zobaczyła zygzak błyskawicy przecinający aksamitną ciemność. Było jasne, że nadchodzi kolejna burza. I kolejny powód, aby znów się spieszyć. Mgła zaścieliła ulice, zasłaniając sklepy, zamykane na noc. Idealna pogoda na Halloween, pomyślała. To również nie podziało ją, kojąco na jej skołatane nerwy.

Szła szybko, ścigana zimnym wiatrem, wgrzyzającym się pod cienki płaszcz i przenikającym do kości. Nie martwiła się, że natknie się na kogoś. O jedenastej, we wtorkowy wieczór, na ulicach widziało się bardzo niewiele przechodniów. Poza barem na pobliskim rogu wszystko było już nieczynne. Pan Mortimer stale martwił się, że wraca sama po nocy i często proponował, że odwiedzie ją do domu. Przekonywała go jak umiała, że wszystko jest w porządku. A jednak dziś nie mogła przemóc dręczącego lęku,

który przenikał jej kręgosłup lodowatymi podmuchami i kazał wpatrywać się w mętny mrok czujniej niż zwykle. Dziś, bardziej niż w poprzednie dni była świadoma zagrożenia. Zdawało się osaczać ją, zamykając się wokół niej ciaśniej z każdą chwilą, jak wszechobecna mgła.

Pilnie śledziła przebieg śledztwa w sprawie Chastaina, co parę dni czytając porcję nowojorskiej prasy w najbliższej placówce Chicagowskiej Biblioteki Publicznej. Właśnie dziś rano dowiedziała się, że Roy Taylor zniknął z miasta na dwa tygodnie przed procesem - i wiedziała, dlaczego. Bo musiał ją ściagać. Wątpiła, by zdecydował się na tak ryzykowny krok, gdyby nie wpadł na jej trop. A to oznaczało, że musi jak najszybciej wyjechać z Chicago.

Minęła bar, zbyt zatopiona w myślach, by odnotować blask i gwar za szybami. Powinna zniknąć zaraz po przeczytaniu tego artykułu, zwłaszcza że miał datę sprzed paru dni. Teraz to wiedziała. Postanowiła zaryzykować pozostanie o jeden dzień dłużej, aby dociągnąć do tygodniowej wypłaty. Suma, którą zdołała dotąd odłożyć pozwoliłaby jej wyjechać z miasta, ale nie na tyle daleko, by poczuć się bezpiecznie.

Mogła tylko mieć nadzieję, że ten jeden dzień nie okaże się dramatycznym błędem.

Nie zdawała sobie dokładnie sprawy, co ją ostrzegło. Może cień, który majaczył tam, gdzie nie powinno być niczego, a może ciche szurnięcie buta o chodnik na pustej na oko ulicy. W każdym razie nagle pojęła, że nie jest już sama.

Ktoś skradał się za nią.

Serce podskoczyło jej do gardła. Z najwyższym trudem zmusiła się, by nie przyspieszyć kroku. Nie była w stanie określić, gdzie i jak daleko od niej znajduje się prześladowca. Ale starała się usłyszeć cokolwiek pomimo głośnego łomotu serca.

Był za nią.

Jak blisko?

Dwa metry?

Dziesięć?

Nie sposób było powiedzieć dokładnie. W ułamku sekundy mógł zaatakować.

Jedyną przewagę stanowił fakt, iż nie zdawał sobie sprawy, że ona już o nim wie. Zamierzał działać z zaskoczenia. W tej sytuacji mogła tylko uprzedzić go i zaatakować pierwsza.

Jej mózg gorączkowo rozważał szanse. Nagle przypomniała sobie, że w odległości niespełna piętnastu kroków przed nią znajdowała się mała boczna uliczka, jeszcze niewidoczna we mgle. On nie mógł o tym wiedzieć. I to ich różniło.

Biegając, liczyła w myśli kroki, mając nadzieję, że dobrze oceniła odległość. Jeden. Dwa. Trzy... Oddech palił w gardle.

Jest!

Szybko!

Błyskawicznie skręciła za róg i niemal natychmiast usłyszała stłumione przekleństwo, a potem tupot kroków, skręcających w zaułek.

Nie obejrzała się i nie zwolniła nawet na chwilę. Uliczka była ciemna, wilgotna i wyboista, cuchnąca śmieciami i ściekami. Nie zwracała na to uwagi, nie słyszała pościgu za sobą, nie słyszała niczego, tylko łomot własnych stóp na chodniku. Ciasne ściany odbijały go echem. Ścigający nie mógł ocenić, jak daleko jest przed nim.

Gorzej, że sama nie wiedziała, gdzie jest koniec uliczki. Szersza ulica, którą przecinała, była willowa, z latarniami. Dlatego pędziła dalej przed siebie, przez ciemność i ku ciemnościom. Nie widziała końca, aż nagle odór zniknął i poczuła prąd powietrza z wywietrznika klimatyzacyjnego. Otworzyła się przed nią teraz nowa przestrzeń.

Nadal nie zwolniła. Jej apartamentowiec znajdował się po lewej, lecz odbiła w prawo, ku dobrze oświetlonej dzielnicy handlowej, z której rozpoczęła ucieczkę. Nie powinien liczyć, że to zrobi. Oczekiwał raczej, że skieruje się tam, dokąd pierwotnie podążała. Tak jak chciał. Łatwiej było mu dopaść ją w bardziej wyludnionym miejscu, gdzie nie będzie mogła liczyć na pomoc przypadkowego przechodnia. Dlatego nie zaatakował jej na ulicy,

tylko czekał, aż zbliży się do swojego domu. A tego właśnie nie zrobiła.

Znów skręciła w prawo, w kolejną przecznicę, potem w następną, klucząc w labiryncie bocznych alejek, które powinny doprowadzić ją do punktu wyjścia - tam, gdzie znajdował się bar, a w nim ludzie. Tylko tam będzie bezpieczna, gdyż nie ośmieliłby się zaatakować jej przy świadkach. Nie chciał przecież ściągnąć sobie na głowę policji, podobnie zresztą jak ona. Byle do baru! Kiedy wreszcie dojrzała z daleka jarzącą się poświatę barowego neonu, sygnalizującego główną ulicę, zdobyła się na ostatni wysiłek, pędząc ku niemu jak ku zbawieniu. Znalazła się tam w parę sekund, z dziko walącym sercem i nagłym zastrzykiem nadziei i adrenaliny, buzującym w żyłach. Ostatni zryw, skręciła za róg... I wpadła na ścianę.

Chlust lodowatej wody byłby mniejszym szokiem.

Odskoczyła w tył, tracąc równowagę. Jakieś dłonie chwyciły ją mocno za przedramiona.

Zaskoczona i przerażona, uniosła głowę, ale zobaczyła jedynie groźną sylwetkę, majaczącą nad nią.

Zresztą nieważne. Twardy, nieustępliwy chwyt kazał zapomnieć o ucieczce.

Powinna wiedzieć, że Taylor nie będzie sam.

A ten jest jednym z nich. Kim innym miałby być?

Jej członki znieruchomiały, jakby dotknął je paraliż, właśnie wtedy, kiedy powinna walczyć. Po tak długiej ucieczce nie potrafiła przyjąć do wiadomości oczywistej prawdy. Dopadli ją wreszcie.

- Rozmawiałeś się z nim. Wyszedł niecałe dziesięć minut temu.

Ross ledwie słyszał głos barmana, tłumiony przez głośny gwar, ale wyraźnie rozumiał sens słów. Zmełł w ustach przekleństwo. Nie chciał zniechęcić do siebie tego człowieka, który posiadał cenne dla niego informacje. Musiał poczekać z dalszymi pytaniami. Barman odwrócił się, aby napełnić szklanekę mężczyźnie z drugiego końca lady. Mały lokalny bar był zdumiewająco zatłoczony jak na wtorkowy wieczór. Barman i jedna jedyna kelnerka uwijali się, aby obsłużyć gości. Ross miał szczęście, że facet w ogóle zechciał poświęcić mu chwilę uwagi, zwłaszcza iż nie zamówił drinka. Niecierpliwość nagliła go nieznośnie. Był wściekły, że zdołał namierzyć Taylora aż do tego miejsca, aby go stracić po głupich dziesięciu minutach. Jak na kogoś, kto się ukrywa, Taylor potrafił świetnie zacierać za sobą ślady, przemierzając się nietypową trasą z Nowego Jorku do Chicago. Od chwili, kiedy zaczął go ścigać, Ross potrzebował zaledwie paru dni na zbliżenie się do swojej zdobyczy.

Wreszcie barman znów znalazł się przed nim. Ross skinął na niego.

- Jak długo ten gość tu był? - zapytał, pukając palcem w zdjęcie Taylora, które położył na ladzie. Barman wydał z siebie znużone westchnienie, od którego zatrzęsł się wydatny brzuch i przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Jakieś trzy godziny. Siedział tam, przy stoliku pod oknem. Wypił cztery piwa.

- Był sam?

- Taa. Po prostu sobie siedział. Nie gadał wiele. Patrzył przez okno.

- Wyszedł sam?

- Nie widziałem, jak wychodził. Kiedy się odwróciłem, już go nie było.

Spojrzenie barmana powędrowało po sali, kontrolując gości i Ross wiedział, że mężczyzna za moment zapomni o nim. Stwierdziwszy, że niczego więcej już się nie dowie, wyjął portfel i zostawił napiwek na ladzie. Mężczyzna przyjął go bez słowa. Ross odwrócił się i wyszedł.

Na ulicy rozejrzał się w obu kierunkach, usiłując dociec, dokąd mógł udać się Taylor. Jak okiem sięgnąć, nie było nikogo. Po lewej znajdowało się kilka sklepów z zaciągniętymi żaluzjami. Dalej pralnia samoobsługowa i apteka. Nic, co mogłoby potencjalnie zainteresować mordercę.

Po prawej ciągnęły się kamienice i apartamentowce. W większości okien nie paliły się światła.

Mieszkańcy spali w bezpiecznym zaciszu swoich sypialni.

Uwaga barmana, że Taylor wciąż patrzył przez okno, zaniepokoiła Rossa. Zamiast wybrać bezpieczniejsze miejsce w głębi lokalu, gdzie nie mógł być dostrzeżony z ulicy, zdecydował się na ryzykowną opcję. Wiedząc, że Taylor jest zbyt ostrożny, by narażać się bez potrzeby, Ross uznał, że wyjaśnienie jest tylko jedno - musiał kogoś śledzić. Bez wątpienia osobę, za którą dotarł w pościgu aż tutaj.

Ross mógł przypuszczać, że o tej porze ktoś będzie raczej zmierzał w stronę domów niż nieczynnych placówek po lewej, toteż podążył na prawo.

Zatopiony w myślach, o ułamek sekundy za późno usłyszał zbliżający się stukot biegnących kroków. Instynktownie uskoczył w bok, lecz nie na tyle szybko, by nie zderzyć się z kimś, kto wypadł na niego wprost z mroku.

Automatycznie wysunął ręce, aby podeprzeć tę osobę. Jedno dotknięcie wystarczyło, by wiedział, że ma do czynienia z kobietą.

Kiedy uniosła głowę, fala ciemnych włosów odpłynęła z jej twarzy. Za jego plecami blask latarni przesiewał się przez mgłę, pozwalając dostrzec każdy szczegół.

Wielkie przerażone oczy zamrugały na jego widok. Czując, że kobieta się spręża, zacieśnił chwyt. Błyskawicznie omiół spojrzeniem okolice i dostrzegł uliczkę, z której wybiegła, tak skrytą w cieniu, że inaczej w ogóle by nie zauważył jej wylotu.

Czuł pod kciukami jej puls; przyspieszony łomot serca tętnił pod warstwami ubrania. To, w połączeniu z zaszczutym spojrzeniem uświadomiło mu, że kobieta jest śmiertelnie przerażona. Z jego powodu?

Milczała, więc zapytał łagodnie: — Czy dobrze się pani czuje?

Upłynęła sekunda i strach w jej oczach złagodniał, zastąpiony przez zmieszanie. Zamrugała bezradnie i potrzęsnęła głową, jakby usiłowała oczyścić umysł. Zastanawiał się, czy brała coś, ale zaraz porzucił tę myśl. Spojrzenie miała wyraźne i skupione, czujnie lustrujące jego rysy w poszukiwaniu czegoś -przypuszczał, że próbowała przypomnieć sobie, czy go zna. Widać nie doszła do żadnych wniosków. Ross, który nigdy nie zapominał twarzy, był pewien, że się nie znają.

- Nie jesteś jednym z nich - mruknęła, a słowa zaszeleściły jak słaby powiew wiatru. Coś jednak było w jej głosie...

- Jednym z... kogo? - Pożałował pytania w chwili, kiedy je zadał. Nie chciał wiedzieć, w co jest zamieszana nieznajoma. Miał dość własnych problemów, by przejmować się cudzymi. Powinien jak najszybciej wycofać się z tej dziwnej sytuacji, a nie brnąć w nią dalej. Z każdą sekundą Taylor oddalał się z jego zasięgu.

Zanim zdołała odpowiedzieć, w uliczce, z której niedawno wybiegła, zadudnił odgłos kroków. Nie było wątpliwości, że jeśli ktokolwiek ją ścigał, to właśnie znów się zbliżał.

Oboje odwrócili się w tamtą stronę. W ułamku sekundy niezajoma szarpnęła głową i znów wpatrzyła się w twarz Rossa. Strach w jej oczach ustąpił żelaznej determinacji; przemiana była tak całkowita, że nagle wydała mu się zupełnie inną osobą. Ross wpatrzył się głupio w tę nową postać, stojącą przed nim.

- Pomóż mi - powiedziała głosem równie zdeterminowanym, jak jej mina. - Nie pozwól, żeby mnie znaleźli.

Zdołała zaskoczyć go kompletnie po raz drugi w ciągu tak krótkiego czasu. Nie z powodu żądania czy nagłej, twardej nuty w głosie. Nie, chodziło o akcent, z jakim mówiła, wyraźnie nie pasujący do tego miasta na Środkowym Zachodzie. Pochodziła z Nowego Jorku.

Nie dała mu szansy przemyśleć tego prostego spostrzeżenia. Zerknąwszy jeszcze raz przez ramię, zarzuciła Rossowi ramiona na szyję i mocno przyciągnęła do siebie, jednocześnie wykręcając się tak, że zatoczyli się w stronę wąskiej szczeliny w murze i wtłoczył ją tam swoim ciężarem. Momentalnie pojął, o co chodzi. Każdy, kto wyłoniłby się z alei, przeszedłby obok nich, nie wiedząc nawet, że tam są. A gdyby jednak zauważył?

Wczepiła mu dłonie we włosy i przyciągnęła do siebie jego głowę. Przez moment był pewien, że zacznie go całować. Stary, niemal podręcznikowy numer: udawać, że się jest z kochankiem, aby dezorientować kogoś, kto tropi jedną osobę, nie dwie. Ross był niemal rozczarowany, że zrezygnowała z realizmu sceny.

Jakaś część jego męskiego ego czekała na to, bo nie pamiętał już, kiedy ostatni raz miał kobietę. Ta samotność stanowczo miała złe strony. Czekał na próżno.

Po raz kolejny zbiła go z tropu. Zbliżyła się na tyle, że wyglądało, jakby się całowali, lecz nie na tyle, by zrobić to naprawdę. Trwali przytuleni w ciemnościach, izolowani w kokonie nocy. Widział tylko oczy kobiety. Patrzyły na niego błagalnie, prosząc, aby się nie ruszał, nie wydał dźwięku, nie zdradził ich położenia. Ross nie drgnął.

Nie z powodu tego milczącego błagania. Dlatego, że tembr jej głosu ciągle dźwięczał mu w uszach.

Stwierdził, że ma autentyczny akcent z Bronxu, o ile jeszcze nie stracił językowego słuchu. I w nagłym przebłysku zrozumienia pojął, że to ona jest osobą, którą ściga Roy Taylor.

Natychmiast wydarzenia sprzed paru minut zaczęły układać się w głowie Rossa w jeden ciąg, pełen powikłanych znaczeń. Nagle ciepła, pokorna i przerażona kobieta, którą trzymał w ramionach, przestała być anonimową postacią, stając się kimś bardzo ważnym w jego życiu.

Skoro uciekała przed Taylorem, musiała mieć powód do obaw. Bardzo poważny powód.

Wreszcie ktoś wyskoczył z uliczki i zatrzymał się gwałtownie. Dobiegło ich stłumione przekleństwo, potwierdzając ostatecznie jego przypuszczenia. Znał ten głos.

Taylor. To był Roy Taylor.

Zamarł, zmagając się z impulsem rzucenia się na wroga. Taylor był tuż za nim. Nie wiedział, że Ross jest tutaj. Gdyby się odwrócił, już by go miał.

Jednak Ross nie ruszył się z miejsca. Wpatrywał się w kobietę poprzez mrok. Było to trudne do uwierzenia, ale niespodziewanie zyskał coś, na czym zależało Taylorowi. Tak bardzo, że

zaryzykował ucieczkę przed procesem, bo musiał gonić za czymś o wiele ważniejszym.

Choć nieznajoma nie wydała żadnego dźwięku, jej pierś unosiła się i opadała w spazmatycznym oddechu i biust ocierał się o niego w niespodziewanie erotyczny sposób. Ross wbrew sobie poczuł narastające napięcie w dole brzucha.

Tylko żelazna samokontrola, wypraktykowana przez lata, powstrzymywała go od działania. Trwał przytulony do obcej kobiety, czując każdy cal jej ciała. Nie było nic poza nim i tą uciekinierką - nieznajomą z ulicy, która nagle stała się decydującym elementem jego życia. I nawet nie znalazł jej imienia.

Nagle lunęła ulewa; ciężkie krople padały mu na głowę. Zimny prysznic deszczu przywrócił Rossowi jasność myślenia.

- Jest tam jeszcze?

Głos drżał jej z napięcia. Rozgrywka pomiędzy nim a Taylorem stała się nagle mniej ważna. Nasłuchiwał czujnie, ale słyszał tylko bębnienie kropel i dalekie echo burzy. Kiedy wreszcie wysunął się z uścisku, rozluźniając chwyt, zimne strugi spływały mu po karku.

- Jest tam jeszcze? - zapytała znów. Była wolna, lecz nie uczyniła najmniejszego ruchu.

- Chyba tak.

Szybko skinęła głową, zagryzając wargi. Widział, że teraz wreszcie zaczęła zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest bezbronna i zdana na jego łaskę. W jej wzroku pojawił się wyraz czujności. Najwidoczniej zaczęła się zastanawiać, kim jest nieznajomy mężczyzna, do którego tuli się w mrocznym zaułku, ufając, że nie wyrządzi jej krzywdy większej niż ta, jakiej mogła się spodziewać od człowieka, przed którym uciekała. Zapewne rozważała teraz,

który z nich stanowi dla niej większe zagrożenie. Dobre pytanie. Ross wątpił, czy potrafi na nie odpowiedzieć.

Błyskawica zaala ich jaskrawym blaskiem, uwydatniając delikatne rysy kobiety, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i zadziorny drobny nosek, ale w jej twarzy nie było miękkości. Napięcie utwardziło zarys szczęki, nadając jej kamienny wyraz. Jednocześnie wyczuwał w niej aurę niewinności. Odgadywał to z szorstkości ruchów i chłodnej rezerwy, widocznej w spojrzeniu. Nie musiał wiedzieć, jaki upiorny związek łączy ją z Taylorem, aby pojąć, że siedzi w tej aferze po uszy. Co oznaczało, że musi postępować bardzo ostrożnie.

- Daj mi odetchnąć, dobrze? - poprosiła, odpychając się rękami od jego piersi.

Zrozumiał i odsunął się o krok, dając jej tyle przestrzeni, ile zdołał w tych warunkach. Wystarczająco, aby nie poczuła się nadmiernie zdominowana, lecz nie na tyle, by pozwolić jej uciec.

- Czy zechcesz wyjaśnić mi, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał. Spojrzenie, którym go obdarzyła, było puste, nic nie mówiące.

- Nie chciałam spotkać się z nim, to wszystko - wyznała.

- Ten ktoś śmiertelnie cię przeraża, tak? - zapytał. Zamrugła, zaskoczona. - Zauważyłem. Machnęła ręką.

- Nie przejmuj się mną. Jestem ci wdzięczna za pomoc, ale lepiej trzymaj się od tego z daleka. Wierz mi, tak będzie lepiej.

- Już jestem w to wmieszany, czy chcę, czy nie chcę. Dzięki tobie. Z irytacją zacisnęła usta.

- W takim razie przepraszam, że zajęłam trzy minuty twojego cennego czasu. Teraz możesz znów zająć się swoim życiem.

- Nie odejdę, dopóki nie uzyskam paru odpowiedzi.

- Kim ty jesteś? Gliną? - Odnotował nutę sarkazmu w jej głosie, lecz także ukryty niepokój.

- Nie, nie jestem gliną. Ale pomysł nie jest zły. Jeżeli nie chcesz powiedzieć mnie, powinnaś zgłosić się na policję.

Nawet w słabym świetle zobaczył, że zbladła. Dokładnie tak, jak się spodziewał. Udał zaskoczenie.

- Musiałaś przecież o tym pomyśleć, prawda? - odpowiedział, nie kryjąc sarkazmu.

Widział, jak intensywnie myśli. Oblizwała językiem zaschnięte wargi; gest zdradził napięcie. Usta zaczęły jej drżeć.

- Nie ma sensu wciągać w to policji. Chodzi o sprawę osobistą. Dam sobie radę sama.

- Z maleńką pomocą obcych? Uniosła brew.

- Mam nadzieję, że więcej nie popełnię takiego błędu. Bawiłaby go ta rozmowa, gdyby sytuacja nie była tak poważna. Za chwilę ją straci, a na to nie mógł sobie pozwolić. Przed paroma minutami dałby wszystko, aby tylko dorwać Taylora. Teraz czuł, że ma w rękach kogoś, kto jest o wiele ważniejszy, choć na razie nic o nim nie wiedział. Musi za wszelką cenę zaciągnąć ją do swojego pikapa, nawet gdyby stawiała opór. Z jedną kobietą jeszcze sobie poradzi, ale z Taylorem i kobietą - raczej nie. Taylor musi być gdzieś w pobliżu i wreszcie ich znajdzie. Czas naglił. Ross nadal swojej twarzy możliwie najbardziej pokojowy wyraz i powiedział:

- Posłuchaj, pozwól, abym odprowadził cię do domu. Samotna kobieta w takiej okolicy nie jest bezpieczna.

Chciała odmówić. Mówiła o tym jej napięta mina i usztywniona postawa. Jednocześnie musiała zdawać sobie sprawę, że jakakolwiek odmowa wzbudzi u niego jeszcze większe podejrzenia. Na to liczył. Jeszcze się wahała. Utrzymał obojętny, wyczekujący wyraz twarzy, choć czuł wpływ bezcennych sekund tak namacalnie, jak własny tętniący puls.

- Długo będziemy się jeszcze spierać? Twój przyjaciel nadal może tu być - upomniał ją łagodnie. Znów przesunęła badawcze spojrzenie po jego twarzy. Odgadł moment, w którym podjęła decyzję. Zacisnęła szczęki, a kąciki jej ust wykrzywiły się gwałtownie.

- Świetnie - powiedział. - W takim razie chodźmy. Jednym ruchem wysunęła się z jego ramion i szybko ruszyła przed siebie uliczką, którą przybiegła.

Ross uśmiechnął się ze skrywaną satysfakcją i podążył za nią w mrok.

Price Chastain zsunął się z kobiety, z którą przed chwilą się kochał i wysunął się z jej uścisku. Gwałtownie wciągnęła powietrze - albo jeszcze nie była gotowa, albo nie skończyła udawać. Ale mężczyzna był już myślami zupełnie gdzie indziej. Siadł na krawędzi łóżka i zerknął na budzik stojący na nocnej szafce. Było dobrze po północy. Powinien już dostać jakąś informację. Położyła mu dłoń na gołych plecach.

- Co się dzieje? - mruknęła, głaszcząc go. - Było tak dobrze... Z irytacją strząsnął jej rękę.

- Zmywaj się. Mam sprawy do załatwienia. Jeśli uraził ją, nie pokazała tego po sobie. Mądra dziewczynka. Materac ugiął się, kiedy wstawała z łóżka. Nawet nie spojrzał, jak drepcze naga do łazienki.

Gdy tylko poszła, Chastain rozprostował ramiona, jakby chciał strząsnąć z siebie ślad dotyku spoconych kobiecych dłoni i wyprostował splecione ramiona do tyłu, aż usłyszał satysfakcjonujące chrupnięcie w karku. Mariana była świetna w łóżku, ale ostatnio zaczęła zadawać zbyt wiele pytań - nic niebezpiecznego, z pewnością nie mającego związku z tym, co mogła usłyszeć w wiadomościach, a jednak. Stała się niewygodna. Będzie musiał szybko jej się pozbyć.

Nienawidził kobiet za to, że zadawały pytania. Temu właśnie zawdzięczał swoje obecne położenie. Znów sprawdził godzinę. Minęła już prawie minuta. Telefon milczał.

Taylor mówił, że kobieta wraca z pracy o jedenastej wieczorem. Powinien już ją mieć. Coś było nie tak.

Chwycił słuchawkę i wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Taylor odebrał po czwartym dzwonku.

- Halo?

- To ja.

Cisza, podszyta brzęczeniem linii.

- I co? Masz ją? - Chastain nawet nie silił się na podanie imienia. Znów parę sekund ciszy i wreszcie niechętne:

- Nie.

Chastain ścisnął w dłoni słuchawkę, aż zbiełały mu kłyckie.

- Nie?

- Straciłem ją.

Telefon o mało nie wylądował na ścianie.

- Jak to, straciłeś? Przecież zapewniałeś mnie, że wszystko jest pod kontrolą.

- Musiała coś wyczuć. Wymknęła mi się.

- Nie mogła odejść daleko. Znajdź ją.

- Znajdę. Nie martw się. Jeszcze mi nie uciekła.

- Módl się, żeby tak było. Za godzinę chcę mieć telefon, że ją dorwałeś.

Cisnął słuchawkę, nie słuchając jałowych wyjaśnień Taylora. Nie znosił polegać na takich prymitywach, lecz Taylor był jedynym facetem, któremu mógł zaufać; jedynym tak głęboko wta-
jemniczonym w jego sprawy.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, wstał i podszedł do ogromnego panoramicznego okna, z którego rozciągał się zapierający dech widok na Central Park. Było wielu ludzi, którzy płacili mu miliony, aby mógł oglądać takie widoki. Połowa miasta była jego własnością, ale nadszedł moment, że mógł ją stracić. Prokurator generalny chciał ugrać polityczne punkty. Gliny gotowe były zrobić wszystko, żeby go wreszcie załatwić. A właściciele nieruchomości i lokatorzy, których doprowadził do bankructwa, aby przejąć ich posiadłości, utopiliby go w łyżce wody.

Miał ochotę otworzyć okna i wykrzyknąć im, że nie mają szans, aby tak się stało. Nie po to harował na to wszystko, aby teraz to stracić.

Tak się nie stanie. Popatrzył na swoje odbicie w szybie. Spojrzenie miał przenikliwe i zdeterminowane - cecha człowieka, który wie, jaką iść drogą i który zawsze to wiedział. Price Chastain stworzył siebie i swoje przeznaczenie od podstaw. A jego przeznaczeniem jest być zawsze na szczycie.

To się nie zmieni.

Roy Taylor przypiął komórkę z powrotem do paska i rozejrzał się po pustej ulicy. Zaciśnął zęby tak mocno, że zaboląły go szczęki. Tylko natychmiastowe działanie mogło dać ujście furii, która pulsowała mu w żyłach.

Fatalnie, że tej kobiecie udało się uciec. Nie musiał słyszeć złorzeczeń Chastaina, by to wiedzieć. Miał tyle samo do stracenia, co on.

Nie powinien w ogóle odbierać tego telefonu. Tyle że wtedy Chastain dzwoniłby do upadłego i wreszcie i tak by go dorwał.

Dwadzieścia telefonów dziennie mówiło samo za siebie. Chastain mu nie ufał. Bał się, że Taylor zniknie i zostawi go na lodzie. Ale Roy Taylor nie jest tchórzem. Nie zamierza spędzić reszty życia, ukrywając się i ciągle uciekając.

Przez osiem lat był na każde zawołanie tego faceta, a Chastain zachowuje się tak, jakby Roy nigdy nic dla niego nie zrobił. Jasne, czasami zdarzyło mu się coś skrewić i wtedy Chastain załatwiał sprawę sam, więc można uważać rachunki za wyrównane.

Zaczął iść w stronę, w którą według jego przypuszczeń uciekła kobieta. Musi ją odnaleźć. Ma w tym wprawę. Wykona zadanie, obojętnie, ile czasu mu to zajmie. Ale tym razem nie dla Chastaina. Dla siebie.

Niech Chastain myśli sobie, co chce. Jedyłą osobą, na której zależało Royowi Taylorowi był Roy Taylor.

Był dla siebie wszystkim.

ROZDZIAŁ TRZECI

Usiłowała go ignorować, kiedy szli bocznymi uliczkami do jej mieszkania, ale nie miała wyboru, nie chciała ryzykować ponownego spotkania z Taylorem.

Po drodze zastanawiała się, w jaki sposób pozbędzie się nie-wygodnego opiekuna, gdy dojdą do domu. Znała rozkład auto-busów, wyjeżdżających z Chicago, i miała już spakowany bagaż. Wystarczyło tylko wziąć torbę i pojechać na dworzec.

Przyspieszyła kroku. Mężczyzna przyspieszył również. Zmarszczyła brwi. Do licha, że też musiała trafić aż na takiego Dobrego Samarytanina!

Uświadomiła sobie, że nie wie, jak wygląda jej zbawca, bo jego twarz krył mrok. Wiedziała tylko, że jest wysoki. Kiedy przyciskał ją do siebie, czuła żelazne mięśnie.

Przez moment zastanawiała się, kim jest, ale w sumie nie było to ważne. Zaraz się rozstaną i więcej go nie zobaczy.

Nie odezwał się słowem, kiedy doszli do czteropiętrowego bloku, w którym wynajmowała mieszkanie przez ostatnie trzy miesiące. Pchnęła drzwi wejściowe i przez moment łudziła się, że już sobie poszedł, bo przestała czuć jego obecność za plecami. W chwilę później straciła złudzenia. Położył rękę na klamce, aby przepuścić ją przodem. Z obawy, że Taylor może czaić się na klatce, pozwoliła, by wszedł.

- Nie boisz się, że przyjdzie tu za tobą? - zapytał Samarytanin, kiedy wchodzili po schodach.

- Nie. Nie zna tego domu. Gdyby tak było, zaatakowałby mnie tutaj, a nie w miejscu publicznym.

- Więc to nie był przypadek.

- To był przypadek - powiedziała dobitnie.

Wreszcie znaleźli się na trzecim piętrze. Jej mieszkanie było pierwsze od lewej, z frontowymi oknami. Otworzyła drzwi i obróciła się ku niemu w chwili, gdy wszedł na ciemnawe półpiętro.

- No, udało się. Jestem bezpieczna.

- Droga pani, ten budynek nie wydaje mi się wcale bezpieczny.

- W takim razie nie zatrzymuję cię.

Nie wykonał najmniejszego ruchu. Zmierzył ją długim i nieustępliwym spojrzeniem. Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

- I nie wydaje mi się, że jesteś tu bezpieczna.

- Nic mi nie grozi. Mieszkam tu od jakiegoś czasu i nic dotąd się nie zdarzyło.

- Bo do dzisiaj Taylor nie wiedział, że tu jesteś. Słowa były tak nieoczekiwane, że nie zdążyła ukryć swojej reakcji. Powietrze uszło jej z płuc, twarz pobraźla.

Popełniła fatalny błąd. Musi za wszelką cenę go naprawić!

- Zupełnie nie wiem, o czym mówisz - powiedziała pośpiesznie.

Przysunął się bliżej, przerażając ją tak samo jak na ulicy. Z trudem opanowała odruch ucieczki. Położył dłoń na klamce, aby nie zamknęła mu drzwi przed nosem. Uświadomiła sobie, że ta

myśl nawet nie przysła jej do głowy. Cholera! Musi coś z tym zrobić.

- Przykro mi, droga pani, ale dobrze znam Roya Taylora. Znam jego głos jak swój własny i wiem, że to on jest napastnikiem, przed którym uciekałaś. Tak samo, jak wiem, że jesteś rodowitą mieszkanką Nowego Jorku.

O, Boże, ten człowiek jest w zмовie z Taylorem! A ona zaprowadziła go do swojego mieszkania.

Zaskoczenie wyparowało momentalnie, ustępując miejsca gniewowi, który tak dobrze znała. Spiorunowała mężczyznę spojrzeniem, które powinno osadzić go w miejscu.

- Nie znam żadnego Trainera.

- Taylora.

- Wszystko jedno. I jestem z Chicago. Urodzona i wychowana tutaj, w South Side. Więc odczep się, dobrze? - Postarała się, aby każde wymówione słowo brzmiało z miejscowym akcentem, którego zdążyła już się trochę poduczyc.

Nie widziała, jak się uśmiecha, ale czuła to.

- Dziwne, że porzuciłaś ten akcent na ulicy i dopiero teraz sobie o nim przypomniałaś. Zresztą muszę przyznać, że nieźle go imitujesz. W życiu bym nie zgadł.

Czy mówił prawdę? Możliwe. Myślenie szło jej jakoś kiepsko.

Wykorzystał moment zawieszenia, aby zrobić krok do przodu, zmuszając ją, by cofnęła się w głąb holu i zamknęła za nim drzwi. Bezceremonialnie sięgnął do kontaktu i zapalił światło. Nawet mdły blask gołej żarówki wystarczył, by doznała szoku. Stał przed nią, po raz pierwszy w całej swojej okazałości.

W świetle przerażał ją tak samo jak w mroku. Twarz pasowała do reszty postaci. Bujne, niesforne włosy okalały twarz o twarde, kanciastych rysach. Był starszy niż z jakichś względów sądziła; musiał mieć około czterdziestki. Linie twarzy układały się w bruzdy wokół oczu i ust. Nie należał do mężczyzn, do których pasuje określenie przystojny. Był zbyt twardy. Zbyt chłodny. Za bardzo męski w ten pierwotny, zwierzęcy sposób. Nieustępliwy. Niebezpieczny. Wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Ross i jestem prywatnym detektywem. Żyję z nagród za schwytanie przestępców.

- Przykro mi, Ross, ale za moją głowę nie wyznaczono nagrody.

- Nie ścigam ciebie, tylko Taylora.

Łowca nagród. Nieomal się roześmiała. Jej prześladowcy dąliby wszystko, aby ją dorwać, ale to on ją złapał! Jednak złapał niewłaściwą osobę. I nawet nie wiedział, kogo trzyma w ręku.

- Twoja kolej - rzekł. - Kim jesteś?

- Nie twój interes.

Unieruchomił ją chwytem za ramię, zanim zdążyła się ruszyć.

- Droga pani, wszystko i wszyscy, którzy łączą się z Taylorem to mój interes. Zatem i ty też. Nawet nie mrugnęła. Nie był już w stanie niczym jej zaskoczyć.

- Nie - odpowiedziała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. Gwałtownie strząsnęła z siebie dłoń mężczyzny. - Ja nie.

Z satysfakcją odnotowała cień frustracji, który pojawił się w jasnoszarych oczach. Szybko jednak zastąpiła go groźna, twarda determinacja.

- W takim razie nie będziesz mi miała za złe, jeśli zawiadomię policję i powiem im, co ci się tu dziś przydarzyło - powiedział z nutą wyzwania w głosie.

Policja. Serce podeszło jej do gardła. Byli dla niej równie groźni jak Taylor.

- Nie mam telefonu. Sięgnął do kieszeni kurtki.

- Ja mam.

Cudem udało się jej nie zmienić wyrazu twarzy.

- Rób, co chcesz. Ja muszę się przebrać.

Zaczęła działać, błyskawicznie, zanim zdążył zareagować. Rzuciła się do pobliskiej sypialni, zatrzaskując za sobą drzwi i dziękując Bogu, że mieszkanie ma wielkość znaczka pocztowego. Zasuwka nie sprawiłaby mu kłopotu, gdyby próbował wedrzeć się tu za nią, ale zasunęła ją, aby zyskać na czasie.

Spakowana torba podróżna leżała na łóżku. Na całe szczęście nie zostawiła jej w przedpokoju, jak początkowo zamierzała. Chwyciła ją i skoczyła do okna sypialni. Otworło się bez szmeru. Przerzuciła przez nie torbę i sama wyskoczyła na zewnątrz.

Wylądowała twardo na łokciach i kolanach, na metalowym podeście schodów przeciwpożarowych, który zatrzęsł się pod nią. Zignorowała to. Nie było czasu na myślenie o niedogodnościach, gdy w każdej chwili ten facet mógł ją dopaść. Przerzuciła torbę przez ramię i pognąła w dół po wąskich stopniach. Każdy krok uświadamiał jej, że porusza się zbyt wolno. Stopy ślizgały się po metalu, dłonie czepiały się barierki. Miała do pokonania tylko trzy

kondygnacje, lecz równie dobrze mogło być ich sto. Zerknęła w dół i zobaczyła ciemność. Strach ścisnął jej gardło. Zdławiła go tak samo bezwzględnie jak dotychczas. Nie mogła sobie pozwolić na strach. Czas gonił.

Wreszcie dotarła do końca schodów. Dalej musiała zeskoczyć. Cisnęła torbę przez barierkę, usiłując ocenić z odgłosu upadku odległość, jaka dzieli ją od ziemi. Niecałe dwa metry. Musi skoczyć. Uda się. Wszystkie kości zabolą ją, gdy twardo wylądowała na asfalcie. Zanim zdążyła odzyskać równowagę po skoku, zgarnęła torbę i pobiegła w noc. Dwa kroki i znów wpadła na ścianę.

Stalowy chwyt unieruchomił jej przedramię. Z przerażeniem szarpnęła głową i zobaczyła postać mężczyzny, groźnie majaczącą w mroku. Pierwszą jej myślą było, że ma przed sobą Rossa, ale myliła się. Ten nie był tak potężny i wysoki. Lodowaty dreszcz zmroził jej kręgosłup, ostrzegając, że nowy napastnik jest o wiele groźniejszy.

- Mam cię - warknął i dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w jej głowie.

- Nie powiedziałbym tego.

Znajomy głos odezwał się zza jej pleców, zaskakując i ją, i napastnika. Niemal w tym samym momencie została wyszarpięta z jego chwytu. Zanim zdążył unieść głowę, z ciemności wystrzeliła pięść i potężny cios w podbródek powalił go bez przytomności na ziemię. Zbawca odwrócił ją ku sobie. Doznała szoku, widząc twarde spojrzenie Rossa.

- Jak...

- Drzwi na podwórko - wyjaśnił ponurym głosem. - Przyjmij do wiadomości, że nie jestem głupi. Ten ton na nowo wzbudził jej

gniew. Spojrzała na palce, unieruchamiające ją jak stalowa obręcz.

- Sugeruję, abyś zabrał tę rękę - rzekła lodowato.

- Dobrze. - Zaskoczona ugodowym tonem, nie zauważyła, kiedy zatrzasnął jej kajdanki na przegubie. Targnęła się wściekle.

- Zdejmij to!

- Jeszcze chcesz się kłócić?

Jak na zawołanie, człowiek na ziemi poruszył się i jęknął cicho. Ross pytająco uniósł brew.

- Kolejny twój przyjaciel? Pokręciła głową.

- Nie wiem, kto to jest.

- W każdym razie nie ma co czekać, aż się ocknie. Chyba, że stęskniłaś się za Taylorem.

- Mówiłam ci, że nie znam żadnego Taylora!

- A ja mówiłem, że ci nie wierzę. Wybieraj, moja droga. Taylor albo ja.

Nie była w stanie wymyślić innej opcji. Nie było sensu stać tu i spierać się z nim. Taylor czyhał gdzieś w pobliżu...

- Dobrze - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Zbierajmy się stąd.

Ruszyła przodem, wskazując drogę na tył budynku. Ross nie dał jej szansy. Na ulicy zatrzymał się, sprawdzając, czy teren jest czysty. Musiała go słuchać. Na razie.

Sedan miał nowojorskie numery.

Taylor odnotował to odruchowo. Był w połowie drogi do budynku, gdy uświadomił sobie ów fakt. Po pół godzinie jałowego wałęsania się po ulicach wrócił na główną arterię z barem i apteką, gdzie pracowała kobieta, której poszukiwał. Wiedział, że poruszając się dalej na piechotę, nic nie zdziała. Tylko samochodem może poszerzyć teren poszukiwań. Wracając do wozu, nie zaprzestał wypatrywania jakiegokolwiek znaku, który mógł świadczyć o obecności tej kobiety. Jak sedan z nowojorską rejestracją.

Zaintrygowany, zawrócił i zaczął iść, wyteżając wzrok, aby przyjrzeć się autu zaparkowanemu przy krawężniku. Minął pikapa, również na nowojorskich numerach. Dalej był sedan. A za rogiem jego własny wóz.

Czy obecność trzech nowojorskich samochodów w jednym punkcie Chicago ma ze sobą jakiś związek?

Możliwe, jeśli wziąć pod uwagę, że w Nowym Jorku zarejestrowane są miliony aut. Lecz Taylor nie wierzył w przypadki.

Zanim zdążył wyciągnąć dalsze wnioski, w końcu ulicy pojawił się mężczyzna prowadzący kobietę. Oboje rozejrzeli się czujnie, ale nie dostrzegli go ukrytego w mroku pod murem. Szybko podeszli do pikapa zaparkowanego przy krawężniku. Tego na nowojorskich numerach, który zauważył przed chwilą.

Kobietę rozpoznał bez problemu, choć miała inny niż przed rokiem kolor włosów. Zmroził go widok mężczyzny.

Usta Taylora zacisnęły się w grymasie. Stłumił przekleństwo. Gideon Ross. Ten cholerny łowca nagród już dawno załazł mu za skórę, poczynszy od śmierci tamtego starucha. Taylor miał nadzieję, że pozbędzie się tego drania, wyjeżdżając z Nowego Jorku. A teraz Ross zgarnął mu zdobycz sprzed nosa.

Niech to szlag! Jedyne, co mógł teraz zrobić, to wyciągnąć broń z kabury pod pachą i celnie strzelić.

I on, i Chastain aż za dobrze wiedzieli, jak fatalne byłoby przejście jej przez kogoś innego. Scenariusz, w którym tym kimś okazałby się Ross, był najgorszy z możliwych.

Taylor odruchowo postąpił krok w przód, ale zaraz cofnął się w mrok i szybko rozważał dalsze kroki. Mógłby pobiec tam i dopaść pikapa, zanim zdążą odjechać. Albo pobiec do swojego wozu i spróbować ich gonić. Ale zanim by to zrobił, odjechaliby zbyt daleko.

Automatycznym ruchem włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej miniaturowy nadajnik, który zabrał ze sobą na wypadek, gdyby kobiecie udało się wskoczyć do autobusu czy do taksówki, zanim zdążyłby ją złapać. Problem w tym, że znajdował się zbyt daleko od auta, aby podczepić do niego urządzenie. Tymczasem Ross wepchnął kobietę na przednie siedzenie pikapa, ale wcześniej zdążyła wsadzić mu łokieć w żebra. Nawet z daleka Taylor mógł ocenić, że cios był bolesny. Najwyraźniej nie poszła z Rossem z własnej woli. Ta wiedza nie sprawiła mu satysfakcji.

Zawarczał silnik i pikap ruszył. Taylorowi nie pozostało nic innego, jak wrócić do swojego wozu i spróbować ich ścigać, jeśli nie zdążą odjechać zbyt daleko.

Już miał zawracać, gdy nagle z alejki wybiegł mężczyzna, kierując się w tę samą stronę co Ross i kobieta.

Taylor znieruchomiał. Instynkt mówił mu, że lepiej będzie pozostać w ukryciu. Może jednak Ross i kobieta nie spieszyli się tak po prostu, tylko uciekali przed czymś - albo raczej przed kimś? Kimś jeszcze z Nowego Jorku?

Przesunął kciukiem maleńki włącznik urządzenia. Nie wydało dźwięku. Nie musiało. Widział, że nadajnik został aktywowany.

Z powrotem skierował uwagę na sedana. Kolejne auto z Nowego Jorku. A facet zmierzał wyraźnie w jego kierunku.

Ale kim był? Kolejnym mężczyzną, który ściga tę kobietę?

Pytania mogły poczekać. Instynkt podpowiadał, że nie wolno mu stracić tego gościa z oczu. Taylor wyskoczył z mroku i przebiegł na drugą stronę ulicy. Mężczyzna zjawił się tam po chwili. Taylor czekał, przyczajony w załomie pobliskiego wejścia. Nieznajomy nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Kiedy wsiadł do wozu, Taylor jednym skokiem znalazł się przy aucie i padł na jezdnię przy tylnym zderzaku dokładnie w chwili, kiedy trzasnęły zamykane drzwiczki. Kiedy zawarczał silnik, sięgnął pod zderzak i podczepił nadajnik, zaopatrzone w magnes. Auto ruszyło, a Taylor błyskawicznym ruchem wsunął się pod zaparkowany za nim samochód.

Leżał tam nieruchomo, z głową przy jezdni, czekając, aż ucichnie warkot silnika.

Dopiero wtedy wysunął się z ukrycia, wstał i otrzepawszy ubranie, podążył do swojego auta.

Polowanie rozpoczęło się...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przekroczyli granicę stanową i wjechali do Indiany o pierwszej po południu. Po drodze przejechali przez jedną burzę i wjechali w drugą - tę, która wcześniej przetoczyła się nad Chicago. Strugi ulewy biły o karoserię aż łomotało. Efekt tylko podkreślał ciszę panującą w wozie.

Ross uważał, że w tych okolicznościach i tak nieźle mu poszło. Nie dostał Taylora, ale miał coś, czego Taylor chciał, co okazało się o wiele cenniejsze.

Tylko... co dokładnie miał? Walczył z potrzebą zerkania kątem oka na kobietę. Była przykuta do miejsca, z przegubem zaczeponym kajdankami przy uchwycie na desce rozdzielczej. Zatrzasnął je, jak tylko weszli do samochodu, zanim zdążyła zorientować się, co robi.

Ross potarł zeszywniały kark. Wcześniej przewoził już takie damskie lupy i wiedział, czego może się spodziewać po schwytej kobiecie. Zwykle, kiedy orientowały się, że nie ma szans, aby uciec od niego, krzyczały albo wybuchały płaczem, jakby liczyły, że emocje wyzwolą w nim litość i puści je wolno. Większość jednak serwowała mu rzewne opowieści o tym, jak zostały wrobione czy zmuszone wbrew swojej woli, nie zdając sobie sprawy, że słuchał takich historyjek tysiące razy i żadne łzawe spojrzenia ani drżące wargi nie zmiękczą jego serca. Ta kobieta była inna. Siedziała wciśnięta w drzwi, z wolną ręką na kolanach, w skupieniu wpatrując się w drogę. Milczała. W normalnych warunkach doceniłby tę ciszę i spokój. Teraz niepokoiły go. Sygnalizowały, że rozmyśla, rozważając warianty ucieczki; był tego pewien. Powinien to przerwać. Był zbyt zmęczony, aby znosić kolejne nonsensy jej postępowania.

Skrzywił się. Zwykle nie bywał tak delikatny. Za stary jesteś, człowieku. Za stary na to całe gównno, pomyślał, odchrząknął i zapytał:

- Zamierzasz tak milczeć przez całą drogę?

Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień; nie poruszyła się; nie zerknęła nawet na niego.

- Czego chcesz? Napadu pokazowej hysterii?

- Chcę wiedzieć, jak się nazywasz.

- Connie Baker.

Wyrzuciła z siebie słowa z taką łatwością, że w innej sytuacji skłonny byłby je przyjąć.

- Nieźle. A naprawdę?

Wreszcie raczyła na niego spojrzeć, ale nic nie powiedziała.

- Za łatwo ci to poszło - skomentował. Wzruszyła ramieniem i znów odwróciła się do okna.

- Powinniśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło - podjął.

- Dlaczego?

- Bo gdybyśmy znów popadli w kłopoty, muszę być przygotowany. Szydercze prychnięcie powiedziało mu, co myśli o jego prośbie.

- Oczekujesz, że pomogę ci w tym porwaniu?

- Nie porwałem cię.

Zagrzechotała kajdankami.

- A jakbyś to nazwał?

- Powiedzmy, chwilowym aresztem.

- Nie popełniłam przestępstwa.

- W takim razie nie powinnaś mieć nic przeciwko temu, żebym zawiadomił policję.

- Jak chcesz zawiadomić policję? Przecież nie znasz nawet mojego imienia.

- Mogą ci zdjąć odciski palców.

- Nie mają mnie w kartotekach. Mówiłam ci, nie jestem przestępcą.

Z trudem powstrzymał uśmiech. Otóż to. Trzeba z nią rozmawiać. Wkrótce powie mu wszystko, co chciałby wiedzieć, nawet nie mając świadomości, że to robi.

- Jeżeli wiesz coś, co mogłoby pomóc w osądzeniu Chastaina i nie podzielisz się tą wiedzą z władzami, będziesz współwinna przestępstwa.

- Owszem, gdyby tak było. Ale nie jest.

- Niewinni nie uciekają.

Jej śmiech zbił go z pantafelku.

- Czasami nie mają wyjścia - powiedziała.

W stwierdzeniu brzmiała taka rezygnacja, że Ross gotów był jej współczuć. Odepchnął od siebie to uczucie.

- Jeśli chcesz wzbudzić we mnie litość, musisz się bardziej postarać.

Przechwycił jej spojrzenie. Nie było w nim gniewu ani wyrachowania, tylko jawny chłód.

- Niczego od ciebie nie chcę. Ale jeśli zaciągniesz mnie na policję, podpiszesz na mnie wyrok śmierci.

- Spróbuj bajki, której jeszcze nie słyszałem.

- Dlaczego chcesz, żebym mówiła, skoro nie interesuje cię nic, co mam do powiedzenia?

- Okey, masz kłopoty. To już wiem. Zrozumiałe, jeśli stanęłaś na drodze Chastainowi. Przechyliła głowę i tym razem popatrzyła na niego wprost, jak gdyby po raz pierwszy coś dostrzegła.

- Nienawidzisz go.

- Tak, nienawidzę.

- Ja też.

- Świetnie. Więc mamy coś ze sobą wspólnego. Jeśli zaprzyjaźnimy się, zdradzisz mi swoje prawdziwe nazwisko?

- Ty pierwszy.

- Gideon Ross. Jestem łowcą nagród. Ścigam Taylora. To powinno ci wystarczyć.

- Dlaczego w takim razie nie zostawiłeś mnie i nie pobiegłeś za nim?

- Bo cię ściga i chcę wiedzieć, dlaczego.

- Czy to takie ważne?

- Piekalnie ważne. Uciekł mimo kaucji, bo chce dostać ciebie. Musi mieć ważny powód. Jeżeli ten powód ma związek z Chastainem, zamierzam się dowiedzieć, jaki.

- Nie ma - zaprzeczyła szybko. Zbyt szybko.

- Boisz się powiedzieć prawdę. Łżesz jak najęta.

- Niczego takiego ci nie powiedziałam.

- Nie przejmuj się, mamy czas, Jeszcze długa droga przed nami.

- Dokąd jedziemy?

- Do Nowego Jorku - odpowiedział automatycznie. - Nie!

Szarpnęła się w fotelu, usiłując skrócić mu kierownicę. Nie miał wątpliwości, że gdyby nie kajdanki, z pewnością by to zrobiła.

Skuliła się na siedzeniu jak zwierzę w klatce; jej pierś falowała ciężko.

- Nie mogę wrócić do Nowego Jorku. Zabiją mnie. Mogła kłamać w innych sprawach, ale nie w tej.

- Nic nie może ci się stać, dopóki będziesz ze mną. Pomyśl o tym jako o areszcie ochronnym.

- Powiedzmy. - Rozciągnęła to słowo na kilka sceptycznych sylab. - I miałabym ci zaufać?

- Nie masz wyboru.

W ciemnościach zamajaczył z daleka neon motelu. Ross zdjął nogę z gazu.

- Zatrzymamy się tu. Muszę się trochę przespać. Ty chyba też.

Nie odpowiedziała. Tym razem nie dbał o to. Rozmowa prowadziła donikąd. Ma czas, by wyciągnąć od niej prawdę. Do Nowego Jorku jeszcze długa droga. Przemówiła dopiero, kiedy wjechał na zwirowy podjazd motelu.

- Informuję cię, że będę stawiać ci opór na każdym kroku, przez całą drogę - oświadczyła. Ross uśmiechnął się sucho i odważnie dał odpór jej lodowatemu spojrzeniu.

- Już to robisz, moja droga.

Ich pokój znajdował się na samym końcu budynku, w dużej odległości od portierni. Pewnie dlatego, żeby nikt nie zobaczył, jak ciągnie mnie tam w kajdankach, pomyślała, gdy szli w lejącym deszczu. Miejsce wyglądało z zewnątrz tak przygnębiająco, iż uznała, że wewnątrz już nie może być gorzej. Zwątpiła, kiedy zobaczyła pokój o ścianach w brudnym pomarańczowym odcieniu i bliźniacze łóżka, z których jedno nie miało nogi i stało przechylone. Tylko fan karaluchów i papierosowego dymu mógł zapragnąć noclegu w tej upojnej scenerii.

- Pomyśleć, że uważałam swoje mieszkanie za norę - skomentowała.

- Żebrak nie powinien mieć królewskich wymagań.

- Nie przypominam sobie, abym żebrała o tę norę. Masz jeszcze jakieś mądrości w zanadrzu? Zamknął drzwi na zasuwkę.

- Zobaczysz.

Odsunęła się od niego na długość kajdanków.

- Chcę wziąć prysznic.

- Dobrze. - Pociągnął ją w stronę łazienki, otworzył drzwi nogą i zapalił światło, lustrując pomieszczenie byстрыm spojrzeniem. - Czysto - stwierdził, obracając się ku niej.

- Nie licząc karaluchów. Kącik jego ust zadrgał.

- Chciałem być miły i nie wspominać o nich.

- Miły możesz być nadal. Co ty na to?
- Niezła propozycja. Wyciągnęła ku niemu skute rękę.
- Zdejmiesz mi to wreszcie?

Przyglądał się jej przez długą chwilę. Odwzajemniła spojrzenie bez jednego mrugnięcia. Wreszcie wyjął kluczyk i otworzył zamek.

Roztarła przeguby, a potem wzięła torbę i przemknęła obok niego do łazienki.

- Nie powiesz dziękuję?

- Jeszcze czego! - rzuciła buntowniczo. Zanim zdążyła zrobić dwa kroki, zatrzymał ją.

- Rozbierz się, zanim wejdziesz do łazienki - nakazał.

W pierwszym odruchu chciała zignorować go i iść dalej, lecz intuicja podpowiadała jej, że to się nie uda. Stała i odwróciła się powoli.

- Słucham?

Stał tam, gdzie go zostawiła, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Chłodny. Nieprzejednany. Jego ton i mina mówiły jasno, że nie ma się co stawiać.

- Chcesz pod prysznic, więc zostaw tu wszystkie rzeczy.

- Czemu? Uniósł brew.

- A jak myślisz? Twoje rzeczy tutaj zostają. Koniec, kropka. Myślała szybko.

- Okey. Odwróć się.

- Nie ma takiej opcji. Dostyc miałem dzisiaj przepychanek z tobą i nie będę ryzykował, że dostanę w tył głowy.

- Nie rozbiore się przed tobą.

- Rób, jak chcesz. Dla mnie jest bez różnicy, czy weźmiesz prysznic, czy nie. Chcę tylko się przespać. Wybierz sobie łóżko i skończmy ten cyrk.

- Założę się, że nie jesteś prywatnym łapaczem, tylko nakręconym perwersem, który przywiózł mnie tutaj, żeby zobaczyć mnie nagą.

- Droga pani, nie dbam o to, czy jesteś Dziewczyną Playboya. Chcesz zostać w ubraniu... w porządku. Twoja decyzja.

- Już odechciało ci się być miłym chłopcem? Szkoda!

- Mówiłem ci, nie jestem głupi.

Ze świstem wypuściła powietrze przez zęby. Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić. Mogłaby nawet odpuścić sobie prysznic, ale musiała się przebrać. Nogi bolały ją po całodziennym staniu w aptece i nocnych biegach; piekły obtarte przez kajdanki przeguby. Marzyła tylko, żeby przez dziesięć minut postać pod ożywczym strumieniem wody, więc stwierdziła, że ma gdzieś Gideona Rossa - przysięgłaby, że naprawdę tak się nie nazywa - i zrobi swoje. W tym stanie mogłaby nawet rozebrać się dla Price'a Chastaina.

Ale nie chciała, żeby ten drań widział ją nagą. Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Nie, nie zrobi tego. Patrzyli na siebie. Żadne nawet nie zamrugało. Ross stał nieruchomo, wyczekująco, z kamienną twarzą poke-rzysty. Czekał. Postawił jej warunek i nie obchodziło go, co ona czuje. Naprawdę go nie obchodziło. W głębi duszy czuła, że nie zamierza wykorzystać sytuacji. Zachowywał się jak bezwzględny twardziel, ale coś mówiło jej, że

nie jest takim typem. Był zbyt skupiony i opanowany. Nie obchodziło go jej ciało. Nie dbał o nią. Chciał tylko Taylora i gotów był bez zahamowań posłużyć się nią, aby go dorwać.

Ale czuła, że nie wykorzysta okazji, i to się liczyło. Zrozumiała, że może obrócić sytuację na swoją korzyść.

- Dobrze.

Dostrzegła błysk zaskoczenia w jego oczach, kiedy cisnęła torbę na podłogę. To była jedyna reakcja. Wyzywającym gestem odrzuciła głowę do tyłu i zsunęła z ramion kurtkę. I patrząc mężczyźnie prosto w oczy, pozwoliła, aby opadła na podłogę.

- Okey, Ross. Tego właśnie chcesz? Chcesz widzieć wszystko? Zmarszczył brwi.

- Droga pani...

- Nie. Powiedz mi, jak mam to zrobić. – Dwoma kopnięciami zrzuciła buty, aż przeleciały przez cały pokój. Jeden omal nie uderzył go w nogę, ale Ross nawet nie drgnął.

- Mam to zrobić szybko? - Zręcznie zaczęła palcem skarpetkę i ściągnęła ją jednym ruchem. - A może powoli? - Powtórzyła gest drugą nogą, dokładając leniwy ruch bioder.

- No jak, podoba ci się? - Pytanie było sugestywne, ale nie zdołała ukryć gniewu. - A może powinnam zatańczyć? Zrobić fachowy striptiz?

- Rozbieraj się - warknął. To był nowy, groźący ton. Pozwoliła sobie na drobne poczucie satysfakcji. Zaraz będzie go miała.

- O co chodzi? Nie podoba ci się?

- Nie.

- Serio? - Włożyła palce pod karczek bluzki. Ross nawet na moment nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

Zaczęła podciągać bluzkę na brzuchu.

- A tak? Lepiej?

- Posłuchaj... - zaczął groźnie. Znieruchomiała na moment, a potem, jakby zmieniła zamiar, obciągnęła z powrotem bluzkę i sięgnęła do guzika spodni.

- A może należysz do facetów, którzy od razu chcą przejść do rzeczy? Tak? - Odpięła guzik i zamaszystym ruchem otworzyła suwak. Kręcąc biodrami, zaczęła się wysuwać ze spodni, aż w końcu opadły wokół jej stóp. Chłodne nocne powietrze owiało gołe nogi. Już czuła się obnażona. Po skórze rozeszła się fala gorąca. Poczowała, że się czerwieni.

Zmusiła się, żeby wyciągnąć stopy ze spodni i podejść krok bliżej do niego. On też poczerwieniał, ale z gniewu.

- Więc jak, Ross? - Po raz pierwszy głos jej zadrżał. Nie spodziewała się takiej reakcji. Ale mimo narastającej niepewności ani na moment nie opuściła wzroku, nie uciekła spojrzeniem w bok. -Zadowolony? Dobrze mi wychodzi?

Jego ciało zastygło w napięciu jak struna fortepianowa, gotowa pęknąć w każdej chwili.

- Nie wiem, w jaką grasz grę, ale wystarczy tego.

- To twoja gra, ty łapsie. - Zatknęła kciuki za gumkę majteczek, aby nie spostrzegł, jak drżą jej ręce. -Przecież pragnąłeś popatrzeć, nie? Bo chcesz widzieć, po co za chwilę sięgniesz...

W ułamku sekundy znalazł się przy niej. Przez jeden okropny moment myślała, że posunęła się za daleko. Chwycił ją za ramiona i uniósł w górę. Twarde palce boleśnie wbijały się w skórę. Był

tak blisko, że czuła męski zapach, przebijający spod wilgotnej woni deszczu. Palce zacisnęły się jeszcze mocniej i z jej ust ze świstem wyniknęło się powietrze.

To go powstrzymało. Zwolnił chwyt i odstąpił krok do tyłu, lecz nadal więził ją nieustępliwym spojrzeniem. Zachwiała się, na moment tracąc równowagę. Kiedy przemówił, głos miał spięty i głuchy.

- Mówiłem ci, że nie o to mi chodzi. Cudem wydobyła z siebie głos.

- O co ci więc chodzi?

- W każdym razie nie o to, co myślisz. Powiedziałem, że póki jesteś ze mną, możesz się czuć bezpieczna.

- Bo dotąd robiłeś wszystko, żebym mogła ci zaufać, tak, Ross?

- Obiecuję. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Mogła mu wierzyć. Czuła przekonanie w jego głosie.

Słowa tym bardziej ją raniły. Każde odczuwała jak fizyczny cios.

Nie mogła już dłużej na niego patrzeć, nie była w stanie przyjąć tej szczerości. Musiała na niego liczyć, lecz wiedziała, że nie będzie to trwało wiecznie. Pochyliła głowę.

- Nie składaj obietnic, których nie będziesz w stanie dotrzymać. Poczula na sobie jego przeciągłe spojrzenie. Wreszcie odwrócił się od niej.

- Idź do łazienki - rzucił krótko.

Torba z rzeczami stała za daleko. Pragnęła jak najszybciej zniknąć z zasięgu tego dominującego mężczyzny, jego szczerości

i obietnic, w które wbrew sobie pragnęła uwierzyć. Potykając się, ruszyła w kierunku upragnionego azylu łazienki.

- Nie pomogę ci, jeśli ty nie pomożesz mnie.

Zatrzymała się w drzwiach. Słowa zostały wypowiedziane łagodnie - bez śladu złości, niecierpliwości, bez nacisku. Tylko proste stwierdzenie faktu. Nie pomoże jej, jeśli ona nie pomoże jemu. Kropka.

Z wolna obejrzała się przez ramię. Wydawał się taki duży, solidny, choć stał w drugim końcu pokoju. Słabe światło maskowało jego spojrzenie. Zwykle by ją to niepokoiło, gdyż nabrała nawyku patrzenia ludziom w oczy, aby wysondować ich szczerość i spolegliwość. W tej chwili nie mogła powiedzieć nic o tym człowieku - poza tym, że emanował pewnością siebie i siłą, która zdolna byłaby obronić ją przed całym światem.

Nieoczekiwanie pojawiło się ukłucie pożądania. Boże, ona go pożąda! W tym momencie dałaby wszystko, aby tylko móc całkowicie mu zaufać. I jednocześnie poczuła się straszliwie zmęczona. Zmęczona ciągłą ucieczką, wiecznym oglądaniem się przez ramię, bezustanną walką o przetrwanie, zapomniała już, jak wygląda spokój. Weszła na drogę, której końca nie było widać.

Oferta była kusząca. Wystarczyło skorzystać z szansy zwalenia swoich problemów na silne barki mężczyzny i pozwolić, aby ją ratował. Dałaby wszystko, aby wreszcie móc komuś zaufać, komukolwiek; aby po raz pierwszy od tak dawna wtulić twarz w szeroką pierś i wypłakać się, pozwalając, aby przez chwilę ktoś pomógł nieść jej ciężar. Jednak obdarzenie zaufaniem tego faceta byłoby na pewno błędem.

To wróg. Jak mogła o tym zapomnieć? Nie jest przypadkiem, że pojawił się w jej życiu i w chwilę potem rozpętało się piekło.

Był w to wplątany tak samo jak tamci, którzy ją ścigali, a do tego dwa razy bardziej niebezpieczny.

Milczała. Nie było sensu rozmawiać dalej, tłumaczyć mu, bo musiałaby zdradzić zbyt wiele. Odwróciła się i weszła do łazienki. Moment słabości minął i wróciło twarde poczucie rzeczywistości. Nie powinna ufać nikomu, więc jemu także. Zresztą i tak nie może jej pomóc. Niech to szlag!

Ross ze złością zaciskając usta, patrzył, jak zamykają się za nią drzwi łazienki. Przez moment łudził się, że wreszcie powie mu prawdę.

Znał się na ludziach; potrafił odczytać najmniejsze zmiany ich nastroju z odruchów mięśni twarzy czy drgnienia powieki. I byłby przysiągł, że już prawie ją miał. Intuicja mówiła mu, że mało brakowało, aby się przełamała. Tymczasem odwróciła się i odeszła bez słowa.

Nierówny oddech unosił pierś Rossa. Jest dobra; jest cholernie dobra w robieniu z niego idioty. Nie lubił, kiedy kobiety się go bały, ale potrafił poradzić sobie z tymi, które drżały ze strachu przed swoim losem, przed karą. Ale ta... trzęsąca się jak listek, zachowująca się tak, jakby za chwilę miał ją zaatakować... to było zupełnie coś innego.

Jej zachowanie niewiele zmieniło się od czasu, kiedy uratował ją z łap Taylora. Na myśl o tym czuł się jeszcze bardziej niekomfortowo.

Co gorsza, nie mógł zapomnieć tego, co zobaczył. Krótki błysk płaskiego brzucha, zanim obciągnęła koszulkę. Każdy cal długich nóg, gdy zrzuciła spodnie. Patrzyłby dalej, a jakże, gdyby zdjęła wszystko. Był wściekły, że musiał jej przerwać. Wściekły, że o mało nie okazał się draniem, którego się obawiała.

Nadal nie był pewny, ile było w jej zachowaniu prawdy, a ile gry. Do jakiego stopnia może ufać łożawemu spojrzeniu tych wielkich oczu, które wlepiła w niego, gdy poczuła się osaczona. Jednocześnie wiedział, że ma w sobie bojowego ducha i że wydrapałaby mu oczy, gdyby miała powód. Wolał nie próbować. Chciałby wierzyć, że tylko udawała. Ale wszystko krzyczało w nim, że nie.

Usłyszał szcęk zasuwki. Chyba nie myślała poważnie, że ten kawałek blachy zdołałby go powstrzymać, gdyby chciał wejść. Oby nie musiała się o tym przekonać.

W dwóch krokach przebył pokój i stanął pod drzwiami łazienki. Czekał, aż usłyszał szum wody z prysznicza i cichutkie, niemal niesłyszalne westchnienie zachwytu, gdy jej ciało obmyły pierwsze strugi. Nasłuchiwał jeszcze parę sekund. Charakterystyczny odgłos wody spływającej po ciele, a nie bijącej po ścianach pustej kabiny, uspokoił go. Była tam i pewnie pobędzie jeszcze dobrą chwilę. Widział ją w myślach - to, co już znał i resztę, którą dopowiedziała mu wyobraźnia. Zresztą poczuł jej ciało, gdy tuliła się do niego w alejce. Wyobrażał sobie, jak unosi głowę, podstawiając ją pod smugi wody, jak mydli piersi, płaski brzuch i niżej...

Gwałtownie odwrócił się od drzwi. Sam pilnie potrzebował prysznicza, i to lodowatego! Miała rację, jest napalonym perwerssem. Z wysiłkiem wyparł z myśli erotyczny obraz. Miał mało czasu. Bez najmniejszego poczucia winy położył jej torbę na najbliższym łóżku i zaczął przeglądać zawartość. Były tam głównie ciasno złożone ubrania, choć czyste i schludne, w większości dosyć już znoszone. To było zrozumiałe. Jeśli miała jakieś pieniądze, z pewnością nie wydawała ich na ciuchy. Sięgnął głębiej i wydobyl portfel oraz plik wycinków prasowych z ostatnich miesięcy, dotyczących procesu Chastaina. Pilnie śledziła sprawę. Nie zdziwiło go to.

Namacał jeszcze coś, zaplątanego na dnie torby. Sięgnął i wyłuskał palcami twardy plastik. Uśmiechał się triumfalnie, podstawiając go pod światło.

Były to trzy karty ściśnięte gumką. Karta ubezpieczenia zdrowotnego, karta kredytowa oraz prawo jazdy stanu Nowy Jork. Poważną twarz na zdjęciach już znał. Teraz poznał imię i nazwisko. Allie Freeman.

Nie kojarzyło mu się z niczym. Zapamiętał adres, aby przy okazji podać go Newcombowi. Jeśli jest zamieszana w sprawę Chastaina, Newcomb mu to potwierdzi.

Usatysfakcjonowany, schował karty do własnej kieszeni. Na razie, póki jest z nim, nie będzie ich potrzebowała.

Skończywszy z torbą, zajął się portfelem. Było tam nieco banknotów, głównie o nominale pięćdziesięciu dolarów. Szybko przeliczył je - sześćset pięćdziesiąt. Zapewne cały jej majątek. Zostawił je tak jak znalazł. Należały do niej i nie zamierzał ich sobie przywłaszczać. Mógł być wszystkim, ale nie złodziejem.

Oprócz pieniędzy w portfelu znalazł jeszcze fotografię, włożoną w jedną z przegródek, wyblakłą i postrzępioną od długiego noszenia. Kiedy uniósł ją do światła, zobaczył, że przedstawia trzy osoby: kobietę, nastoletnią dziewczynę i małego chłopca. Przynajmniej jedna z tych twarzy, patrzących w obiektyw, była mu znana. Nie trzeba było specjalnej przenikliwości, by stwierdzić, że zdjęcie przedstawia rodzinę Allie.

Zaciekawiony jedyną osobistą pamiątką, którą znalazł w jej rzeczach, Ross z uwagą przeanalizował każdą z twarzy. Chłopiec uśmiechał się szeroko, demonstrując brak zęba w przodu. Wyglądał na bystrego dzieciaka. Mógł mieć nie więcej niż pięć lub sześć lat; miał kędzierzawą, bujną czuprynę i minę świadczącą o pełnym szczęściu.

Uśmiech chłopca był dziwnie trudny do zniesienia. Z niezrozumiałych dla siebie względów Ross wpatrywał się w tę postać tak długo, aż nie wytrzymał i przeniósł spojrzenie. Kobieta również się uśmiechała, choć w jej twarzy więcej było znużenia niż radości. Była to twarz kogoś, kto zaliczył swoją porcję życiowych ciosów, poznaczona bruzdami, o pustym uśmiechu. Nie sposób było odgadnąć jej wieku. Przypuszczał, że jest o wiele młodsza, niż na to wygląda. Była zapewne matką małego, choć mogłaby być i babcią. Dziewczyna nie uśmiechała się. To była jego Allie. Lecz najwidoczniej nic jej nie cieszyło. Ona również sprawiała wrażenie starszej, choć nie wskazywała na to jej powierzchowność. Jednym ramieniem obejmowała brata, drugim matkę. Dłonie były zaciśnięte na ich barkach. Ross przypuszczał, że taką pozę zapewne wymusił na nich fotograf, ale gest był znaczący - zarazem ochronny i zaborczy, jasno mówiący, że tych dwoje ludzi należy do niej.

- Co robisz, do licha?

Zaskoczony, gwałtownie uniósł głowę. Obok stała dorosła, realna wersja dziewczyny ze zdjęcia. Musiała wyjść z łazienki i podejść tak cicho, że niczego nie zauważył. Parowała wilgotnym ciepłem. Znow miała na sobie koszulkę, lecz nogi były gołe. Na sekundę oddech uwiązał mu w gardle.

W wyrazie jej twarzy nie było nic anielskiego. Wyglądała, jakby zaraz miała się na niego rzucić.

- Dlaczego grzebiesz w moich rzeczach? - zaatakowała, szybko podchodząc do niego. - Oddaj mi to!

- Zaraz, czekaj... - Sam nie wiedział, czemu tak trudno jest mu się rozstać z fotografią i dlaczego jeszcze zwleka z oddaniem. Kiedy chciała wyrwać mu ją szarpnięciem, zaciśnął palce.

W ciszy pokoju rozległ się dźwięk rozdieranego papieru.

Oboje zamarli, spoglądając na trzymane w rękę połówki zdjęcia. Zostało rozdarte od góry do dołu. Dziewczyne oddzielono od kobiety i chłopca.

Allie sięgnęła i wyjęła mu z ręki drugą połówkę, tym razem bez trudności. Zamrugła wściekle; usta zacisnęły się w wąską linię. Cisnęła dwa kawałki fotografii na łóżko i zajęła się upychaniem rzeczy w torbie.

- Czy nie wystarczy, że straciłam całą resztę? Musisz jeszcze zabierać jedyne zdjęcie, jakie mi zostało?

- To jest jedyne zdjęcie twojej rodziny? - Ross nie wiedział, kiedy wypowiedział to pytanie. Zapominając, że sam ma niewiele więcej fotek w swoim dobytku. Nigdy wcześniej zresztą nie zastanawiał się nad tym.

Allie skrzywiła się z irytacją. Zna ją od niecałych pięciu godzin, a już zdążył wywęszyć o wiele za dużo.

- Przeszukałeś moją torbę, geniuszu dedukcji. Jak sam widzisz, nie zabrałam z sobą kompletu albumów rodzinnych. Miałam bardzo mało czasu na spakowanie się przed opuszczeniem Nowego Jorku. O ile wiem, reszta mojego dobytku została po wyjeździe wyrzucona na ulicę. To zdjęcie -wściekłym gestem wskazała na rozdartą fotografię - jest jedynym, jakie mam.

Nie czuł satysfakcji, kiedy przyznała się, że jest z Nowego Jorku.

- Może twoja mama... albo brat mają więcej.

Allie zeszywniała. Łód ściał jej rysy, niszcząc emocje, które jeszcze przed chwilą płonęły w jej oczach. Twarz dziewczyny była teraz starannie kontrolowaną pustką. Ross zdążył już się zorientować, że przybiera ten wyraz w stanie najgłębszych emocji, gdy czuje coś, co musi ukryć przed innymi.

- Oni nie żyją.

Obojętność tonu nie zwiodła go.

- Bardzo mi przykro - powiedział. Poczł się jak idiota. Żałował, że wypowiedział te słowa. Tymczasem Allie mechanicznymi ruchami dokończyła pakowanie torby, zostawiając tylko bieliznę. Zrzuciła torbę na podłogę i razem z rzeczami weszła pod kołdrę.

- Założę się, że chcesz przykuć mnie do łóżka? Oczywiście, że miał taki zamiar. I nie odczuwał wyrzutów sumienia z tego powodu.

- Nie będziesz mi uciekać?

- Ja tylko chcę spać.

Jedną ręką zgarnęła połówki fotografii, a drugą wystawiła spod kołdry, odwracając twarz, kiedy podszedł do wezglowia. Gdy pochylił się, aby przypiąć kajdanki, nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na dłoń, zaciśniętą na zdjęciu.

- Przepraszam - powiedział.

- Nieważne - odburknęła, nie patrząc na niego. Kłamała. Obje wiedzieli, jakie to dla niej ważne. Ale nie było już o czym mówić.

Kiedy kajdanki zostały zapięte skuliła się na materacu w pozycji embrionu, odwróciwszy się do niego plecami.

Ross stał, czując się jak idiota, w poczuciu, że powinien powiedzieć coś jeszcze.

- Chciałbym, żebyśmy znikli stąd rano. Obudzę cię - powiedział wreszcie. Milczała.

Zgasił światło, położył się na swoim łóżku, nie zdejmując ubrania, i czekał. Wyczerpanie dało o sobie znać i zaczęły mu się kleić oczy. Z trudem zwalczył potrzebę zdrzemnięcia się na chwilę. Po paru minutach cichutki odgłos sprawił, że wyprostował się, czujnie nasłuchując. Co ona znowu kombinuje? Powinien przeszukać ją dokładnie, czy nie ma jakiejś igły czy drutu, którymi mogłaby pomajstrować przy kajdankach. Głos był miękki, drżący i stłumiony. Nagle poraził go jak cios. Allie Freeman płakała. Potrzebował całego swego opanowania, aby zdusić przekleństwo, cisnące mu się na usta. Nie chciał zdradzić, że wie o jej łzach, gdyż czuł, że znienawidziłyby go jeszcze bardziej. Pozwoliła sobie na płacz tylko dlatego, iż myślała, że śpi. Chciał, żeby zachowała to złudzenie.

Leżał więc dalej, zmartwiały, zastanawiając się gorączkowo, co mógłby zrobić w tej sytuacji, ale nie znalazł ani jednego słowa, ani jednego gestu, które nie pogorszyłyby sprawy. A myślał, że jest odporny na kobiecy płacz!

Słuchał, jak szloch z wolna cichnie, ustępując coraz rzadszym westchnieniom. Wreszcie od strony łóżka Allie dochodził już tylko cichy, regularny szmer oddechu. Płacząc, ukołysała się do snu. Odczekał jeszcze parę minut, żeby upewnić się, że naprawdę śpi, po czym podniósł się cicho z łóżka i wyszedł, zabierając ze sobą komórkę. Parking był pusty, więc nie martwił się, że ktoś go usłyszy. Spodziewał się komunikatu automatycznej sekretarki Newcomba - w Nowym Jorku mogła już być trzecia nad ranem - lecz detektyw odebrał po trzecim dzwonku.

- Ross?

- Skąd wiedziałeś? - zapytał zaskoczony.

- A kto mógłby dzwonić do mnie o takiej dzikiej porze?

- Czemu nie śpisz? Bo nie wierzę, że czekałeś na mój telefon!

- Nie, ale rzeczywiście się nie kładłem. Ostatnio niewiele śpię. Mów, co się dzieje. Namierzyłeś Taylora?

- Tak.

- I?

- To bardziej skomplikowane, niż obaj myśleliśmy. Ciszka.

- Czyli nie masz go.

- Mówiłem, sprawa się skomplikowała.

- To znaczy?

- Wmieszana jest jeszcze kobieta. Newcomb westchnął głośno.

- Zwykle kobieta oznacza komplikacje.

- Tę kobietę ściga Taylor. Byłem tam, gdzie mieszka. Ona zachowuje się jak ktoś, kto od drługiego czasu ucieka. Taylor wpadł na jej trop i trafił prosto na nią. Myślę, że ona jest powodem, dla którego urwał się z miasta.

- Ale dlaczego? Kim ona jest?

- Nie chce powiedzieć, ale przejrzałem jej dokumenty. Nazywa się Allie Freeman i jest z Nowego Jorku. Kojarzysz coś?

Chwila ciszy, a potem:

- Pracowała w korporacji Chastaina.

Ross nie poczuł satysfakcji, choć jego podejrzenia się potwierdziły.

- Wiedziałem, że musi być zamieszana w jego sprawę. Czy ktoś w ogóle z nią rozmawiał?

- Nie - odpowiedział powoli Newcomb. - Zniknęła zaraz po zabójstwie Mulroney.

- Cholera, czyli musi wiedzieć coś na temat tamtych wydarzeń. To dlatego Taylor koniecznie chce ją dorwać, ryzykując nawet ucieczkę z miasta. On i Chastain chcą ją uciszyć, żeby nie mogła zeznawać jako świadek. Ale czego była świadkiem?

- Wspominała o tym cokolwiek?

- Ani słowem. Nadmieniła tylko, że nie jest fanką Chastaina i wpadła w śmiertelne przerażenie, kiedy zapowiedziałem, że przekażę ją policji.

- Co masz zamiar z nią zrobić?

- Mam zamiar wydobyć z niej wszystko, co wie.

- Dostarczysz ją do aresztu? Nie tak szybko.

- Tak.

- Gdzie jesteście?

- Zatrzymaliśmy się na noc w motelu przy między-stanowej 80. Jadę do was.

- Dobrze. Wygląda na to, że powinniśmy z nią porozmawiać.

- Jasne - mruknął, ale będziecie musieli poczekać na swoją kolej, dodał w myślach.

Ross zakończył rozmowę i wrócił do pokoju. Coś go niepokoiło, ale nie potrafił sprecyzować, co konkretnie. Z był te myśli, tłumiąc ziewanie. Było zbyt późno, a on był zbyt zmęczony, aby rozumować sensownie. Ale musiał zrobić jeszcze coś...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obudziła się z nerwowym drgnięciem, jak zawsze ostatnio, z sercem walącym głucho w piersi, ze zmysłami od razu czujnie napiętymi i umysłem gorączkowo usiłującym skojarzyć, gdzie i kim jest tego ranka.

Tym razem odpowiedź brzmiała - nikim. Nie, to nie ma sensu. Wyczerpanie i wieczne niedosypianie nie pozwalało jej myśleć.

Pamięć wróciła momentalnie. Ross. Kajdanki. Gniewnie targnęła oksydowanym łańcuszkiem. Gdzie jest? Usiadła ostrożnie i rozejrzała się po pokoju. Drzwi łazienki były otwarte, ukazując kolejne puste wnętrza. Jego łóżko było prawie nieruszone i tylko parę fałd na okryciu wskazywało, że ktoś tu leżał.

Nagle przypomniała sobie o podartym zdjęciu. Gwałtownie wciągnęła oddech, kiedy jej dłoń ścisnęła powietrze. Fotografia znikła! Z rosnącym zdenerwowaniem zaczęła szukać jej pod poduszką. Nagle zobaczyła zdjęcie - stało na szafce nocnej, oparte o ścianę.

Wpatrywała się w nie przez chwilę, zdumiona i zaskoczona. Fotografia była cała. Szybko sięgnęła po nią. Rozdarte połówki zostały starannie złożone i sklezione skoczem.

Allie siedziała przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w zdjęcie z poczuciem dziwnego odrętwienia. Zrobił to dla niej! Naprawił coś, na czym jej zależało. Ale dlaczego?

Drzwi otwarły się, wpuszczając na jej łóżko snop słonecznego światła poranka. Oślepiąca, odwróciła głowę, w pośpiechu chowając fotografię pod poduszkę. Jasność przeciął wielki cień, kiedy Ross wszedł do pokoju.

- Wstawaj - powiedział, w ogóle na nią nie patrząc. - Musimy niedługo wyruszać.

Był wymięty i nieogolony, nadal ubrany w rzeczy, które miał na sobie wczorajszego wieczoru. Musiał w nich spać, co było zrozumiałe, gdyż nie przyniósł ze sobą torby do pokoju. W jednym ręku trzymał zielony brezentowy wojskowy worek, a w drugim kubek i papierową torbę. Cisnął worek na swoje łóżko, pochylił się nad nią i podsunął jej torebkę.

- Masz, zjedz.

- A ty?

- Zjadłem po drodze. Nie martw się, niczego nie wsypałem ci do kawy.

- A do jedzenia?

- Również jest czyste. Nie obiecuję natomiast, czy dalej tak będzie.

Wzięła kubek, uważając, aby nie dotknąć jego palców i chciwie pociągnęła łyk, drugą ręką muskając sklezione zdjęcie. Świadomość tego, co dla niej zrobił, znów ją usztywniła. Słowa podziękowania czekały gotowe i wiedziała, że powinna je teraz-wypowiedzieć. Chciała tego, lecz więzły jej w gardle. Wpatrzyła się w naczynie i moment na ich wypowiedzenie przeminał bezpowrotnie. Ross zaczął się odwracać.

Szarpnęła się w okowach, aż obrączki zabrzęczały o metal węglowia, do którego była przykuta.

- Otwórz! Muszę do łazienki.

- Teraz będziesz musiała zaczekać, bo ja chcę wziąć prysznic.

- Co mam zrobić, zatkać sobie? Ross podniósł worek i pokręcił głową.

- Bądź grzeczna, Allie. Wrócę za parę minut. Wytrzymasz.

- Przynajmniej nikt nie zmusza cię, żebyś zrobił strip-tiz - stwierdziła zjadliwie. Zatrzymał się w pół kroku do łazienki. Coś w jego postawie uruchomiło w głowie Allie sygnał alarmowy. Puls w odpowiedzi zadudnił szybciej. Ross patrzył prosto na nią zmrużonymi oczami, emanując emocje, których nie potrafiła zidentyfikować. Cokolwiek to było, wprawiło ją w nerwowe rozzedrganie.

Upuścił worek na podłogę.

- Masz rację - powiedział i niezwłocznie zsunął z nóg oba buty, odkopując je od siebie poirytowanym ruchem.

- Co robisz? - zapytała pozornie obojętnym tonem. Doskonale wiedziała, co robi, obserwując, jak palcami stopy przytrzymuje skarpetki i również je ściąga. Potem wyszarpnął dół koszuli z dzinsów.

- Nie wiem, co chcesz mi udowodnić - rzekła zgryźliwie.

- Nic. Po prostu rozbieram się, żeby iść pod prysznic. - Powiedziawszy to, jednym płynnym ruchem zdjął bawełniany T-shirt i odrzucił go za siebie. Stał przed nią nagi do pasa. Kącik ust podjechał mu leciutko do góry.

- Co się dzieje, Allie? - zapytał z udawaną troską. - Zrobiłaś się nerwowa? Usiłowała nie patrzeć na niego. Umknęła spojrzeniem w bok, byle dalej od tego męskiego okazu, który obserwował uważnie każdą jej reakcję.

- Głupie pytanie, zadane przez faceta, który przykuł mnie na noc do łóżka, a teraz rozbiera się przede mną - warknęła.

- Oboje wiemy, że nie zamierzam cię wykorzystać. Umówmy się natomiast, że gdybym tylko chciał, już dawno bym to zrobił.

Allie teatralnie wywróciła oczami. Święta prawda. Ale zamiast dalej się boczyć, wpatrywała się w pierś mężczyzny.

Przeniknął ją czysto kobiecy dreszcz napiętego, zmysłowego wyczekiwania. Jego ciało pasowało do rzeźbionych, kanciastych płaszczyzn twarzy - miał potężne, twardo zarysowane mięśnie bez grama tłuszczu. Ciemny zarost na piersi zagęszczał się ku dołowi brzucha, gdzie... Odwróciła wzrok, przeklinając się w duchu, że patrzyła za długo.

Upewniła ją o tym zarozumiała męska satysfakcja, którą zdążyła dostrzec w spojrzeniu Rossa. Odchrząknęła.

- Do czego to ma prowadzić? - zapytała sucho, nie patrząc na niego.

Wyszarpnął pasek ze spodni z takim impetem, że skórzana końcówka klasnęła głośno w powietrzu.

- Pomyślałem, że tego właśnie chcesz. Przyjemne sprawy i niech wszystko zostanie między nami. -Odpiął guzik dżinsów. - A może zrobiłaś to przedstawienie, żebym się odczepił?

Zgrzyt rozsuwanego zamka rozbrzmiał jej w uszach.

- Okey, skoro koniecznie chcesz mi pokazać drobiazgi, które ci tam jeszcze zostały, dawaj, nie krępuj się - prowokowała. Zatknęła kciuki za pasek dżinsów i powolnym ruchem zsunął je z bioder.

- Byłoby mi łatwiej, gdybyś się tak nie czerwieniła, dziecko - skomentował, występując ze spodni, które opadły mu wokół kostek, ukazując stanowczo zbyt obcisłe bokserki.

- To ty się nie czerwień, Ross. No, dalej, czyżbyś miał coś do ukrycia? Mało dekoracyjne blizny?

- Sama zobacz.

Nonszalanckim ruchem zrzucił bokserki i stanął przed nią nagi.

Tym razem nie spuściła wzroku. Trudno, jest tylko kobietą. Nigdy jeszcze nagi mężczyzna nie stał tak przed nią i nie myślała, że odważy się popatrzeć.

A patrząc, poczuła niezachwianą pewność, że i tak nie byłaby w stanie odwrócić wzroku. Nic nie było w nim małe. Fascynował ją i zarazem irytował. Był wielki i twardo umięśniony, od mocarnych ramion po potężne uda. I jeszcze to coś. Tak samo niemałe.

- No, to nareszcie jesteśmy kwita - stwierdził.

Ten triumfalny ton wyrwał ją z oszołomienia. Nagle uświadomiła sobie, że gapi się jak idiotka, z rozchyłonymi ustami, czując w nich nieznośną suchość. Zamknęła je natychmiast - zbyt późno.

- Tak jak przypuszczałam, nic specjalnego. Gdyby miała pod ręką coś innego niż cenną kawę, cisnęłaby w drania. Zasłużył sobie. Tymczasem mogła tylko siedzieć, patrząc bezsilnie, jak chwyta swój worek i rażno zdąża ku łazience.

Och, przynajmniej jestem cała i żywa, powiedziała sobie w duchu, a facet ma naprawdę świetny tyłek. Nawet lepszy niż cała reszta. Przynajmniej było na co popatrzeć.

Wcale jej to nie pocieszyło. Czy właśnie Gideon Ross musiał być facetem, na którego wreszcie zwróciła uwagę?

Chyba głupieję, stwierdziła z przerażeniem. I to z jego powodu. Tym gorzej dla drania! Zdegustowana odwróciła spojrzenie i

powiodła nim po pokoju. Zatrzymało się na stercie ubrań, które zostawił na podłodze tak, jak upadły. W tym dżinsy, w których trzymał klucz od kajdanek. Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Uśmiechnęła się triumfalnie, po czym skupiła uwagę na metalowej ramie łóżka, do której przypięte były jej okowy. Chwyliła ją obiema rękami i spróbowała pociągnąć, ale leżanka opornie przesuwiała się po wykładzinie i w końcu Allie postanowiła zepchnąć z niej materac. Wyjęła spod poduszki zdjęcie i zaczęła z wysiłkiem przepychać gruby materac na drugą stronę, zerkając przy tym co chwila na drzwi łazienki. Zastrzygła uszami, kiedy wreszcie z tąpnięciem opadł na podłogę, ale uspokajający szum prysznic nie ustawał.

Teraz łóżko stało się lżejsze. Mocno chwyciwszy ramę rękami, natężyła się i drobnymi szarpnięciami, aby nie robić za wiele hałasu, jęła przesuwac po wykładzinie nieporęczny, poskrzypujący mebel, zamieniając się w słuch przy każdym szurnięciu. Prysznic szumiał, lecz należało się spodziewać, że Ross w każdej chwili może wychynąć z łazienki.

Wreszcie Allie udało się podsunąć do dżinsów na długość ciała. Musiała jeszcze odrobinę przesunąć łóżko.

Napięcie tętniło jej w głowie. Jeśli tylko zdoła zahaczyć palcem nogi o szlufkę... Kiedy myślała, że nie wytrzyma już bólu przykutego, wyciągniętego do granic możliwości ramienia, dotknęła spodni i udało się jej wsunąć palec. Powoli, zaciskając wargi, przyciągała do siebie stopę i spodnie. Wreszcie dżinsy znalazły się w zasięgu jej ręki. Z ulgą wypuściła powietrze z płuc i sięgnęła do kieszonki.

Znalazła kluczyk od kajdanek. A z bocznej kieszeni wyciągnęła kluczyki od pikapa. Nie wierzyła we własne szczęście. Dzięki, draniu.

Nie było czasu, żeby smakować zwycięstwo. Poruszała się szybciej niż kiedykolwiek. Prysznic w łazience szumiał jeszcze, a woda dudniła w rurach na ścianie. Nasłuchując czujnie, odpięła kajdanki i przez moment masowała obolały przegub, usiłując przywrócić krążenie. Potem szybko wbiła się w dżinsy i zapinając suwak, drugą ręką chwyciła fotografię. Zarzuciła torbę na ramię i już była przy drzwiach.

Oślepiło ją poranne słońce. Mrużąc oczy, skierowała się w stronę auta. Nagle stanęła jak wryta.

Z drugiej strony samochodu stał jakiś mężczyzna i zaglądał do środka. Był wysoki i wyglądał groźnie; z kimś takim nie weszłaby w ciemną uliczkę. A nawet na oświetlony słońcem parking. Trwała w przerażeniu o parę sekund za długo. Zanim zdołała zmusić nogi do posłuchu, obcy odwrócił się i popatrzył prosto na nią.

Niemal niedostrzegalna zmiana jego postawy, błysk w oku odpowiedziały Allie, że została rozpoznana.

Rozejrzała się w popłochu. Nie miała dokąd uciec. Z pewnością był szybszy. Bieg do recepcji odpadał, bo wmieszaliby się w to inni ludzie. Pozostała tylko alternatywa.

Albo on, albo Ross. Wszystko jasne.

Gdy mężczyzna sięgnął do kieszeni, mięśnie Allie zareagowały wreszcie. Nim zdążył wyjąć broń, zawróciła i popędziła z powrotem.

Drzwi pokoju zamykały się na zasuwkę, łańcuszek i zamek w gałce. Żadne z nich nie zdołałoby na długo powstrzymać kogoś, kto bardzo chciałby tam wtargnąć. Ale zamknęła wszystko i dysząc ciężko, rozejrzała się, desperacko szukając dalszej drogi ucieczki. Czuła wibracje podłogi, wzbudzone w korytarzu zbliżającymi się krokami napastnika.

Naprzeciwko drzwi znajdowało się okno. To była jedyna droga. Nie licząc łazienki. Jednym skokiem dopadła okna w momencie, gdy z łazienki wyłonił się Ross. Kątem oka zarejestrowała jego zszokowaną minę, gdy zobaczył ją przed sobą, wolną. Szybkim chwytem unieruchomił przegub Allie.

- Jak uwolniłaś się z kajdanków? - warknął.

Był całkowicie ubrany. Dzięki Bogu za tę drobną łaskę, pomyślała.

- Musimy natychmiast stąd wiać - rzuciła. Puścił jej przegub, słysząc, że nie żartuje.

- Dlaczego? Co się dzieje?

Obeszła go i ostrożnie zerknęła przez okno.

- Facet na parkingu. Zaglądał do twojego wozu. Zobacz! mnie. Zaraz tu...

- Taylor?

Zamilkła, niepewna, co odpowiedzieć. Jeśli powie, że nie, pewnie będzie chciał wiedzieć, kto to. A czy w ogóle jej uwierzy?

- Nie jestem pewna - bąknęła.

Ross sięgnął do swojego worka i wyciągnął broń.

- Dobra, rób, co chcesz, ja wychodzę tędy - powiedziała, przysuwając się do okna. Szyby były zamalowane, a samo okno zamknięte na głucho.

Ross chwycił ją za ramię.

- Nie ma mowy.

- Zdecyduj się, czy zależy ci na nim, czy na mnie. Nie dasz rady ogarnąć i jednego, i drugiego, a ja nie mam zamiaru zostać tu jako tarcza strzelnicza, bo on też ma broń.

Drgnęli oboje, słysząc, jak drzwi zatrzeszczały od potężnego naporu.

Ani przez moment nie wątpiła, że Ross się z nią zgadza, zanim powiedział:

- Dobra, ja pierwszy.

Wcisnął pistolet za pasek spodni i odepchnąwszy ją bezceremonialnie, rąbnął łokciem w szybę. Rozsypała się; błyskawicznie wyciągnął sterczące z ramy odłamki.

Allie wyrzuciła torbę na zewnątrz, a potem wskoczyła na parapet z pomocą Rossa, który utworzył z dłoni stopień, aby mogła postawić stopę.

Upadła, lądując na rękach i kolanach na przerośniętym zielskiem żwirowym podwórku na tyłach hotelu. Nie zważając na ból dłoni, w które wbiły się drobiny żwiru, chwyciła torbę i pobiegła przed siebie. Nie musiała czekać na Rossa. Zeskoczył tuż za nią i natychmiast chwycił ją za przegub. Tym razem nie szarpała się. Miała ważniejsze zmartwienia. Łomot wyważanych drzwi dobitnie jej o tym przypomniął.

- Jazda!

Podbiegli do rogu i wyjrzeli czujnie na parking. Mężczyzny nigdzie nie było widać. Przedpole było czyste.

Allie już chciała biec do auta, lecz Ross powstrzymał ją. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Przynajmniej dwie z opon pikapa - te dwie, które widzieli - były przebite.

- Zabezpieczył sobie tyły - skomentował Ross.

- Co teraz?

- Teraz ukradniemy samochód.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Bezczelnie zmierzył ją spojrzeniem, w którym dostrzegła cień rozbawienia.

- Mówiłem ci już, że nie jestem gliną. I nie muszę być tak skrupowany przepisami jak oni. To jeden z plusów mojego zawodu.

- W tym mieści się kradzież samochodów?

- Od tej chwili tak. Zwłaszcza jeśli ma to powstrzymać właściciela wozu od pościgu.

- Co...? - Przyjrzała się bliżej autu, na które patrzył. Miało nowojorską numerację. - To jego wóz?

- Tak. Masz zastrzeżenia?

- Nie.

- Fajnie. Lećmy!

Popędzili do sedana, który okazał się nie zamknięty. Połączenie przewodów na krótko zajęło Rossowi

niecałe trzy sekundy. Silnik zaskoczył.

Spojrzenie w boczne lusterko upewniło Allie, że ich prześladowca nie przegapił momentu, w którym odpalono silnik jego auta. Biegł ku nim, lecz nie tak szybko, jak się spodziewała. Może jednak uciekłyby przed nim....

Ross wrzucił bieg i wyprysnął z parkingu w obłoku pyłu, który szybko skrył postać stojącą na poboczu i patrzącą, jak znikają w dali.

Z westchnieniem ulgi opadła na siedzenie. Była wolna, bez kajdanek. Przy najbliższej okazji mogła spróbować uciec... Radość trwała krótko.

Po paru kilometrach zjechał na pobocze i zanim zdążyła się zorientować, znów zatrzasnął jej kajdanki na przegubie.

- Co robisz?

- Zawsze noszę ze sobą zapasową parę. - Na desce rozdzielczej był plastikowy uchwyt. Na nim zapiął drugi zamek.

- Ale... ^A zamilkła, nie znajdując słów.

- Odjęło ci mowę? Lubię cię taką. Nie mam wyjścia, przecież nie zostaliśmy przyjaciółmi, prawda?

- W żadnym razie - wycodziła.

- Jasne. A ja w żadnym razie nie zamierzam znów pozwolić ci uciec.

- Nie wątpię, że poprzednie dwa razy też tak myślałeś.

- Ale jakoś ci się nie udało, prawda?

- Do trzech razy sztuka.

- Zobaczymy.

Dominick Brancato patrzył, jak jego samochód szybko znika mu z oczu. Przeczekał pierwszy atak furii, aż wróciła mu zdolność myślenia.

Kobieta okazała się trudniejszym celem, niż się spodziewał. Nie spodziewał się także, że na drodze stanie mu jeszcze ten łaps. Zrobili z niego idiotę! A on bardzo nie lubił, kiedy ktoś robił z niego idiotę.

Brancato odwrócił się i idąc z powrotem, zobaczył portiera z recepcji, który spoglądał na niego podejrzliwie zza rogu motelu. Tego jeszcze mu było trzeba - żeby gość dorwał go i zaczął zadawać zbędne pytania.

Odwrócił się na pięcie i opuścił teren motelu tak szybko, jak tylko zdołał bez wzbudzenia podejrzeń. Przede wszystkim trzeba stąd zniknąć, zanim nadjedzie policja, co z pewnością zaraz nastąpi. Potem musi koniecznie załatwić nowy komplet kół.

Na razie miał zresztą na głowie większy problem niż samochód. Jeśli będzie miał szczęście, Ross nie zdoła dojść, jakim cudem ich tutaj namierzył. Ale lepiej było na to nie liczyć. A wówczas sprawa nie będzie już taka prosta.

Jednak jest szansa. Ross uzna zapewne, że porwanie samochodu utrudni Brancato pościg. Tymczasem nie ma pojęcia, jak ułatwił mu zadanie. Kiedy tylko uda mu się załatwić koła albo nowy wóz, namierzenie starego będzie jak bułka z masłem. Od tego przecież jest GPS.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jechali w milczeniu przez ponad godzinę. Ross stale zerkał w tylne lusterko, sprawdzając, czy nie są śledzeni. Widział, że Allie kontroluje to samo w bocznym.

Zachowywali się z lekka paranoicznie, bo jakim cudem Taylor albo ten gość z parkingu mieliby ich teraz namierzyć? A jednak pozostał czujny. Po godzinie spokojnej jazdy odprężył się nieco.

- Allie?

- Tak?

Chytry uśmieszek zatańczył w kącikach jego ust.

- Więc przyznałaś się wreszcie, że to twoje imię. Nie odwróciła głowy od okna.

- Nie.

- Dlaczego więc zareagowałaś na nie?

- Bo mówiłaś wyraźnie do mnie. Nie ma nikogo trzeciego w tym aucie. Pokręcił głową.

- Uparta jesteś.

- A uwolnisz mnie?

- Nie.

- Więc się nie dziw.

- Dobrze, jeśli mi nie powiesz, nadal będę cię nazywał Allie.

- Nazywaj mnie jak chcesz, a i tak jestem kimś innym.

- Chyba zaczynam cię trochę rozgryzać, Allie - powiedział w zamyśleniu.

- Naprawdę? - zapytała rozbawiona. - A co cię tak oświeciło, jeśli wolno wiedzieć?

- Ta krótka wymiana zdań przed motelem na temat kradzieży samochodów. Przestępca raczej by tak nie zareagował.

- Mówiłam ci, że nie jestem przestępcą!

- Zabawne, ale naprawdę zaczynam ci wierzyć. Choć bardzo trudno jest mi przyjąć do wiadomości, że ktoś zamieszany w sprawę Chastaina i Taylora może być niewinny.

Uśmiechnęła się smętnie.

- Nie mówiłam, że jestem zamieszana.

- Och, jasne, nie mówiłaś wielu rzeczy. Tym niemniej jestem skłonny uwierzyć ci, że nie masz na sumieniu niczego nielegalnego. To zaś z kolei prowadzi mnie do wniosku, iż nie boisz się glin, dlatego że za coś cię poszukują. Ty boisz się, aby nie kazano ci zeznawać.

- Nieźle, Sherlocku.

- Z jakiego jeszcze powodu Chastain miałby pragnąć twojej śmierci?

- Chyba nie oczekujesz, że udzielę ci wyczerpującej odpowiedzi? Proponuję, żebyś sam dopowiedział sobie resztę tej wysanej z palca historyjki i przestał mnie nią zanudzać, dobrze?

- Posłuchaj, Allie, obojętnie, co ci grozi, będę cię chronił. Popatrzyła na niego z kamienną twarzą, a w jej głos wkradł się chłód.

- Jesteś pewien? Powiedz mi w takim razie, Ross, skąd ten człowiek wiedział, gdzie jesteśmy? Jakim cudem z setek autostrad prowadzących do Chicago wybrał tę konkretną i zajechał do naszego motelu? A przecież oboje wiemy, że z nikim nie rozmawiałam. Natomiast założę się, że ty tak, prawda?

Wzdragał się pomyśleć o Newcombie; nie chciał myśleć, że mógłby być do tego zdolny. Milczenie Rossa mogło uchodzić za każdą odpowiedź.

- Niech zgadnę, to musiał być ktoś z policji. Ktoś, komu ufasz, tak? Może nawet osoba, która posłała cię za Taylorem. Ktoś, komu dotąd nie udało się zdobyć dowodów przeciwko Chastainowi i musiał za każdym razem puszczać go wolno. Ufasz mu?

Znów zmilczał.

Pochyliła się jeszcze bardziej ku niemu, aż szeptała mu wprost do ucha, jak przysłowiowy wąż, kuszący, aby uwierzył w coś, w co wierzyć nie powinien.

- Powiedz mi więc jeszcze raz, Ross. Powiedz mi, jak chcesz uchronić mnie przed Chastainem, skoro nawet nie potrafisz obronić mnie przed glinami?

- Każdy, kto widział cię ze mną, mógł sobie wyobrazić, że pierwsze, o czym pomyśle, będzie przewiezienie cię do Nowego Jorku. Taylor mnie zna. Jeżeli rozmawiał z kimkolwiek z twoich sąsiadów, z kimś, kto widział nas razem, powinien wiedzieć, jak postępuję zwykle ze świadkami. W spojrzeniu Allie pojawił się nikły wyraz współczucia.

- Nadal wierzysz, że wszyscy policjanci to dobrzy chłopcy? Miło z twojej strony. Ale ja już od dawna muszę mierzyć się z twardą rzeczywistością. To brutalne przebudzenie, mówię ci.

Uśmiechnął się.

- Przyszła pora na opowiadanie o sobie, tak? Odwróciła się od niego i podsunęła się bliżej okna.

- Nie łudź się.

- Bynajmniej. Może teraz ja powiniennem opowiedzieć ci pewną historię z mojego życia, która uświadomi ci, kim są dobrzy i źli chłopcy w tej chytrej grze, w którą grasz. I może zrozumiesz, kogo tak naprawdę usiłujesz chronić.

- Jedyną osobą, którą usiłuję chronić, jestem ja sama.

- Allie, Chastain jest mordercą. Ma na sumieniu śmierć wielu niewinnych ludzi, których spotkał straszny koniec tylko dlatego, że jakiś skurwysyn ze slumsów zapragnął czegoś, czego nie może mieć. Wzruszyła ramionami.

- Zaskocz mnie czymś, czego nie wiem.

- Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Naprawdę jesteś aż taką egoistką, że potrafisz przejść do porządku dziennego nad jego zbrodniami?

Czekał na reakcję Allie, mając nadzieję, że choć trochę ukruszy mur jej ryzykanckiego oporu. Pragnął choć trochę ją zmiękczyć.

Ale kiedy spojrzała na niego, wzrok miała aż nadto wnikliwy i skupiony.

- Kto dokonał zbrodni, o której mówisz? Cholera! Jest stanowczo zbyt bystra. Przeniósł spojrzenie na szosę.

- O kim mówisz?

- Ta sprawa ma dla ciebie znaczenie osobiste. Czemu? Która z jego licznych zbrodni tak bardzo tobą wstrząsnęła?

Syknął ze złością.

- Obiecałem ci opowieść, tak? Więc słuchaj, oto ona. Dotyczy łowcy nagród, który nazywał się Jed Walsh. Świetny facet, najlepszy. Dobrze wykonywał swoją robotę. Ludzie go szanowali. On zaś pomagał ludziom i kiedy trafił na dziecko ulicy, zajął się nim.

- Ile lat miało to dziecko? - zapytała tonem tak obojętnym, że nie potrafił rozsądzić, czy naprawdę interesuje ją ta historia.

- Trzydzieści. Prawdziwy łobuz, z takich, w których sprawie ludzie dzwonią na policję, prosząc, aby coś z tym zrobić. Arogancki. Pewny siebie.

- Pewne rzeczy się nie zmieniają - mruknęła.

- Ale inne tak. Jed wziął chłopaka pod swoje skrzydła, nauczył go roboty, wpoił mu poczucie dumy i własnej wartości, nauczył odpowiedzialności. Zrobił z niego mężczyznę.

Ross z wysiłkiem przełknął ślinę. Nie przypuszczał, że ta wiewsekcja wspomnień tak na niego podziała. Pamięć podsunęła mu twarz Jeda z tamtych czasów, kiedy spotkali się po raz pierwszy; kiedy jawił mu się jak najbardziej surowa matka. I Jeda w ćwierć wieku później, lekko pochylonego, uwięzionego w ciele, które nie chciało już funkcjonować tak sprawnie jak dawniej. A mimo wszystko nadal był najsilniejszym facetem, jakiego znał.

- I co się z nim stało? - zapytała łagodnie Allie.

- W końcu przeszedł na emeryturę, dawno po terminie, głównie dlatego że poważnie zaczęło szwankować mu zdrowie i wreszcie zmuszony był przyznać, że przyszedł na niego czas. Za

oszczędności całego życia udało mu się wykupić dom, w którym mieszkał, i uważał, że zrobił dobry interes. Rzeczywiście, miał wyczucie. Po paru latach, kiedy ta lokalizacja zyskała na wartości

i zaczęli się wokół niej kręcić deweloperzy, wykupując wszystko, co się da, ceny skoczyły do nieba. I okazało się, że Jed ma najbardziej pożądaną działkę w okolicy. A twój kumpel Chastain zaczął węszyć, kombinując, jakby tu tanio wykupić Jeda.

- On nie jest moim kumplem! - zaprotestowała ostro. W jej głosie zabrzmiała groźba... ostrzeżenie, że da mu popalić, jeśli zbyt jej dopiecie.

Zignorował ją.

- Jed nie gonił za forszą. To miejsce było jego domem. I chciał tam dożyć w spokoju swoich lat. A Chastain nie pozwolił mu na to. Dla niego nie liczyła się odpowiedź „nie”. Nasłał więc na niego drugiego z twoich przyjaciół, Taylora. A w takich sprawach Taylor jest dobry, jak sama wiesz. Potrafi przekonać ludzi do sprzedaży, nie ułatwia życia właścicielom nieruchomości. - Zerknął kontrolnie na Allie, lecz jej mina nie wyrażała żadnych uczuć. - Dobra, przecież znasz te sprawy. Niby nic się nie działo. Rozumiesz, wybite okna, coraz częściej odcinane woda i prąd. Lokatorzy zaczęli wyprowadzać się z budynku i Jedowi coraz trudniej było znaleźć nowych na ich miejsce. Jednak Jed był koszmarnie uparty. Wszak przez większość życia miał do czynienia z ludźmi ze społecznych dołów i jakoś dawał sobie radę. Nie dał się tak łatwo nastraszyć. Lecz pewnego dnia Taylor złożył mu wizytę. Taylor wyszedł z budynku, a Jed już tam pozostał.

- Zabił go?

- Jed zmarł na atak serca. Doprawdy, dziwne. Szwankowało mu serce i zawsze miał pod ręką pigułki na wypadek, gdyby pojawiły się bóle w klatce piersiowej. Leżały na stoliku obok fo-

tela, w którym siadywał i w którym widziałem go tego dnia przed południem. Kiedy wieczorem przyjechało pogotowie, Jed siedział w fotelu martwy. I nigdzie nie było pigułek.

- Sądzisz, że Taylor je zabrał?

- Wiem to. Jed zażywał je za każdym razem, kiedy tylko pomyślał o Chastainie i Taylorze. A tu jeden z nich odwiedza go w jego własnym mieszkaniu! Koroner stwierdził, iż Jed zmarł na atak serca dokładnie w czasie wizyty Taylora. Nietrudno połączyć elementy łamigłówek, prawda? Wiedziałem, co się stało; wszyscy wiedzieli. Ten skurwysyn stał tam i patrzył, jak stary człowiek umiera, czekając, aż będzie mógł przejąć jego posiadłość. Życie człowieka za drogi skrawek ziemi w Nowym Jorku. Dobry interes, nie?

- Rozumiem, że Chastain wykupił budynek?

- Oczywiście. Jed nie sporządził testamentu, bo uważał, że takie sprawy mogą przynieść nieszczęście. Nie miał legalnych spadkobierców, więc majątek wystawiono na aukcję. Chastain wykorzystał okazję. Teraz postawiono tam apartamentowce. Wystarczyła godzina, aby unicestwić dorobek całego życia Jeda.

Allie milczała przez chwilę.

- Tak mi przykro - powiedziała wreszcie. Wiedział, że mówi szczerze. Jednak chodziło mu o to, aby wyciągnęła odpowiednie wnioski z opowieści.

- Mnie też. I to jest właśnie człowiek, którego chronisz. I nie wmawiaj mi, że jest inaczej. Jeżeli wiesz coś i nie chcesz powiedzieć, tym samym pomagasz bezwzględnemu przestępcy. Obojętnie, co o tym sądzisz.

Wpatrywała się w niego uważnie ciemnymi oczami.

- Co gotów byłbyś zrobić, żeby widzieć Chastaina w celi śmierci? - zapytała.

- Wszystko - odpowiedział natychmiast. Odwróciła głowę.

- Wierz mi lub nie, ale ja też. Tyle że tak naprawdę mnie nie potrzebujesz. Przeszukałeś moją torbę. Wiesz, że interesuję się procesem. Wiem, że jest nagranie z morderstwa. Oni już go mają.

- Nie całkiem. Potrzebują naocznego świadka, który widział kłótnię pomiędzy Chastainem a tą Mulroney. To pomogłoby określić motyw.

Pokręciła głową.

- Wierz mi, gdybym mogła, pomogłabym ci.

- W takim razie pozwól, abym pomógł tobie.

- Nie możesz. Nikt nie może.

- Chryste, mówiłem, że będę cię ochraniał!

- Ja też ci mówiłam. Nie potrafisz.

W jej słowach nie było gniewu, tylko żal i rezygnacja.

Allie przymknęła oczy i skuliła się na fotelu, jak gdyby rozmowa wyczerpała ją. Milczała.

Ross wiedział, że historia śmierci Jeda poruszyła ją. Widział to po jej twarzy. Jednak musiało być coś ważniejszego, co powstrzymywało ją od mówienia.

Musiał dowiedzieć się, o co chodzi, nawet gdyby miał przeświecić całe życie Allie Freeman. Niestety, sam już nie wiedział, komu może zaufać, by mu w tym pomógł. Nie mógł szukać pomocy u kogoś, kogo nie był pewien w stu procentach, co - jak musiał z bólem przyznać - wykluczało Newcomba. Jedyne de-

tektyw wiedział, którą drogą pojechali. Mając taką informację, nie musiał nawet pytać, w jakim motelu się zatrzymali. Ross dał mu wystarczającą ilość czasu, aby sprawdził każdy motel przy drodze.

Newcomb go okłamał. Teraz był tego pewien. Najlepszy dowód, jak zareagował, kiedy wymienił nazwisko Allie.

Nie mógł pozwolić sobie na gorzkie myśli o zdradzie. Newcomb mógł współpracować z Chastainem równie dobrze teraz, jak i od dawna. Chastain nie uchowałby się długo, gdyby nie miał przekupionych wtyk w policji. Lecz myśli, że jednym z tych zdrajców jest właśnie Newcomb bołała jak cholera... Odepchnął te myśli. Nie miał czasu na ich roztrząsanie. Z Newcombem rozliczy się później. Nie, absolutnie nie może mu ufać.

Co oznaczało, że musi natychmiast znaleźć inną zaufaną osobę. Do licha, przestań wydzwaniać!

Taylor, sprawdzwszy, kto dzwoni, cisnął komórkę na siedzenie pasażera. Od wczorajszego wieczoru Chastain bez przerwy dręczył go telefonami. Tymczasem Taylor nie miał dla niego żadnych nowych wieści i kompletnie nie miał ochoty tłumaczyć, że samochód rozkraczył mu się pod Chicago i przez pół nocy musiał szukać drugiego wozu, przez co powrócił na trasę z dużym opóźnieniem. Przeniósł wzrok na ekran urządzenia, leżącego obok na przednim siedzeniu. Powoli przesuwający się punkt oznaczał auto, które namierzał. Miał szczęście, gdyż nie zdążyło oddalić się zbyt. Gdy zatrzymało się, pomyślał, że wkrótce je dopadnie - jednak ruszyło znowu. Spokojnie. Prędzej czy później zrówna się z celem. To tylko kwestia czasu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Oślepla.

Szarpnęła się na siedzeniu w nagłym przypiływie paniki. Nic nie widziała. Wszystko było czarne. Co on jej zrobił?

Nie, jednak nie wszystko. Daleka poświata zaczęła rozpraszać ciemności. Światło zbliżało się i rosło, aż zorientowała się, że to podświetlona tablica przy autostradzie. Znów była noc. Musiała spać.

Potrząsnęła głową, aby przywrócić oszołomiony umysł do życia. Dziwne, nigdy nie zasypiała tak gładko i nie budziła się tak opornie. Żyła w zbytnim napięciu. To nie miało najmniejszego sensu.

- Dzień dobry.

Poczuła na sobie wzrok Rossa. Nie odwróciła głowy, by nie zauważył jej zmieszania.

- Nie widzę, aby był już dzień - mruknęła. Wzruszył ramionami.

- Noc i przedświt niewiele różnią się w chwili, kiedy słońce jeszcze nie weszło - powiedział. W głowie Allie zabrzączał dzwonek alarmowy.

- Przespałam całą noc?

- Nie. Słońce zaszło pół godziny temu.

- Ciekawe - burknęła. Przespała pewnie tylko parę godzin, ale czuła się dziwnie wypoczęta.

Wolała nie myśleć, czemu potrafiła zasnąć jak dziecko przy tym facecie, skoro od roku nie udało się jej przespać ani jednej całej nocy. Po kilkanaście razy budziła się spięta, zasypiała znów z mozołem i chodziła wiecznie niedospana.

Podejrzanie wkradło się w jej myśli. Zmierzyła Rossa spojrzeniem spod oka.

- Na pewno nie dołałeś mi czegoś do napoju w czasie posiłku? Zachichotał.

- Zdaje się, że należysz do ludzi, którzy budzą się źli jak osy - skomentował. - Czyżby to było odbicie twojej prawdziwej osobowości?

- Przepraszam - zmitygowała się. - Po prostu nie nawykłam do tak długiego spania. A swoją drogą, gdzie jesteśmy? - Z pewnością bliżej Nowego Jorku niż parę godzin wcześniej. Nie jechali już autostradą międzysta-nową, tylko jedną z lokalnych szos, które Ross wybierał za dnia, aby zmylić ewentualny pościg.

- Gdzieś w Pensylwanii.

- Jesteś pewien?

- Udało mi się to nawet sprawdzić na mapie. Zdumiewające, o ile lepiej mi idzie, kiedy jesteś nieobecna duchem.

Światło reflektorów wyłuskało z mroku znak, który przypomniiał jej o bardziej palącym problemie.

- Zaraz będzie parking. Zjedź tam. Noga na pedale gazu nie drgnęła.

- Zatrzymałem się pół godziny temu, żeby zatankować. Ominął cię postój.

- Mogłeś mnie obudzić!

- Wolę, kiedy niedźwiedź śpi.

- Nie mogłeś od razu zaprawić mnie w łeb pałką i ciągać za włosy?

- Nie kuś mnie, kobieto.

Tablica pojawiła się ponownie, zachęcając kierowców do jadła i odpoczynku.

- Zatrzymaj się. Muszę do toalety.

- Nie zamierzam tracić więcej czasu. Poczekasz, aż znów wezmę paliwo.

- Próbowales kiedyś wyperswadować komuś odruch naturalny, Ross? Zaraz będziesz miał tu kałużę. Założę się, że będzie to równie nie mile dla ciebie, jak i dla mnie.

Zrazu nie zareagował, ale kiedy zamierzała znów zaprotestować, zaczął hamować i w ostatniej chwili odbił w bok.

Na parkingu stał niewielki niski budynek, mieszczący prawdopodobnie tylko toalety i salę z automatami sprzedającymi. Stało przed nim parę vanów i aut osobowych. Kiedy tam wjechali, z toalety wyszła kobieta, trzymająca za rękę małą dziewczynkę, kierując się na prawo, w stronę małego auta, za którym w oddale zaparkował Ross.

- Zaczekamy, aż odjadą - rzekł.

- Nigdzie się nie ruszam, na razie.

Z drugich drzwi wyłonił się mężczyzna, niosąc w rękę porcję batonów i dołączył do kobiety w samochodzie. Za moment szczęśliwa rodzinka odjechała. Allie zadzwoniła kajdankami.

- Możemy iść?

Ross nie zareagował; tak długo obserwował budynek, że Allie wydała zniecierpliwione westchnienie. Wreszcie wysiadł, wepchnął broń w tylną kieszeń dżinsów, zasłonił ją połami koszuli i obszedł samochód, aby otworzyć drzwiczki po jej stronie.

- Zapamiętaj - powiedział, pochylając się nad Allie. - Idziemy do toalety obok siebie, jak gdyby nigdy nic. Zapukam, kiedy tam wejdziemy. Jeśli nikt nie odpowie, upewnię się, czy jest bezpiecznie i czy jest drugie wyjście. Jeśli będzie zajęte, wracamy do wozu i czekamy, aż ten ktoś odjedzie. Masz dokładnie dwie minuty na swoje sprawy, potem wchodzę. Rozumiesz?

- Czy nie powinniśmy zsynchronizować zegarków? Wyjął kluczyk i sięgnął do kajdanek.

- Nie nosisz zegarka.

Skrzywiła się, kiedy odpięte od deski rozdzielczej ogniwo opadło w dół i ruch metalu podrażnił jej obolały przegub. Ross przez cały czas rozglądał się skrycie i czujnie, zwracając uwagę na każdy szczegół, każdy podejrzaną cień. Wysiadła, sięgając po torbę.

- Zostaw - nakazał.

- Muszę się odświeżyć.

- Torba może ci być potrzebna do ucieczki. Zostaw ją! Z wysiłkiem stłumiła gniew, choć zapewne i tak go wyczuła. Świetnie potrafił odczytywać jej nastroje. Zresztą nie trzeba było być specjalnie byстрыm, by domyślić się, że ciągle planuje ucieczkę. I tak też było. Ruszyli w stronę budynku.

- Miejmy to już z głowy - powiedziała, popychając go, by szedł szybciej. - Nie obawiasz się, że ktoś może nabrać podejrzeń, widząc, jak razem wchodzimy do toalety? - zagadnęła po chwili.

- Może jesteśmy świeżo poślubioną parą. Takie papużki - nierozłączki często trzymają się za ręce.

- A może jesteśmy z tych, co to lubią wpaść na szybki numerk do damskiej toalety? Fúj!

- Trzymamy się za ręce - powiedział z naciskiem.

- Przecież nie.

- Tu jest ciemnowo, więc wystarczy, że idziemy obok siebie. Nikt się nie zorientuje.

- Myślisz o wszystkim, prawda?

- Tak. Nie zapominaj o tym.

Toaleta znajdowała się po wschodniej stronie budynku, od strony rozległego placu parkingowego. Za nią wznosiła się ściana lasu. Kiedy zbliżyli się do drzwi, Ross wysforował się przed Allie. Gdy sięgnął klamki, drzwi otworzyły się z rozmachem przed samą jego twarzą.

Kobieta w znoszonych dżinsach i flanelowej koszuli, z kędziorami bujnych włosów, wystającymi spod bejs-bolówki, która właśnie wyszła z przybytku, spojrzała na nich zaskoczona. Musiała być kierowcą ciężarówki stojącej w drugim końcu parkingu.

Należało szybko myśleć, bo moment wahania przedłużał się niebezpiecznie. Allie mocniej przylgnęła do Rossa, ukrywając ich złączone kajdankami przeguby. Otworzyła szeroko oczy na widok kobiety i zamrugła nerwowo.

- Boże, pani weszła tu sama? - wyjąkała z podziwem. - A ja tak się boję, że wzięłam ze sobą swojego Supermana!

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

- Umiem sobie radzić.

Ross uspokajająco poklepał dłoń Allie.

- Może powinniśmy poprosić tę miłą parną, aby zechciała ci przez chwilę towarzyszyć, to będziesz czuła się raźniej.

Allie zmusiła się do uśmiechu, choć w duchu zamarła z napięcia. Akurat trzeba jej było asysty, kiedy zamierzała uciec!

- Daj spokój, kochanie, nie będziemy zatrzymywać pani. Skoro pani tam była, ja też nie będę się bała. ~ Mówiąc to, znacząco szarpnęła kajdankami, co miało oznaczać: Chyba nie będziesz tłumaczył tej miłej kobiecie, dlaczego jestem skuta?

Wyczuła, że zrozumiał i przyjął ostrzeżenie, ale jednocześnie jest zawiedziony.

- Jednym słowem lokal jest bezpieczny? - zażartował, zwracając się do kobiety, a drugą ręką zręcznie otwierając kajdanki, aby jego słowa zagłuszyły kliknięcie zamka. Nie wydawało się, by nieznajoma coś zauważyła.

- Tak, oczywiście - odparła. - Może pani śmiało wchodzić.

- Świetnie. Dziękujemy bardzo - rzuciła Allie i szybko wślizgnęła się do środka, natychmiast zamykając drzwi za sobą. Słyszała jeszcze, jak Ross żegna się z kobietą, życząc jej szerokiej drogi. Ale już myślała o czymś innym.

W tylnej ścianie toalety było okno. Idealnie.

Dopadła go jednym skokiem i otworzyła. Następnie odwróciła się i rozejrzała gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Nadawał się do tego jedynie metalowy wysoki kosz na śmieci. Wyszarpnęła z niego plastikowy worek i oceniła wagę. Kosz był na tyle ciężki, by uczynić komuś szkodę i na tyle

lekki, by mogła go unieść. Chwyła go obiema rękami i wniosła za drzwi kabiny.

Zaledwie zamknęła je za sobą, uchyliły się na cal.

- Allie?

Ross. Uniosła kosz nad głowę i wstrzymała oddech. Szczelina poszerzyła się.

- Allie, odpowiedz mi. Z otwartego okna nadciągnął powiew. Musiał go poczuć, bo jednym ruchem otworzył drzwi na oścież. Zamachnęła się.

Kosz z głuchym łomotem opadł na głowę Rossa. Mężczyzna upadł twarzą na podłogę. Koszula odchyliła się z tyłu, odsłaniając pistolet.

Allie odstawiła kosz i wyszarpnęła mu z kieszeni broń. Teraz, jeśli będzie próbował ją ściagać, nie pójdzie mu już tak łatwo.

Nie sprawdziła, czy krwawi. Nie mogła dopuścić do głosu poczucia winy. Jeśli nie ucieknie, Ross i tak wystawi ją na śmierć. Nie dał jej wyboru.

Zignorowała krótkie poczucie ulgi, gdy usłyszała, jak jęknął cicho. Wyszła z budynku i nie chcąc zwrócić na siebie uwagi, zmusiła się, by nie pobiec do-samochodu. Szła szybko, drżąc, że w każdej chwili może usłyszeć za sobą kroki Rossa.

Otworzyła drzwi pasażera i sięgnęła po torbę, żeby wstawić ją na przednie siedzenie.

Nagle silna dłoń zacisnęła się na ramieniu Allie, wyszarpując ją z wozu. Pistolet wypadł jej z palców i ze stukiem uderzył o podłogę.

Ogarnęła ją dzika furia.

Nie! Tym razem jej nie zatrzyma!

Wyszarpnęła się gwałtownie i odwróciła ku niemu, gotowa rozorać mu twarz paznokciami, jeśli będzie trzeba.

Ich spojrzenia spotkały się. To nie był Ross. Roy Taylor pochylał się nad nią. Spojrzenie miał tak samo przerażające i martwe jak wówczas, na ulicy. Uśmiechał się okrutnie wąskimi, bezkrwistymi wargami.

Zobaczyła pięść tuż przed swoją twarzą na ułamek sekundy, zanim poczuła cios. Ból eksplodował pod czaszką, a głowa odskoczyła raptownie. Usta wypełnił słony smak krwi. Zamrugła rozpaczliwie, aby rozpędzić mgłę przed oczami.

Teraz widziała już tylko jego. Podsunął się jeszcze bliżej; gorący oddech palił jej twarz i wciskał się do płuc. Myślała, że się udusi.

- To tylko przygrywka - ostrzegł. - Należy ci się dużo więcej i wierz mi, będziesz miała wszystko, na co zasłużyłaś. - Znów chwycił jej ramię. - A teraz chodź. Dalej jedziesz ze mną. Rossa obudził głośny jęk. Dopiero po dobrej chwili zrozumiał, że sam wydał ten odgłos. Zamrugał, zmagając się z tęnym, pulsującym bólem głowy. Otworzył oczy i zobaczył ocean szarości. Beton. Betonowa podłoga damskiej toalety.

Cholera, Allie, zapłacisz mi za to. Trudno, niech robi pod siebie, ale następną toaletę zobaczy dopiero przed Nowym Jorkiem, pomyślał mściwie.

Ignorując ból pod czaszką, chwiejnie podniósł się na nogi i oparł o framugę drzwi, czekając, aż świat przestanie wirować mu przed oczami. Potrząsnął głową, aby lepiej widzieć i skrzywił się, gdy przeszył go ból w karku. Musiał być nieprzytomny najwyżej parę chwil. Nie mogła uciec daleko. Wyszedł z budynku i jego wściekłość natychmiast ulotniła się, gdy zobaczył scenę na par-

kingu. Jakiś mężczyzna trzymał Allie. Był odwrócony do niego plecami, ale Ross potrafił rozpoznać tego drania zawsze i wszędzie. Taylor próbował ją uprowadzić. Nie dała się, walczyła.

Ross rzucił się przed siebie, wołając Taylora, aby odwrócić uwagę napastnika od Allie. Sięgnął po broń, ale kieszeń była pusta. Musiała ją zabrać.

Kątem oka zarejestrował, że jakiś nowy samochód wjeżdża na parking.

Wtedy Taylor uderzył Allie. Krew bryznęła jej z ust.

Ross, zaszokowany, potknął się, po czym pobiegł jeszcze szybciej. Allie nie dała mu szans, aby jej pomógł. Zabrała mu broń.

Taylor próbował znów pociągnąć ją za sobą, myśląc zapewne, że teraz będzie uległa. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia. Rzuciła się na niego, wznosząc łokieć – tak błyskawicznie, że zobaczył go w ostatniej chwili i nie zdążył się uchylić. A już z pewnością nie widział kolana, które wbiło się w jego krocze. Zawył z bólu i rozluźnił chwyt na tyle, że mogła walnąć go torbą, trzymaną w drugiej ręce, i odtrącając go, pobiec przed siebie.

Ross zatrzymał się, gdy zobaczył, że Allie zmienia kierunek i biegnie wprost na niego.

Taylor odwrócił się z grymasem furii.

Miał w ręku broń.

Ross znów rzucił się przed siebie.

Taylor uniósł broń.

Ross otworzył usta do ostrzegawczego krzyku, choć wiedział, że nie zdąży.

Huk strzału zagłuszył słowa.

Na ułamek sekundy zamarło mu serce.

Lecz Allie ciągle biegła ku niemu, nie zwalniając ani na moment, nawet się nie potykając. Za to Ross zgubił krok i znieruchomiał w szoku, niezdolny pojąć tego, co widzi.

Chór przerażonych i zaskoczonych głosów rozbrzmiał echem z drugiej strony parkingu. Ross nie wydał dźwięku. Ośłupiały, wpatrywał się w krwawą miazgę, która pojawiła się tam, gdzie jeszcze przed chwilą był czubek głowy Roya Taylora. Za moment ciało Taylora bezwładnie padło na ziemię. To było jak koszmarny sen, pozbawiony jakiegokolwiek sensu. Ktoś zabił Taylora. Odstrzelił mu pół głowy.

Taylor był martwy.

Ross ocknął się wreszcie i szybko odwrócił, szukając wzrokiem zabójcy. Zobaczył mężczyznę wysiadającego z samochodu, który przed chwilą przyjechał. Z bronią w rękę obcy zaczął iść, kierując się wyraźnie w jego stronę.

Allie dopadła go pierwsza. Przebiegłaby obok, gdyby nie wyciągnął ręki i nie zatrzymał jej. Szarpnęła się, lecz nie popuścił chwytu.

Zaczęła dziko mu się wyrywać. Chwytał ją za drugie ramię i zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

- Allie, wszystko porządku. On zabił Taylora.

- Wiem, ale widzisz, że dalej uciekam. Muszę stąd zniknąć. To nie miało żadnego sensu. Może nie zrozumiała, co mówi?

- Allie, on zabił Taylora - powtórzył. - Jest po naszej stronie. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie. Nie jest.

Nie przekonały go ani jej słowa, ani skrajna desperacja, brzmiąca w jej głosie. Przekonał go wyraz oczu Allie, który widział już wcześniej, kiedy pierwszy raz zobaczył ją na chicagowskiej ulicy, gdy przylgnęła do niego, a on zamknął ją w ochronnym uścisku. Wyraz skrajnej paniki. Strach malujący się w każdym szczególe jej rysów. Ale tym razem wyglądała nierównie gorzej.

Ross wiedział, że nie przesadza. Z nieznanых mu powodów była przekonana, że ten człowiek jej zagraża. I choć nie rozumiał, dlaczego, musiał jej zaufać, gdyż była w tej sprawie nieomylna. - Uciekajmy stąd.

Zanim skoczyła w mrok, pociągając go za sobą, zdążył wyczuć moment ulgi, z jaką zareagowała na jego słowa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po kilkunastu krokach Ross przejął prowadzenie i zaczął kluczyć wśród drzew, holując za sobą Allie. Nie miała zamiaru uciekać do lasu. Chciała przemknąć za budynkiem i tam szukać dalszej drogi. Nawet pod osłoną nocnych ciemności trzask poszycia pod ich stopami stanowiłby wystarczającą wskazówkę dla ścigającego, zwłaszcza że była jesień i poszycie lasu pokrywał gęsty dywan suchych liści.

Znów rozległ się strzał. Allie skuliła się na moment, lecz nie poczuwszy żadnego bólu, pędziła dalej. Zresztą nie miała wyboru.

- Dokąd biegniemy? - rzuciła zziajana, a jednocześnie napięty słuch zarejestrował kroki innych stóp, z trzaskiem łamiących gałązki.

Ross pociągnął ją w prawo, potem w lewo i tak klucząc, biegli coraz głębiej w las.

- Szybciej - wydyszał, jeszcze przyspieszając. Chwilami miała wrażenie, że niesiona rozpedem, nie dotyka stopami ziemi.

Niespodziewanie, bez najmniejszego ostrzeżenia, Ross zatrzymał się w miejscu i Allie runęła do przodu. Momentalnie unieruchomił ją w uścisku, aż zawisła w powietrzu, wyhamowując impet. Otworzyła usta.

- Co...?

- Cii! - szepnął niemal bezgłośnie.

Po paru chwilach uświadomiła sobie, że odgłosy pogoni dochodzą z dalszej niż dotąd odległości. Prześladowca posuwał się naprzód, ale znacznie wolniej, mniej sprawnie. Parę razy potknął się i zaklął.

A potem, jakby spostrzegł, że przestali biec, również stanął. Ross powoli odjął dłoń od ust Allie. Teraz nasłuchiwali wspólnie.

Choć zdyszane płuca domagały się powietrza, wdychała je i wypuszczała maleńkimi porcjami, powolutku, bezgłośnie. Owiął ich nocny wiatr, szeleszcząc resztkami liści na drzewach. Ciemność otuliła ich jak całun. Nic nie widziała; czuła tylko wiatr. I Rossa.

Czuła, jak serce bije mu w piersi mocnym, równym rytmem. Sama była zdenerwowana, lecz jego puls mówił coś przeciwnego. Zastanawiała się, jaki w takim razie jest w stanie spoczynku. Stała tak, bezpieczna w ramionach mężczyzny, tym razem pewna, że potrafi ją ochronić. Spokój jego ciała był zwodniczy; krył stan czuwania i gotowość do natychmiastowej akcji. Obaj przeciwnicy czekali, który pierwszy się zdradzi.

Allie po raz pierwszy nie czuła żadnego przymusu ucieczki, oderwania się od Rossa. Mogłaby tak stać całą noc. To było dobre. I dobrze się w tym czuła. Zbyt dobrze. Tylko^A czy kiedy spotkali się po raz pierwszy tamtej nocy, nie miała podobnych odczuć?

Nie mogła powstrzymać drżenia, które przenikało każdy cal jej ciała, przylegającego do ciała Rossa.

Wreszcie dobiegł ich stłumiony odgłos. Nie potrafiła określić, gdzie jest ich prześladowca, ale nie było to blisko.

Czekali.

Odgłos przekleństwa, niski i gardłowy, powiedział im, że zrezygnował.

Znów się poruszył. Trzeszczący odgłos kroków oddalał się i cichł stopniowo. Zabójca odchodził.

Ross czekał, aż zrobi się zupełnie cicho. Odczekał jeszcze chwilę, a potem, kiedy stało się jasne, że

mężczyzna nie wraca, puścił Allie.

Opadła na pięty, zdumiona, że tyle czasu stała na palcach.

Choć nie widziała Rossa, czuła, że rozgląda się czujnie wokół.

- Co teraz? - szepnęła.

- Idziemy dalej.

Jasne, że nie mogli wrócić na parking, gdyż musiało się tam już roić od policji. „Rqsś dobrze to wiedział.

- Wiesz dokąd?

- A czy to ważne?

Z pewnością tak nie uważał. Dotąd zawsze wiedział, dokąd chce dotrzeć i z niechęcią musiała przyznać, że jest lepszym mistrzem ucieczki niż ona.

Znów wziął ją za rękę, bezbłędnie trafiając na jej dłoń w ciemnościach. Podświadomie czekała, aż znów pociągnie ją za sobą.

Tymczasem nadal tkwili nieruchomo. Gdy miała już spytać, dlaczego, przemówił.

- Wszystko w porządku?

- Tak, nic mi nie jest.

- Taylor cię uderzył.

Więc widział. Twarz piekła ją jeszcze w miejscu, gdzie trafił cios, ale metaliczny smak krwi w ustach zaczął już zanikać.

Byłoby o wiele gorzej, gdyby dorwał ją naprawdę w tym samochodzie.

- Nic mi nie jest - powtórzyła.

Ross nadal się nie poruszył. Zastanawiała się, na co jeszcze czeka.

A potem poczuła, jak delikatnie zsuwa pasek torby. Chciała zaprotestować, lecz zorientowała się, że zarzuca sobie torbę na ramię i bez słowa rusza przed siebie.

Podążyła za nim. Nie musiała tego robić. Ich prześladowca odszedł. Ross nie miał już więcej kajdanków. Mogła łatwo mu uciec. Pewnie zabłądziłaby w tych lasach, ale przynajmniej odzyskałaby wolność.

Lecz nie zrobiła tego. Pozwoliła się prowadzić przez noc, tłumacząc sobie, że na razie potrzebuje Rossa, gdyż lepiej od niej orientuje się w terenie. Bądź dlatego, że po tym, co się stało, nie chce się z nim więcej szarpać.

Okey, nie ma co udawać. Żaden z tych powodów nie jest prawdziwy.

Po prostu mu ufa. I nie chce rozstawać się z nim. Nawet jeśli czuje, że powinna.

Allie szła za Rossem.

- Dobrze się czujesz, stary?

- W porządku. - Brancato zmusił się do uśmiechu. Nie chciał wzbudzać podejrzeń kierowcy ciężarówki, który uprzejmie zabrał go do kabiny. - Po prostu zmęczyło mnie to czekanie. Nie masz pojęcia, ile wozów minęło mnie, nawet nie zwalniając - powiedział. - Tym bardziej ci dziękuję.

- Nie ma za co, stary. Wierzę ci, bo ludzie w dzisiejszych czasach dostali istnej paranoi. Wyobrażają sobie, że stop łapią sami mordercy albo zbrojki.

Brancato zachichotał mimo woli. Żeby ten gość wiedział, kogo wiezie!

- Kiedy zobaczyłem cię takiego utyłanego w błocie, pomyślałem od razu: facet potrzebuje pomocy. Brancato wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- I miałeś rację. - Parę razy wywalił się w tym cholernym lesie. Wcześniej nad Illinois i Indianą przeszła burza i teren zmienił się w grzędawisko.

Zobaczył znak parkingu. A niech to diabli! Ujechali tylko parę mil, a wydawało mu się, że brnie przez

ten las od wieków!

Pokazał gestem tablicę. Z rękawa ukruszyło się zasychające błoto.

- Wyrzuć mnie tutaj. Oczyszczę się i wezwę lawetę.

- Nie radzę. Tam jest teraz straszny kipsz. Słyszałem w CB. Jakaś strzelanina, zabity człowiek. Brancato odwrócił się, aby ukryć uśmiech satysfakcji. Był tak zgnębiony utratą tej kobiety, że zapomniał o Taylorze. Zabicie go nie było częścią planu, ale ucieszył się jak diabli. Poza tym ma teraz ułatwione zadanie, bo nikt nie będzie mu się mieszał w robotę.

Kierowca rozgadał się, wyraźnie zadowolony, że ma towarzystwo. Brancato odpowiadał półsłówkami, pogrążony w rozmyślnościach. Wszystko było winą Rossa. Nieważne, że zamordowanie Rossa nie leżało w jego pierwotnych planach. Zabije drania gratis. Zasłużył sobie na to po tej cholernej nocy. Oboje

sobie zasłużyli. Więc da im to, co im się należy, nawet z nawiązką.

Motel wyłonił się nagle z ciemności; jasne, Kolorowe światła jarzyły się za zasłoną drzew. Allie gotowa była na ten widok paść na kolana i rozpląkać się z radości. Zdawało się, że ich wędrówka będzie trwać bez końca.

- Zostań tutaj - polecił Ross, kiedy doszli do granicy lasu.—Załatwię pokój.

Podszedł do budynku, nie oglądając się za siebie, najwyraźniej pewien, że tym razem będzie na niego czekała. Albo też wiedział, że nie ucieknie, bo jest wykończona i ledwie trzyma się na nogach. Nie powiedziała nawet słowa, kiedy oddalił się z jej torbą.

Ross wrócił po kilkunastu minutach i z daleka dał znak, by przysłała. Zrobiła ostrożny krok na pochyłości, ale widok jego solidnej sylwetki dodał jej śmiałości i szybko znalazła się przy nim.

- Jak poszło? Recepcjonista nie zadawał pytań? Lekko popchnął ją w stronę tylnej części hotelu.

- Powiedziałem mu, że samochód zepsuł się nam na autostradzie parę mil stąd. Nie miał powodu, żeby mi nie uwierzyć.

Kiedy otwierał drzwi, zerknęła lękliwie w stronę drogi. Z daleka ktoś nadjeżdżał. Jej puls uspokoił się dopiero wtedy, kiedy światła rozpląnęły się w oddali.

- Jesteś pewien, że będziemy tu bezpieczni? Nie powinniśmy iść dalej?

- Dalej już musiałbym cię nieść, droga damo, ale za bardzo boli mnie głowa, żebym się tego podjął. Przeszła z nogi na nogę, tłumiąc poczucie winy.

- Przykro mi.

- Wcale nie. Ale będzie ci przykro.

Zerknęła na Rossa, lecz jego twarz pozostała nieruchoma. Wszedł pierwszy i gestem zaprosił ją do pokoju.

Pokój prezentował się nader przeciętnie, a wyposażenie pamiętało lepsze czasy, lecz był ciepły i czysty. W niebie nie mogłoby być lepiej.

- Czy oni nie będą sprawdzać każdego hotelu przy drodze? - zaniepokoiła się. Zamknął drzwi na zasuwkę i postawił jej torbę na podłodze.

- Można by się martwić, gdybyśmy zostali przy tej samej trasie co poprzednio. Ale jesteśmy z powrotem przy między stano-
wej. Nie sądzę, aby namierzyli nas tu po nocy, bo zapewne skupili się na drodze, którą jechaliśmy.

- Czy wiesz, dokąd dalej zmierzamy? Bo myślałam, że po prostu idziemy przed siebie.

- Kiedy ostatnio brałem benzynę, przejrzałem mapę. Zawsze warto wiedzieć, jakie się ma opcje. Jesteśmy dziewięć mil od punktu startu i szliśmy w przeciwnym kierunku.

Dziewięć mil! Nic dziwnego, że nogi bolały ją jakby miały zaraz odpaść!

- Rano wrócimy na właściwą trasę - dodał.

Tak daleko na razie nie sięgała myślą. Jutrzejszy ranek to osobna historia. Zerknęła w kierunku łazienki.

- Chcesz pierwszy wziąć prysznic?

Poczuła na ramieniu stanowczą dłoń, przytrzymującą ją w miejscu.

- Czy powiesz mi wreszcie, o co tam chodziło? Odpowiedź była krótka:

- Nie.

Odwrócił ją ku sobie. Po raz pierwszy, odkąd go знаła, pokazał swój gniew. Była zbyt wyczerpana, by się wykręcać.

- Stało się, i już. Więcej ode mnie nie wyciągniesz.

- Czy nie uważasz, że powinienem przynajmniej wiedzieć, za co zginę, kiedy dopadną nas następnym razem?

- Nikt nie zmuszał cię, żebyś się w to mieszał. Sam się prosiłeś. Możesz w każdej chwili się wypisać. Masz to szczęście, w przeciwieństwie do mnie.

- Chyba wypowiedziałem się jasno. Jestem zamieszany w tę sprawę tak samo jak ty.

- Doprawdy zabawne! Wątpię, aby ktoś ścigał cię, jeśli zostawisz mnie i pójdziesz w drugą stronę.

- Ale ja nie zamierzam odchodzić. Co oznacza, że będą strzelać do mnie tak samo jak do ciebie.

- W takim razie miej pretensję wyłącznie do siebie - ucięła.

Chciała odwrócić się i odejść, ale nie puścił jej. Stała przed nim, zdana na jego łaskę.

- Skąd u ciebie ten chłód? Przecież on odstrzelił człowiekowi głowę.

- Niecałe dwanaście godzin temu gotów byłes rzucić mnie na pożarcie wilkom, byle dorwać tego faceta. Nie udawaj, że teraz go żałujesz.

- Nie miałem problemów w rozgrywce z Taylorem. To również moja sprawa. Ale jeśli ktoś jeszcze jest w nią wmieszany, muszę wiedzieć, o co chodzi.

- Nie, nie musisz.

- Dlaczego chcesz decydować za mnie?

- Bo nie wszystko może zostać powiedziane. Teraz czujesz tak, jak czujesz, ale gdybyś znał całą historię, zachowywałbyś się inaczej.

Ross groźnie postąpił krok w przód, aż ich ciała prawie się zetknęły. Allie nie cofnęła się, choć górował nad nią swoją potężną postacią. Nie mogła pozwolić, by zapanował nad nią.

- Powiedz mi, kim jesteś. Powiedz mi, kto jeszcze cię ściga - naciskał.

- A jak nie powiem, to co? Grozisz mi, Ross? Mam wrażenie, że każdy, kogo spotkam, chce mnie zabić. Czym jeszcze możesz mi zagrozić?

- Tym.

Zanim zdążyła zareagować, chwycił ją mocno pod pachy, uniósł w górę jak piórko i przyszpilił do ściany, tak że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Serce zadudniło jej w piersi, gdy napotkała mroczne spojrzenie mężczyzny. Kącik jego ust uniósł się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. A potem zaczął ją całować.

Początkowo była zbyt zszokowana, by zareagować w jakikolwiek sposób, gdy sycił się jej ustami. Wargi Rossa były pożądliwe, zaborcze i wprawne. Z cichym westchnieniem uległa

tej presji, pozwalając, by język mężczyzny splótł się z jej językiem, wijąc się w pieszczocie. Gdy zaczął skubać zębami jej dolną wargę, z gardła Allie wydarł się zmysłowy jęk, który wprawił w drżenie całe jej ciało. Gdzieś z oddali dobiegł ją cichy chichot, pełen głębokiej satysfakcji. Teraz już nie dbała o nic. Rozum i instynkt samozachowawczy wyparowały, ustępując przed toksycznym zauroczeniem, które omotało jej umysł. Czowała się pusta i ulotna jak bańka mydlana, niezdolna do myślenia, powodowana czystym instynktem. Rozpalone ciało mężczyzny lgnęło do niej każdym ciałem, każdym splotem twardych mięśni. Potężna pierś napierała na jej piersi i czuła bicie jego serca, równie szalone jak własne. Ten gwałtowny, galopujący rytm niósł ich oboje coraz to szybciej.

Już nie trzymał jej; nie musiał. Oparł dłonie na ścianie, a ich rolę przejęło kolano, która wcisnął pomiędzy jej uda, aż osiadła na nim kroczem jak jeździec, wijąc się zmysłowo i dając się ponieść nowej burzy doznań. Ross wydawał się być wszędzie, doprowadzając Allie do szaleństwa. Znów zagarnął jej usta. Obrysował linie jej szczęki zachłannym czubkiem języka. Podskubywał pieszczotliwie szyję.

Nieświadomym ruchem odchyliła głowę, aby odsłonić przed nim miękką, czułą na dotyk skórę podgardla. Wsunęła mu dłonie we włosy, naprowadzając głowę ku górze. Posłuchał, dążąc tam tropem drobnych pocałunków. Zbłądził na prawo, obdarzając pieszczotą ucho. Gorący oddech ogrzewał wilgotny ślad, pozostawiony na jej skórze, wprawiając Allie w drżenie. - Powiedz mi, kim jesteś, Allie. I nagle wszystko się urwało. Potok obrazów, wspomnień i myśli na powrót wdarł się w jej mózg. Wszystko, o czym zdołała na moment zapomnieć, powróciło ze zdwojoną siłą. Temperatura reakcji na dotyk mężczyzny opadła gwałtownie, unieczniona przez zimne fakty. Opuściła ręce, z najwyższym trudem kryjąc dreszcz niechęci i odrazy, który owładnął jej ciałem.

Już nie chciała go dotykać. Nie chciała nawet spojrzeć na niego. Miała ochotę odepchnąć go i wybiec z pokoju.

Ty idiotko. Jak mogłaś zapomnieć? Jak mogłaś dopuścić go tak blisko do siebie? W końcu to Ross ją puścił, bezbłędnie odczytując nagłą zmianę nastawienia. Allie nie była zdolna sama wysunąć się z jego ramion, choć tkwiła w nich sztywna i spięta. Ross badał jej twarz nieustępliwym, chłodnym spojrzeniem. Allie, skupiwszy całą siłę woli, odchyliła głowę w tył i demonstracyjnie oblizwała spierzchnięte wargi.

- Niezłe posunięcie, Ross. Ale nie zapominaj, że nie tak łatwo mnie zastraszyć.

Patrzył na nią bez drgnienia powieki, z nieprzeniknioną miną pokerzysty. On też przesunął językiem po wargach, jakby sycił się smakiem niedawnego pocałunku. Smakiem Allie. Allie sięgnęła szczytów samokontroli, nie pozwalając sobie na najmniejszą reakcję, najmniejsze mrugnięcie, nic.

Powoli położyła mu dłonie płasko na piersi i odsunęła go od siebie. Odstąpił krok w tył, przepuszczając ją. Była roztrzęsiona wewnątrz, lecz starała się nie pokazać tego po sobie, gdy sięgnęła po torbę i ruszyła do łazienki.

Odczekał, aż sięgnie do klamki. Już chciała pogratulować sobie w duchu chłodnego opanowania, gdy usłyszała pytanie:

- Dlaczego więc uciekasz?

Nie odpowiedziała. Zatrzasnęła za sobą z łomotem drzwi, głusząc jego słowa.

Ross tym razem nie poszedł za nią do łazienki. Nie ruszył się; odnotował tylko, że zamknęła drzwi na

zasuwkę i odkręciła prysznic. Już nie martwił się, że wymknie się z pokoju.

Za to sam nie bardzo mógł się ruszyć.

Z wolna wypuścił powietrze i czekał, aż minie sztywność, lecz wiedział, że musi jeszcze poczekać. Ciągłe czuł dotyk ciała Allie, wdrukowany w skórę i w zmysły, czuł jej zapach, który nie chciał się rozpląnąć w powietrzu.

Cholera! Ze złością palnął się pięścią w czoło. Co go podkuśiło? Ta kobieta może być przestępczynią. A jeśli nawet nie, naraża przez nią swoje życie. Tymczasem pragnął jej równie głupio i gorąco, jak zakochany po raz pierwszy nastolatek.

Skądże, bardziej. Nigdy do tego stopnia nie zależało mu na kobiecie; nigdy nie pragnął żadnej każdym nerwem ciała, każdą myślą. Wolał nie zbliżyć się do drzwi łazienki z obawy, że nie wytrzyma i wyłamie je.

Wiedział, że popełnił błąd i był świadom, że popełniłby go ponownie, jeśli tylko pojawiłby się cień szansy.

Powiedz mi, kim jesteś, Allie. Boże, nawet nie wie, kim ona jest.

Pewnie teraz Allie myśli, że pocałunek i cała reszta były z jego strony grą. Tymczasem sam musi zyskać pewność, że nie dał się omotać pozorami niewinności. I czy ktoś głęboko zamieszany w sprawę Chastaina i Bóg wie kogo jeszcze zalazł mu za skórę tak, że stracił zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

Musi stanowczo wziąć się w garść!

Z ciężkim westchnieniem zmusił się do działania.

Nie tracąc drzwi łazienki z pola widzenia, sięgnął do telefonu stojącego na biurku. Swoją komórkę wyrzucił gdzieś w Indianie. Zbyt łatwo ktoś mógł go przez nią namierzyć.

Od dłuższego czasu zastanawiał się, komu mógłby zaufać. Ale nie było osoby, której mógłby wierzyć tak jak jeszcze niedawno Newcombowi. Nie miał jednak wyjścia. To go frustrowało. Reggie Harris nie był łatwy w kontaktach. Mało co było w stanie odciągnąć go od komputera. Ale dzięki temu był tak dobry w swoim fachu. Ross odsłuchiwał pięć sygnałów jego prywatnego numeru i zanim włączyła się sekretarka, rozłączył się i spróbował jeszcze raz.

Po sześciu kolejnych sygnałach Reggie odebrał.

- Czego chcesz, do licha? Ross uśmiechnął się.

- Mówiłem ci, Reg, że jeśli chcesz prowadzić interesy, musisz lepiej przeszkolić swoją sekretarkę. W piskliwym głosie Reggie'ego nie ubyło irytacji.

- Interesy mają się dobrze. Znów jesteś w mieście, czy doprowadzili ci linię do tej nory w dziczy, w której siedzisz?

- Ani to, ani to. Mam robotę.

- Więc żegnaj, emeryturo, co? I jak cię znam, pewnie szukasz informacji.

- Nie dzwonię, żeby usłyszeć dźwięk twojego głosu.

- Zabawne. Czego chcesz?

- Śledzisz proces Chastaina?

- Na razie jeszcze się nie zaczął. Zaczekaj, nie mów... szukasz Taylora. To by pasowało.

- Zgadza się, ale zachowaj to dla siebie - powiedział z naciśnięciem Ross. - Dzieją się dziwne rzeczy. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zbyt wielu ludzi uznało moją głowę za tarczę strzelniczą, co przypomniało mi, dlaczego wypisałem się z takiej zabawy.

- W sumie żadna nowość - podsumował Harris. - Czego potrzebujesz?

- Wszystkiego, co możesz wyszperać na temat kobiety o nazwisku Allie Freeman. Kojarzy ci się?

- Nie. Ale całkiem dobrze brzmi.

- Jest w jakiś sposób powiązana z Chastainem. Muszę wiedzieć, jak. I dostarcz mi aktualnych wiadomości z postępowania przeciwko Chastainowi. Co się działo tamtego wieczoru, główni gracze, te sprawy. Pilnie!

- Spróbuję. A jak mam się z tobą skontaktować?

- Ja się do ciebie odezwę. Jak szybko możesz to ustalić?

- Na kiedy potrzebujesz?

- Na wczoraj.

- Najpierw muszę odwalić inną pilną robotę. Daj mi osiemnaście godzin. Ross nie miał wyboru.

- W porządku. Dzięki, Reg.

- Oszczędź mi tych uprzejmości. A należność jak zwykle.

Lodowate strumienie wody z prysznica biły w ciało Allie, lecz nie były w stanie zmyć śladów dłoni Rossa na jej ciele ani smaku jego ust na wargach. Nie mogły zatrzeć pamięci żaru męskich dłoni, wypalających swoim dotykiem zmysłowe piętno. To był

najbardziej lodowaty prysznic w życiu Allie - bo też nigdy nie była tak rozpalona.

Uniosła do ust drżącą rękę. Wargi były dziwnie obrzmiałe. Policzek piekł od ukłuc twardego parodniowego zarostu. Było to dziwne odczucie, całkowicie jej obce. Nigdy bowiem nie była tak całowana, nigdy do tego stopnia mężczyzna nie rozpałił jej zmysłów.

Ross dokładnie wiedział, co robi i robił to wirtuozersko. W sposobie, w jaki rozpląszczył ją na ścianie i totalnie zdominował, nie było nic z gry wstępnej ani czułości. Był doskonale świadom, jakie pierwotne emocje wzbudzał w niej każdym dotknięciem języka, każdym miłosnym ukąszeniem. Umiał pozostawić ją w stanie nienasycenia, łaknącą dalszych pieśczoł. I łaknęła ich, czego nie mogła sobie wybaczyć. Ze złością oblizwała spierzchniętą usta, na próżno usiłując pozbyć się smaku mężczyzny.

A wszystko po to, żeby poczuła jego władzę nad sobą i, zdesperowana, wyznała mu wreszcie wszystko, co chciał wiedzieć. Żałowana próba! Wszak strach jest dla niej najmniej ważnym odczuciem. Pożądała wszystkiego, co jej ofiarował. Nie, chciała jeszcze więcej - każdej gry zmysłów, każdego dotknięcia, każdego smaku. I gotowa była dać mu więcej, aż nie będzie już miała niczego do ofiarowania. Gdyby tylko zechciał...

Łzy napłynęły Allie do oczu. Boże, to było żalosne. Wykal-kulowany pocałunek zaburzył ją w stopniu, jakiego się nie spodziewała. Nie chciał jej. Chciał tego, czego nie mogła mu powiedzieć. Jedno mu się udało - rzeczywiście się przestraszyła. Przerażała ją, do czego jest zdolna. I to, czego od niej chciał.

W tym stanie następnym razem już nie będzie potrafiła mu się oprzeć. A następny raz nastąpi. O tym wiedzieli oboje.

Trwała tak pod kłującym gradem wody, czekając na zbawcze oczyszczenie, na uwolnienie się od piętna, które na niej wycisnął Ross.

Czekając na uczucie, które nie miało prawa nadejść.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wschód słońca nad miastem był wspaniałym spektaklem, zwłaszcza z miejsca, z którego go oglądał. Zwykle wprawiłby Chastaina w zachwyty, ale tego ranka prawie nie zwrócił na niego uwagi, zatopiony w ponurych rozmyślaniach.

Telefon był o piątej rano. Dzwonił prawnik, którego sownie opłacał za tak drobne usługi. Taylor nie żył.

Powinien domyślić się, że coś jest nie tak, gdy Taylor przez cały dzień nie odbierał telefonu. Pomyślał, że zgubił komórkę. To było do niego podobne. Przecież już parę razy zgubił również tę kobietę. Tymczasem była nadal na wolności.

Jego adwokat wspomniał o mężczyźnie, który zastrzelił Taylora. Widziano go, jak po strzale ruszył w pościg za kobietą, z którą szarpał się Taylor. To było dużo bardziej niepokojące niż śmierć Taylora.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Ktoś jeszcze wiedział o kobiecie; może nawet teraz ją ma.

Po raz pierwszy od czasu tej afery poczuł w żołądku nieznaczne skurcze lęku.

To dziwne, mdlące odczucie wystarczyło, by wytrącić go z odętwienia. Zareagował obronnym odruchem wściekłości. Strach był dla słabych, a Price Chastain nie znał słabości. Zbyt żmudnie dochodził do swojej pozycji, nie przebierając w środkach, aby teraz ktoś śmiał fundować mu piekło.

W przypiływie determinacji sięgnął po komórkę. Tak będzie lepiej. Wszystko, do czego doszedł, osiągnął sam. Zbyt długo polegał na innych i stąd wzięły się kłopoty. Stanowczo wystarczy.

Niemożliwe, by Price Chastain nie poradził sobie z jedną głupią kobietą.

- Nie mogę uwierzyć, że zapłaciłeś taką kupę forsy za takiego gruchota. - Allie musiała natężyć głos, aby przekrzyczeć hałas spracowanego silnika starego pięciodrzwiowego autka, które Ross kupił dziś rano. Dziwne, że w ogóle było na chodzie.

- Potrzebujemy środka transportu - odpowiedział.

- Mogliśmy pojechać autobusem.

- Jasne, i być wśród ludzi. Zresztą nie chciałabyś chyba narażać niewinnych osób? A może to troska o mnie?

- Zmieniłam zdanie. Wolałabym, żebyś to ty zarobił kulkę - odrzekła mściwie.

- Za ciebie?

- Wszystko jedno.

Potrząsnął głową z ponurą dezaprobatą, usiłując zignorować te jej napady złości. Jednak nie potrafił. Autostrada o tej porze była dosyć pusta i zapowiadało się, że niedługo znajdą się w Nowym Jorku. Ross nie zamierzał trwonić cennego czasu podróży na milczenie.

- Nadal chcę wiedzieć, kto jeszcze cię ściga - zaczął.

- Do znudzenia zadajesz te same pytania, Ross. Daruj sobie, bo i tak nie uzyskasz na nie odpowiedzi.

- W końcu będziesz musiała odpowiedzieć.

- Tak sądzisz? I co zrobisz? Spróbujesz wymusić je pocałunkami?

Wyczuł, że pożałowała tych słów, zanim je wypowiedziała. Zacisnęła usta, aż wargi rozciągnęły się w ciekłą linię i demonstracyjnie odwróciła głowę do okna. Ross nie spodziewał się, że Allie podda się bez walki.

- Postawmy sprawę jasno. To, co było wczoraj niema nic wspólnego ze sprawą Chastaina i sędzę, że o tym wiesz. Nie działam takimi metodami. Stało się, bo chciałem tego i stałoby się prędzej czy później. Chyba oboje

O tym wiemy. Dlatego proszę, żebyś nie odgrywała roli ofiary i zasłaniała się zranionymi uczuciami, aby mieć pretekst, by nic mi nie powiedzieć. Jeśli koniecznie chcesz mieć do kogoś pretensję, miej ją do siebie.

Allie przełknęła jego słowa i uśmiechnęła się gorzko.

- Masz rację, Ross. Jestem wściekła na siebie za wiele rzeczy. Jest już za późno, aby cokolwiek zmienić, obojętnie iloma pytaniami mnie zarzucisz.

Gniew momentalnie wyparował z niego. Potrząsnął głową, z trudem opanowując frustrację.

- Do licha, Allie, kiedy wreszcie zaczniesz mi pomagać? W jej oczach pojawił się przeblýsk smutku.

- A ty kiedy przestaniesz mnie ratować?

Ross nie potrafił nazwać uczucia, które ścisnęło mu serce, gdy wypowiedziała te słowa. Widział jej wzrok i w gardle rosła mu bolesna gęła. Znał to spojrzenie, tę gorycz podszytą poczuciem klęski. Kiedyś widział je każdego dnia w swoim własnym odbiciu. I czasami teraz.

Z trudem udało mu się wydobyć głos.

- Nie wiem, czy potrafię.

Allie po raz kolejny odwróciła się od niego. Ledwie usłyszał odpowiedź.

- Musisz. Nie da się mnie uratować. Obserwował jej profil. Siedziała nieruchomo, patrząc

w przestrzeń, dziwnie bezbronna. Nigdy dotąd nie widział jej takiej. Zwykle miała w sobie bojowego ducha. A jednak...

Z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie zjechać na pobocze i nie potrząsnąć nią, żądając, by powiedziała mu wszystko. Nie musiał sobie udowadniać, że jego zainteresowanie Allie od dłuższego czasu wykracza poza sprawę Chastaina. Choć wiedział o niej tak niewiele, żywo obchodził go jej los. Ostatnie wydarzenia wskazywały jasno, że niebezpieczeństwo grozi jej jak nigdy dotąd. Nie mogła wiecznie uciekać, a świadomość, że on sam nie potrafi jej skutecznie chronić, napępiała go lękiem, Jctórego podłoże było absolutnie osobiste.

Nie mógł podzielić się z nią swymi odczuciami, bo sam nie rozumiał ich dobrze.

- Powiesz mi przynajmniej, ile masz lat? - zagadnął szorstko po chwili milczenia. Kątem oka zobaczył, że Allie powoli obróciła ku niemu głowę.

- Ross, wiadomo, że jesteś wielkim bucem, ale nawet ty powinienes wiedzieć, że nie należy pytać kobiety o wiek.

Wzruszył ramionami.

- Uznałem po prostu, że skoro nie chcesz powiedzieć mi czegokolwiek jak normalna osoba, przynajmniej otrzymam odpowiedź, której normalna osoba by mi nie udzieliła.

- Okey, więc jak myślisz, ile?

Oszacował szybko, po czym odjął od tej liczby jeszcze parę lat. Żadna kobieta nie lubi, gdy uważa się ją za starszą niż jest.

- Trzydzieści trzy. Zaśmiała się chłodno.

- Pudło. Dwadzieścia osiem.

Zaryzykował szybkie spojrzenie w jej stronę. Usta Allie wygiął krzywy uśmiezek.

- Domyślam się, że odjąłeś kilka lat od wieku, o którym myślałeś. Miło wiedzieć, że wyglądam dziesięć lat starzej.

- Wcale nie. - Nie kłamał. Nie chodziło o to, że wygląda metrykalnie na starszą niż jest. Ta twarz mogła równie dobrze należeć do osoby dwudziestoletniej, jak i dobiegającej trzydziestki. Oceniał wiek, biorąc pod uwagę oczy. Allie miała twarde spojrzenie dużo starszej kobiety, przygasłe i znużone. Takie oczy mają ludzie, którym życie nie szczeniło przeżyć. Dwudziestoosmioletnia kobieta nie powinna tak patrzeć.

Do diaska, za młoda jest dla niego! Ale nie zamierzał się tym przejmować. Wzruszyła ramionami i znów tępo wpatrzyła się w przestrzeń.

- Ciągła ucieczka przed mordercami, którzy dybią na ciebie, raczej nie ujmuje człowiekowi lat -powiedziała z westchnieniem.

- A ty przecież byłaś przedwcześnie dojrzała już jako dziecko.

- Skąd wiesz?

- Z fotografii w twoim portfelu - wyjaśnił. Wiedziała, co robi Ross - próbuje osłabić jej czujność, aby nieświadomie zdradziła mu szczegóły, mogące naprowadzić go na trop. Ale nie dała się zwieść i nie obawiała się, że coś wyniucha. Nie przypuszczała, aby wyczytał o tym w gazetach.

- Cóż, mama miała słabe zdrowie. Musiałam jej pomagać, a kiedy zmarła, pracowałam na trzech etatach, żeby utrzymać siebie i brata.

- Musiało być wam ciężko. Poprawiła się nerwowo na siedzeniu.

- Co to, czas na zwierzenia?

- Po prostu podtrzymuję rozmowę. Ile miałaś lat, kiedy mama umarła?

- Osiemnaście. A Jimmy osiem. Dostała ataku serca, kiedy myła podłogę u pewnego maklera. Nie było nikogo, kto mógłby wezwać pomoc. Gdy ją znalazłam, już dawno nie żyła.

Zaledwie wypowiedziała te zdania, zaczęła się zastanawiać, czemu w ogóle mu o tym mówi. Z nikim nie rozmawiała dotąd o śmierci matki, nawet z Jimmym.

Powiadają, że czasem dobrze jest się komuś zwierzyć. Ross był pierwszą osobą, która w ogóle pytała ją o takie sprawy i jakkolwiek wiedziała, że pytanie nie wynika z autentycznej troski, było jej miło, że może o tym porozmawiać. W ogóle porozmawiać z kimś.

W ostatnim roku często myślała o mamie. O tym, jak Maura harowała dla swoich dzieci. Gdy była mała, nie rozumiała, jak ciężko musiało jej być z dwójką dzieci z dwóch różnych ojców, bez żadnej pomocy. A potem mama umarła i sama musiała przejąć odpowiedzialność za Jimmy'ego. Nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Była gotowa zrobić wszystko, byle zapewnić mu pełną miskę i bezpieczeństwo.

Już wcześniej obiecała matce, że zajmie się bratem, jeśli coś się jej stanie. I zawiodła.

Ta myśl przypominała Allię o własnej misji i powodach, dla których musi uciec od Rossa. I żadne

rozmowy tego nie zmieniają.

- A twój brat? - indagował Ross, zaskakując ją tym pytaniem. Oczekiwała raczej pustych słów współczucia, które wypowiedziałyby w tej sytuacji większość ludzi. Tymczasem zanim zapytał, taktownie pozwolił jej na moment milczenia, na po-
bycie przez chwilę z własnymi myślami, jakby rozumiał, że w naturalny sposób podążą ku mamie.

Ross był dobrym człowiekiem. Teraz widziała to zupełnie jasno. Chciało się na nim polegać, zaufać mu, lecz tego właśnie nie mogła zrobić. Bowiem, obojętnie, czy był dobry czy zły, był też jej wrogiem. Musiał nim być. Nie wolno jej o tym zapomnieć. Jednak nie mogła pozostawić jego pytania bez odpowiedzi.

- Mówiłam ci - odparła. - Jimmy nie żyje.

- Musiał umrzeć młodo.

Tak, młodo, dodała w myśli z bólem. Miał przed sobą całe życie.

- Miał siedemnaście lat i był taki cholernie mądry. Jesienią zamierzał rozpocząć studia.

- Byłaś z niego dumna, prawda?

- Och, tak. - Widząc, na jakiego wspaniałego mężczyznę się zapowiada, zapominała o wszystkich wyrzeczeniach. A potem odszedł w jednej chwili.

- A co z twoim ojcem?

- Zostawił nas, kiedy miałam dwa latka. Nie pamiętam go. Jimmy w ogóle go nie znał. - Zawahała się, zanim przyznała: - Mama nigdy nie powiedziała mi, kim był.

- Ach.

- Cóż, nie miała szczęścia do mężczyzn. Tak jak jej córka.

- Jak umarł Jimmy?

Momentalnie się spięła, wiedząc, że nie może odpowiedzieć. Jednak chęć zwierzeń okazała się silniejsza. Przez długą chwilę walczyła ze ściśniętym gardłem i złością na siebie samą, gniołą jej żołądek. Przez ten rok od śmierci brata poczucie nieznośnej straty i okrutnej niesprawiedliwości nie stępiały ani na moment. Bowiem nie mogło być ukojenia ani sprawiedliwości. Dotąd nie mogło być. Ale wkrótce się doczeka.

- Został zamordowany.

I znów Ross odpowiedział pełnym zrozumienia milczeniem. Allie siedziała cicho, zastanawiając się, co myśli. Czyżby powiedziała za wiele? Odchrząknął. Gdy przemówił, głos miał szorstki.

- Czemu mam poczucie, że stoi za tym Chastain?

- Bo uważasz, że Chastain stoi za wszystkim.

- Co więc się stało?

- Mówiłam ci, został zamordowany.

- W jaki sposób?

Nie była w stanie powstrzymać słów. Popłynęły, przyspieszone gniewem i bólem.

- Strzelono mu w głowę. Zostawili jego ciało w uliczce, jakby był śmieciem.

- Dlaczego?

Przeze mnie, chciała powiedzieć, ale nie mogła.

- Policja powiedziała, że to napad rabunkowy. - Ale ona wiedziała. I nie mogła temu w żaden sposób zapobiec.

- Czy dowiedzieli się czegoś o sprawcach? - zapytał łagodnie.

- Nie.

Nie sposób było odgadnąć z wyrazu twarzy Rossa, co myśli. Minę miał jak zwykle nieprzeniknioną.

- W takim razie wiesz, co znaczy, kiedy morderca pozostaje bezkarny. A jednak nie chcesz mówić o Chastainie, nawet gdyby twoje zeznania miały zadecydować o tym, czy znajdzie się w więzieniu, czy na wolności.

- Mówiłam już, że nie mogę ci pomóc.

- Ciekawe, co powiedziałby na to twój brat - rzekł spokojnie Ross.

Allie już miała na końcu języka ciętą odpowiedź, lecz zbłądziła spojrzeniem za okno po jego stronie i słowa zamarły jej na ustach.

W ferworze rozmowy nie zauważyli samochodu zbliżającego się szybko z tyłu. Słońce błyszczało w szybach, z wyjątkiem tej od strony pasażera, która była otwarta. W zalewie blasku nie mogła dostrzec kierowcy, ale widziała, co trzyma w ręku. Broń wycelowaną w nich.

- Ross! - krzyknęła, chwytając go za ramię. Gwałtownie odwrócił głowę i zobaczył, jak kierowca gestem lufy nakazuje im zatrzymać się. Zamiast tego wcisnął gaz do dechy.

Ryk silnika złał się z trzaskiem ich tylnej szyby, zdruzgotanej przez kulę. Allie uchyliła się, działając czysto instynktownie, i usłyszała świst kuli nad swoją głową.

Kolejny wystrzał, huk w kabinie i jednocześnie rozległ się stłumiony okrzyk Rossa. Wóz zarzucił.

- Przejmij kierownicę! - rozkazał napiętym głosem.

Zerknęła na niego i serce jej zamarło. Na lewym rękawie jego koszuli rosła krwawa plama.

- Allie, do cholery, prowadź!

Ton jego głosu uruchomił reakcję. Wychyliła się i chwyciła kierownicę obiema rękami. Ledwie zdążyła ją ścisnąć, gdy Ross znów wdepnął gaz. Auto wyrwało do przodu, wyjąc silnikiem. Drugi samochód zrobił to samo.

- Zgub go! Teraz!

Szarpnęła kierownicą w lewo, choć mały, słaby samochód miał nikłe szanse z limuzyną, która siedziała mu na zderzaku. Wozy zarzuciły w przeciwne strony. Allie skontrowała, usiłując nie dopuścić do poślizgu, a siła reakcji omal nie wyrwała jej ramion. Zacisnęła zęby z bólu, ale trzymała mocno.

Kiedy z trudem udało się jej wyrównać tor jazdy, zostali staranowani z tyłu. Poleciała głową w przód, ale Ross zdążył przytrzymać ją prawą ręką, zanim rąbnęła w deskę rozdzielczą.

- Teraz! Gazu!

Instykt przejął kontrolę, wykonując rozkaz bez udziału myśli. Samochód wystrzelił w przestrzeń pomiędzy autami z przodu i nadjeżdżającymi z przeciwka. Ktoś zatęchł z furją. Zignorowała to. Sedan przyspieszył ich śladem.

- Dalej! Gazu!

Znów skrzyła kierownicę, wreszcie pojmując, czego od niej wymaga - aby próbowała się zgubić, przemykając między samochodami i wykorzystując małe rozmiary ich auta. Zbliżali się bowiem do Filadelfii i ruch gęstniał. Wkrótce uwięzną w korku. To była dla nich ostatnia szansa ucieczki. Auto wyskoczyło na pas awaryjny, bryzgając żwirem spod kół. Za nimi zapiszczały przeraźliwie opony limuzyny.

Ross znów dodał gazu. Wóz zawył silnikiem i rwał przed siebie, dygocząc z wysiłku aż trzeszczała karoseria, ale był zbyt powolny. Sedan doganiał go swobodnie. Allie gorączkowo wypatrywała kolejnych prześwitów pomiędzy rzędami jadących aut.

- Przejmiesz kierownicę?

- Nie, prowadź dalej.

Nic nie powiedziała, skupiając się na prowadzeniu^A Zaciska nie dłoni na kierownicy zapobiegało ich drżeniu. Parli do przodu, ale ruch na autostradzie zwalniał coraz bardziej. Ross ciągle milczał. Nie mogła zobaczyć drugiego samochodu w tylnym lusterku, lecz czuła, że jest tuż na nimi. Wyjechali zza zakrętu i zobaczyli z daleka zaporę odcinającą zjazd, w który skręcał ich pas.

- Zjazd zamknięty - zameldowała.

- Na razie jedź.

Allie z narastającym przerażeniem patrzyła, jak znaki rosnącej w oczach. Z tyłu narastał odgłos silnika prześladowcy, który najwyraźniej uparł się, aby ich dorwać. Co dalej? Czy on nie widzi, że droga jest zamknięta?

Zapora była już wyraźnie widoczna, choć migające pomarańczowe światła rozmywały się w ostrym słonecznym blasku.

- Uważaj... Trzydzieści stóp. Dwadzieścia. Dziesięć. Sedan zawył silnikiem.

- Teraz!!!

Gwałtownym ruchem skrzyła kierownicę w lewo tuż przed blokadą. Z tyłu dał się słyszeć przeraźliwy pisk opon i ryk klaksonów aut, hamujących na prawym pasie. Rozległ się huk zderzenia i brzęk szyby, rozsypującej się w kawałki, a potem kolejny, gdy wpadały na siebie następne auta. Allie wołała nie patrzeć, co się dzieje; była tylko zdolna kurczowo trzymać kierownicę, wbijając wzrok przed siebie. A potem usłyszała inny huk zderzenia - po ich prawej stronie. Sedan nie zdążył w porę odbić w lewo.

To było do przewidzenia, lecz dopiero trzask łamanej bariery przyniósł jej ulgę. Po dobrych paru minutach zdołała wyrównać oddech, choć nadal drżała na całym ciele.

Ross zwolnił gaz. Silnik zakrztusił się, nagle spadając z wyśrubowanych do maksimum obrotów, ale za moment gładko podjął pracę.

- Mówiłem ci, że to dobry silnik - rzucił Ross, jeszcze przez zaciśnięte zęby.

Po raz pierwszy przyjrzała mu się uważnie. Widok nie był zbyt krzepiący. Skronie perliły się od potu, a rysy były ściągnięte

bólem. Ciemnoczerwona plama rozlała się już na cały lewy rękaw koszuli. Allie zmusiła się, żeby skupić wzrok na drodze.

- Musimy jechać do szpitala.

- Nie możemy.

- Jesteś ranny!

- To tylko draśnięcie. Rana powierzchniowa.

- Zakrwawiłeś całe siedzenie!

- Nic mi nie jest, do cholery! - warknął, ale ostatnie słowa przeszły w jęk.

Allie zobaczyła przed sobą zapowiedź kolejnego zjazdu.

- Może...

- Nie - uciął ostro i zmęczonym spojrzeniem ogarnął okolicę.

- Gdzie jesteśmy?

- Mniej więcej pół godziny przed Filadelfią, a przynajmniej tak mi się wydaje. Na razie jedź do przodu. Znam kogoś w mieście, kto może mi pomóc.

- Kto to jest?

- Lekarz. Nikt o nim nie wie. Będziemy tam na pewno bezpiecznie.

- Jeżeli wcześniej nie zejdziesz z tego świata - stwierdziła zgryźliwie.

- Doceniam twoją troskę. I przynajmniej mogę liczyć, że nie zostawisz mnie na łasce losu i nie uciekniesz, gdy nie będę cię już mógł upilnować.

Przysunęła się jeszcze bliżej siedzenia kierowcy, zepchnęła jego nogę z gazu i sama przycisnęła pedał. Nie protestował; usłyszała jedynie ciche westchnienie, brzmiące niemal jak westchnienie ulgi. Zerknęła na jego twarz. Usiłował się trzymać, ale powieki mu opadały i mrugał nimi rozpaczliwie.

- Tylko mi tu nie mdlej! Uśmiechnął się słabo.

- Przynajmniej będziesz miała pretekst, żeby dać mi po gębie.

- Nie potrzebuję pretekstu - mruknęła, szorstkim tonem pokrywając lęk.

Z determinacją wcisnęła gaz, gdyż działanie było najlepszym sposobem, aby pokonać strach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Brancato powoli odzyskiwał przytomność, przechodząc z tępego oszołomienia w stan coraz ostrzejszego bólu. Z trudnością mógł się poruszać. Zdołał tylko wypełznąć z wraku samochodu na pobocze, zanim nadjechało pogotowie i policja.

Stał z boku, przyglądając się całej scenie. Obserwował, jak wyciągano ofiary. Kiedy zorientowano się, że kierowca zbiegł z miejsca wypadku, zaczęto gradzić teren taśmą. To był sygnał, że musi uciekać. Wrócił na drogę szybkiego ruchu, nie zważając na ból, który z każdym krokiem przenikał go coraz bardziej. Zamierzał oddalić się maksymalnie od miejsca zdarzenia, a potem złapać okazję. Jeśli nie, do miasta było już niedaleko i powinien jakoś dojść.

Niedaleko. Teraz mógłby namierzyć ich łatwiej, niż spodziewał się tego Ross. Kiedy wczoraj kierowca ciężarówki wysadził go na następnym parkingu, pożyczył książkę telefoniczną, rozłożył przed sobą mapę i przez resztę wieczoru wydzwaniał do każdego motelu i hotelu przy trasie, sprawdzając, czy się tam nie zatrzymali. Ross wyobrażał sobie zapewne, że oddalili się na tyle daleko, iż nikt nie będzie ich ścigać. Nie docenił go. Brancato bez większych trudności wytypował miejsce, gdzie w końcu ich namierzył. Od tego momentu śledził, jak kupowali samochód w najbliższym komisie, a potem jechał za nimi w ogonie.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie stracił cierpliwości. Bał się, że zgubi ich w korkach przed miastem i uznał, że musi zadziałać wcześniej.

Nie przyszło mu do głowy, że zdołają mu się wymknąć. Do-tychczas udawało mu się załatwić sprawę jednym strzałem. Pro-

wadzenie pędzącego samochodu jedną ręką, a celowanie drugą było niezłym wyczynem. Kula powinna odstrzelić Rossowi ramię. I nadal miał nadzieję, że lekarze nie zdołają uratować mu ręki. Myśl była tak miła, że nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Ross został poważnie ranny, co oznaczało, że musi szukać pomocy lekarskiej. Wystarczyło zatem, aby Brancato sprawdził szpitala, a będzie go miał.

Doktor Joshua Bennett był zupełnie inny, niż się spodziewała. Wyobrażała sobie kogoś w typie Rossa, wysokiego i ciemnego. Bennett był wysoki, lecz w żadnym wypadku nie można było powiedzieć, że jest ciemny. Był również młodszy, niż myślała. Wysoki, muskularny mężczyzna ledwie po trzydziestce, z szopą bujnych jasnych włosów, z otwartym, przyjaznym uśmiechem, który zgąsł, kiedy zobaczył, kto stoi w progu.

Jeśli był zaskoczony, nie pokazał tego po sobie. Szybko obrzucił ich spojrzeniem. Ross obejmował zdrowym ramieniem plecy Allie, korzystając z oparcia, które mu oferowała, lecz starając się jak najmniej ją obciążać. Bennett nic nie mówiąc, dał znak, by weszli.

- Idźcie do kuchni, jest za drugimi drzwiami po lewej. Posadź go na krzesło - polecił Allie.

- Sam siądę na tym cholernym krzesle - burknął Ross.

Josh zamknął za nimi drzwi.

- Z was dwojga ona sprawia wrażenie bardziej cierpiącej - skomentował.

- Bo powiedziałem, że nie potrzebuję jej pomocy.

- Nie, założę się, że cierpi, bo musi wysłuchiwać twojego zrzędzenia i jęków - powiedział z uśmiechem doktor, mrugając porozumiewawczo do Allie. - Przy okazji, jestem Josh - dodał.

- Miło cię poznać.

Zerknął na skrzywioną twarz Rossa.

- Skoro nogi niosą cię tak dobrze, czy byłbyś łaskaw przejść do kuchni, zamiast robić mi krwawą jatkę w holu?

Ross, zakławszy pod nosem, jął kuśtykać we wskazanym kierunku. Josh zniknął w drugim końcu domu.

- Facet ma rację - powiedziała Allie, idąc obok niego przez korytarz. - Zawsze jesteś taki marudny, kiedy dostaniesz kulkę, czy to tylko na mój użytek?

Spiorunował ją wzrokiem.

- Kto ci kazał ciągnąć się tu ze mną? Odgrażałaś się przecież, że uciekniesz! - odparował.

- Jestem ci coś winna - powiedziała, odsuwając dla niego krzesło przy kuchennym stole. Zignorowała groźnie zmrużone powieki Rossa i stanęła z boku. - Masz rację. Powinnam posadzić twój żaloszny tyłek na progu domu pana doktora i pojechać dalej do Meksyku. A jeszcze lepiej, gdybym wypchnęła cię z jadącego samochodu, a potem zawróciła i przejechała po tobie parę razy, dla pewności, że wreszcie będę miała z tobą spokój.

- Wystarczy - warknął. - Już zrozumiałem. - Ciężko opadł na krzesło. - Czego chcesz, medalu? Ponowne pojawienie się Josha ucięło dyskusję. W jednej ręce niośł torbę lekarską, a w drugiej butelkę tequili.

Postawił butelkę na stole przed Rossem i zaczął rozkładać swoje instrumenty. Ross zbył gestem alkohol.

- Nie potrzebuję tego.

- Będziesz potrzebował, kiedy zacznę ci dłubać w mięśniu, żeby wyciągnąć kulę - rzekł Josh.

- Nie siedzi głęboko, ale boli jak cholera - poskarżył się Ross.

- Wybacz, wolę sam postawić diagnozę. - Josh chwycił nożyce chirurgiczne. - Usiądź prosto. Ross posłuchał. Lekarz zaczął rozcinać rękaw jego koszuli szybkimi, sprawnymi ruchami. Allie na moment zrobiło się niewyraźnie, kiedy cisnął skrwawiony łańch na podłogę, lecz starała się trzymać dzielnie. Ross skrzywił się, gdy Josh szarpnięciem oderwał materiał przyklejony do skóry, ale nic nie powiedział.

Milczeli, kiedy lekarz pochylił się nad ramieniem Rossa i sondował ranę. Allie musiała odwrócić wzrok, gdy zaczął wydłubywać kulę.

- Miałaś rację - powiedział Josh. - Nawet nie dotknęła kości.

- Nie pierwszy raz.

- Cóż, nie jestem zaskoczony, ale... - Bennett, nie spuszczając wzroku z rany, zapytał: - Przepraszam, nie zapamiętałem twojego imienia.

Popatrzyła na Rossa. Pokręcił głową.

- Allie - odpowiedział za nią. - Ma na imię Allie. Wydeła wargi i zmilczała. Nie było sensu teraz się kłócić.

- Wiesz, Allie... - kontynuował Josh. Wyczuł nagłe napięcie pomiędzy nimi, lecz nie skomentował go

- ...wolałbym robić to w szpitalu.

- Nie mogło być mowy o szpitalu, bo wtedy musiałbyś złożyć policji raport o ranie postrzałowej. Zaszyj mnie tylko i znikamy.

- Nie mógłbyś zostać na wieczór, Gid? - Ton lekarza był lekki, lecz Allie wyczuła w nim nutę żalu. Przebłysk czegoś, co mogło wyglądać na winę przemknął po twarzy Rossa, zanim jego rysy znów zdążyły znieruchomieć jak maska.

- Bardzo chciałbym, stary, ale wolę nie mieszać cię w tę sprawę.

- Daj spokój. Nie mam innych okazji, żeby się z tobą spotkać, a kiedy może być następna? Za parę lat? Ross zakaszłał, pokrywając zmieszanie.

- Ach, znasz mnie przecież. Kiepsko dbam o znajomości. Nie mam nawet telefonu.

- Nie martw się, nie zamierzam wchodzić ci w życie, ale miło mi widzieć, że ciągle żyjesz. Byłem przekonany, że tkwisz sobie przyjemnie i bezpiecznie w swojej chałupce w dziczy, a tu, proszę, jaka niespodzianka. Widać nie w smak ci emerytura.

Allie, nie wierząc własnym uszom, odwróciła się do Rossa. Nie zaskoczyło jej zrezygnowane spojrzenie, sprawdzające jej reakcję.

- Dalej jestem na emeryturze - odpowiedział.

- W takim razie zarobiłeś nieźle jak na emeryta - zauważył Josh.

Ross sprawiał wrażenie, jakby gotów był dać lekarzowi wszystko, aby tylko przestał mówić.

- To nie jest robota - wycodził przez zaciśnięte zęby. - To sprawa osobista. Allie patrzyła na niego zszokowana. Przez chwilę nie potrafiła znaleźć słów.

- Nie jesteś łowcą nagród?

- Oficjalnie nie. Już nie - odparł, zdradzając się najwyżej jednym mrugnięciem.

- Dlaczego w takim razie...

Przerwał jej, wymownie zerkając na lekarza. Najwyraźniej nie chciał, aby Josh wiedział więcej niż to, co już wie.

- Powiedziałem już... że to sprawa osobista - uciął z naciskiem.

- Więc okłamałeś mnie.

- Dzwon do glin.

Słowa uwięzły jej w gardle, nie mogła zrobić ruchu. Mogła tylko stać przed nim, tłumiąc w sobie zajądłą, bezsilną złość. Wreszcie odwróciła się na pięcie i wielkimi krokami wyszła z kuchni. Zapadło milczenie, przerwane jedynie miękkim szcękaniem nożyc doktora, przecinających nie chirurgiczną. Ross nie wykonał ruchu, aby pójść za nią, nie tylko dlatego, że nie mógł. Nie odeszła daleko. Za ostro ją zbył. Normalnie nie zostawiłaby tego bez komentarza.

- Przepraszam - powiedział cicho Josh. - Nie była w kajdankach ani nic takiego, więc...

- Och, potrafi w bardzo zabawny sposób wyzwalać się z nich.

- Nie zachowywała się jak ktoś, kto chce od ciebie uciec. Myślałem, że jest twoją przyjaciółką albo kimś w tym stylu.

Ross nie był w stanie się nawet roześmiać, tak niedorzeczne było to stwierdzenie.

- Nic z tych rzeczy.

- Wybacz, ale odniosłem wrażenie, że ona szczerze troszczy się o ciebie.

Ross nie wiedział, co ma na to powiedzieć. Rzeczywiście, czemu nie uciekła, choć mogła? To nie miało sensu, a przynajmniej tak mu się wydawało na podstawie jej niedawnych zachowań. Josh założył ostatni szew, zrobił opatrunek i wyprostował się.

- Gotowe.

- Nareszcie - mruknął Ross i powoli zaczął wstawać z krzesła. Lekarz zastąpił mu drogę, zmuszając, żeby usiadł z powrotem.

- Teraz pora, żebyś ty coś dla mnie zrobił - powiedział stanowczo. Ross zmarszczył brwi, momentalnie stał się czujny.

- O co chodzi?

- Zostań na noc.

Ross bez namysłu pokręcił głową.

- Nie możemy tego zrobić.

- Oboje wyglądacie, jakbyście brali udział w nieustającym maratonie. Widziałem ludzi cierpiących na chroniczną bezsenność, którzy wyglądali na bardziej wyspanych niż wy. Zostańcie na noc.

- Jeżeli ktoś nas tu odnajdzie...

- Jakim cudem? Nie wpadłbyś tu do mnie, gdybyś nie miał pewności, że nikt nie łączy nas ze sobą. Ross milczał.

Josh skinął głową, biorąc jego milczenie za zgodę.

- Nie martw się, Gid. Mam nocny dyżur w szpitalu i nie wrócę przed południem. Będiesz miał mnóstwo czasu, żeby się wreszcie wyspać i odejść, zanim się zjawię.

- Josh...

Doktor już go nie słuchał. Wziął marynarkę z oparcia krzesła i wyjął z niej kluczyki. Idąc do wyjścia, zawołał przez ramię:

- Lodówka jest pełna. Bierzcie, co chcecie, także ubrania. Przepraszam za bałagan. I nie zwracajcie sobie głowy sprzątaniami, bo i tak nie będzie lepiej.

Zatrzymał się jeszcze z ręką na klamce. Cień przesunął się po pogodnej twarzy.

- Skontaktujemy się później, Gid.

Ross zdołał tylko krótko skinać głową. Lekarz wyszedł.

Przemagając nagły ciężar w piersi, Ross ruszył w głąb mieszkania, szukając Allie.

Znalazł ją w salonie, oglądając galerię fotografii. Portrety rodzinne i zdjęcia przyjaciół pokrywały całą jedną ścianę i jeszcze sporą część sąsiedniej. Josh ze swoją paczką ze studiów. Josh ze znajomymi ze szpitala. Josh z kuzynami, ciotkami, wujami i dwojgiem uśmiechniętych rodziców. Bowiem Josh Bennett był takim rodzajem człowieka, kochającym wszystkich i przez wszystkich kochanym. Allie z nieobecny wyrazem twarzy przechodziła od zdjęcia do zdjęcia. Ross znał to spojrzenie, dokładnie wiedział, co czuje. Zazdrość. Smutek. I jeszcze coś, czego nie potrafił nazwać - jakiś rodzaj wewnętrznego bólu, bardzo silnego i zbyt złożonego, by znaleźć na niego nazwę.

Oparł się zdrowym ramieniem o framugę drzwi i wepchnął dłoń w kieszenie, starając się nie patrzeć na zdjęcia.

- Sądziłem, że jesteś już w połowie drogi do Meksyku - powiedział.

- Miałyś żal? - zapytała, nie odwracając się.

- Jasne. Przecież dostałem tę kulkę przez ciebie, droga pani. Nie jestem dziś w formie, żeby gonić za tobą.

To ją wreszcie ruszyło. Gniew błysnął w jej oczach.

- Tylko nie zwalaj winy na mnie! Sam się w to pchałeś. Nie jesteś nawet prawdziwym łapsem. Dlaczego w ogóle zaangażowałeś się w tę sprawę?

- Przecież wiesz, dlaczego.

- Dobra. Taylor. Tak bardzo go chciałeś, że zszedłeś z gór czy z innego miejsca, żeby go dorwać.

- Z grubsza tak.

- Więc nie zajmujesz się tym oficjalnie.

- Nie, prywatnie.

- Zabawne, że nie raczyłeś o tym wspomnieć.

- Jak już mówiłem, jestem łowcą nagród i ścigam Taylora. Tyle potrzebujesz wiedzieć. I nie rozumiem, po co tak mnie drażysz.

- Bo uznałam za interesujący fakt, że ciągle powtarzasz mi, żebym ci zaufała, a sam nie mówisz mi całej prawdy.

- Tak bywa w życiu.

- Jest coś jeszcze, czego mi nie powiedziałaś? Jakie inne tajemnice trzymasz w zanadrzu?

- Ty pierwsza? Zacisnęła usta w upartą linię. Odsunął się od framugi.

- Jestem głodny. Powinniśmy coś zjeść.

- Nie masz prawa trzymać mnie tutaj.

- I nie trzymam. - Zmierzył ją spojrzeniem. - Co nie oznacza, że nie mógłbym tego zrobić, ranny czy nie.

Czekał na jej ruch. Mimo ostrych słów był dziwnie pewny, że Allie nie planuje ucieczki. I znów przestał cokolwiek rozumieć. To było bez sensu.

A może jednak jest w tym sens, pomyślał, ogarniając spojrzeniem miejsce, w którym stali. Łatwo jest poddać się tej domowej atmosferze, emanującej poczuciem bezpieczeństwa i wygody. Zwłaszcza jeśli się jest kobietą.

Tak, to musi być to!

Zmierzyła go wściekłym spojrzeniem i demonstracyjnie pokazała mu plecy. To oznaczało, że musi sam zrobić sobie kolację.

Brancato zameldował się w hotelu i wziął długi prysznic, aby ukoić ból obitego ciała. Czekał na wiadomość o Rossie. Telefon zadzwonił, kiedy kończył się wycierać. Dzwonił Newcomb.

- Nikt odpowiadający opisowi Rossa nie trafił z raną postrzałową do miejskich szpitali.

- Sprawdziłeś również te podmiejskie?

- W promieniu trzydziestu mil.

- W takim razie nic jeszcze nie zrobił z raną. Ale będzie musiał. Pokręcę się po okolicy, aż coś wreszcie wyśledzę.

- Po co masz tracić czas? A jeśli on jest już setki mil stąd? Nie możemy ryzykować.

- Strzał był dobry. Powinien odstrzelić mu ramię. A nawet jeśli nie, i tak ktoś musi wyjąć kulę, a potem opatrzyć ranę. Nie sądzę, aby był na tyle głupi, by liczyć jedynie na pomoc tej kobiety. - Zastanowił się przez chwilę. - Jeżeli nie zgłosi się do szpitala w ciągu najbliższych paru godzin, będzie jasne, że zna tu kogoś, komu może zaufać.

- Nawet bym się nie zdziwił. Ross ma wszędzie kontakty.

- W takim razie sprawdź, kto to może być. Z cholerną przyjemnością złożę mu wizytę.

- Jak mam to zrobić, to licha?

- Pchnij ludzi tam, gdzie mieszkał. Muszą coś wyniuchać. - Brancato stanął przy oknie i wpatrzył się w miasto. - On tu gdzieś jest.

Jedli w milczeniu. Allie oglądała fotografie zdobiące ściany kuchni, nie patrząc na Rossa. Ross jadł ze wzrokiem wbitym w talerz. Unikał widoku zdjęć. Te cholerne fotki były wszędzie. Uśmiechnięte twarze, szczęśliwe rodziniki i stada przyjaciół. Aż serce bolało.

- Lubię twojego przyjaciela - powiedziała wreszcie pomiędzy kęsami kanapki. Nie odpowiedział. Odgryzł szybko swój kęs, mając nadzieję, że poniecha tematu.

- Ciekawa jestem, na jakiej zasadzie funkcjonuje wasza znajomość. Bo widać, że ma wystarczająco wielu przyjaciół.

Ross przełknął z wysiłkiem i omal się nie udławił. Czy ona nigdy nie odpuści? Ta kobieta wie, jak zająć za skórę.

- On nie jest moim przyjacielem - odrzekł z pewnym wahaniem.

- Zrozumiałe, kiedy się widzi, jak go traktujesz. Ale jednak gotów jest wiele zrobić dla ciebie. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego.

Westchnął.

- Josh jest moim bratem.

Wreszcie ją zatkąło. Lecz mylił się sądząc, że najgorsze już za nim. Zamrugła, zaskoczona.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że masz jakąkolwiek rodzinę.

- Fakt, że ma się tych samych rodziców nie znaczy jeszcze, że jest się rodziną. Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Mocno powiedziane, nie sądzisz?

- Ale tak jest.

- Co się stało? Czy pokłóciłeś się z rodzicami? Ścisnął kanapkę tak mocno, że omal nie rozpadła mu się w palcach. Teraz brała odwet za wszystkie pytania, które zadawał jej wcześniej.

- Nie.

- Po prostu nie byłeś z nimi blisko? Josh powiedział, że nie widzieliście się od dobrych paru lat. Rozumiem, że każdy poszedł swoją drogą, ma własne życie i tak dalej. Jeśli do tego jeszcze ukryłeś się gdzieś w górach...

Odłożył kanapkę na talerz.

- Posłuchaj, moi rodzice nie żyją, okey? Po ich śmierci rozdzielono nas i długo się nie widzieliśmy. Popatrzył na niedojedzone kanapki na swoim talerzu. Do reszty stracił apetyt. Allie zapytała spokojnie:

- Ilu was było?

Marzył tylko, aby wstać i odejść stąd. A jednak został i patrzył jej prosto w oczy. Nie było w nich złośliwości. Nie próbowała się na nim odegrać. Po prostu bardzo chciała wiedzieć.

- Pięciu - odparł. - Pięciu chłopaków.

- Którym w kolejności jesteś?

- Najstarszym.

- Oczywiście. Jak udało ci się ich odnaleźć? Pytająco uniósł brew. Dobrze udało zmieszanie.

- Przecież zajmujesz się zawodowo odszukiwaniem ludzi. Odchrząknął niezręcznie i sięgnął po resztkę kanapki. Musiał czymś zająć ręce.

- Tak. Ludzi, którzy nie chcą być odnalezieni.

- Josh wydawał się uszczęśliwiony twoim widokiem.

- Josh lubi wszystkich, jak sama widzisz.

- Ale pozostali nie?

- Paru jasno dało do zrozumienia, że nie chcą być dopisani do rodzinnego drzewa. O jednym w ogóle nic nie wiem.

Paru. Jeden. Mówił o nich jak o przypadkowych znajomych, nie jak o rodzonych braciach.

- I wtedy oszczędłeś na emeryturę.

- Nie rozumiem...

- Nikt cię nie szukał.

Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. W tamtym czasie zdecydował po prostu zbieg rozmaitych okoliczności. Śmierć

Jeda. Chłodna reakcja pozostałych braci. Miał tylko poczucie, że nie chce więcej się starać. Nie wiedział, co jeszcze może zrobić, nie miał ochoty dalej ścigać ludzi. Ludzi, którzy nie chcieli być odnalezieni.

Ale dociekliwa baba! Widziała za dużo. Miał wrażenie, że potrafi przejrzeć go na wylot. I teraz też patrzyła na niego wnikliwie.

- Tak mi przykro.

Wzruszył zdrowym ramieniem. Nie chciał jej współczucia. To było najgorsze.

- Niepotrzebnie. Powinienem się tego spodziewać. Nie widzieliśmy się od ponad ćwierć wieku. Oni mają swoje rodziny i swoje życie. Nie jestem im potrzebny.

- Ale masz Josha.

- Też lepiej mu beze mnie.

- Jak możesz tak mówić? Pokazał gestem fotografie na ścianie.

- Jak sama powiedziałaś, trudno sobie wyobrazić, że mógłbym się w to wpasować. Z satysfakcją zobaczył, jak się czerwieni.

- Nie wiedziałam, co jest naprawdę grane.

- Poznałaś Josha. Widziałaś te wszystkie zdjęcia jego uśmiechniętych krewnych i przybranych rodziców. Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że mógłbym zasiąść z nimi w weekend do obiadu? -Brzydził go zgorzkniały ton własnego głosu; drażniło współczucie widoczne w jej wzroku.

- Jeśli byliby tacy jak Josh, z pewnością chętnie widzieliby cię przy swoim stole.

- Mylisz się. Nie mam ochoty na dorabianą rodzinę...

- Nie mówi tak!

Urwał, zastopowany gniewnym tonem jej głosu. Gniew gorzał w jej oczach; cała się trzęsła.

- Nie wymagaj, żebym przyjęła na wiarę, że rodzony brat nic dla ciebie nie znaczy. Ja też wiem swoje. Wiem, jak to jest stracić brata. Dałabym wszystko, żeby Jimmy znów był ze mną. Więc nie udawaj, że Josh nic dla ciebie nie znaczy. Nie oszukasz mnie.

Nie mógł pokazać po sobie wstydu, jaki wywołały w nim jej słowa.

- Masz rację. Znaczy bardzo wiele. Ale pewnych rzeczy nie da się zmienić. Ty też powinnaś o tym wiedzieć.

Udało mu się ją zranić. Widział to. Skuliła się, jakby ją uderzył i uciekła spojrzeniem w bok, znów skupiając się na fotografiach. Ross wstał niespodziewanie.

- Muszę zadzwonić. - Reggie powinien już coś mieć dla niego. Potrzebował informacji; potrzebował raz na zawsze wyrugować tę kobietę ze swojego życia.

Milczała, kiedy wychodził z kuchni.

Zdjął słuchawkę bezprzewodowego telefonu ze ściany i przeszedł do holu, uważając, czy Allie nie rusza się z salonu.

Reggie odebrał po trzecim sygnale.

- Masz coś dla mnie?

- Ach, to ty. Kurczę, faktycznie nie żartowałeś, kiedy powiedziałeś mi, że wdepnąłeś w coś poważnego! Media w kółko

o tym gadają. Taylora znaleziono martwego na jakimś parkingu w Pensylwanii.

- No, wiem.

- Zabiłeś go?

- Naprawdę musisz mnie o to pytać?

- Dobra, to nie w twoim stylu, prawda? Więc kto?

- Powiem ci, jak tylko sam będę wiedział. Co masz dla mnie?

- A co chcesz najpierw?

- Allie Freeman - powiedział Ross, mając nadzieję, że wreszcie dogrzebie się do tajemnic, które przed nim ukrywała.

Słyszał, jak Reggie szeleści papierami na biurku.

- Przez prawie trzy lata pracowała dla korporacji Chastaina. Wystarczająco długi czas, aby wykryć różne ukryte sprawki firmy.

- Niech zgadnę. Zaginęła bez wieści.

- Lepiej. Dokładnie wiem, gdzie aktualnie przebywa. Coś w tonie Reggie'ego uruchomiło w głowie Rossa dzwonek alarmowy.

- Gdzie jest?

- W grobie, pochowana na cmentarzu St. Augustine w Queens. Dziwne, lecz ta wiadomość nie całkiem go zaskoczyła.

- Co się stało?

- Znaleziono jej ciało w East River w parę tygodni po tym, jak ten twój Chastain został aresztowany za zabójstwo Mulroney. Gliny usiłowały powiązać ten fakt ze śmiercią Mulroney, lecz bez

rezultatów. Ross nie zdziwił się. Zwykle tak było. Allie Freeman nie żyła. Kto w takim razie przed chwilą siedział w kuchni Josha, naprzeciw niego przy stole? Niemiły dreszcz przebiegł mu wzdłuż krzyża.

- Powiedz mi o Kathleen Mulroney.

- Pracowała w sekretariacie Chastaina. Nikt ważny, naprawdę.

- Dlaczego w takim razie ją zabił?

- W komputerach sprawdzono, że zostawała w firmie do późna po godzinach i zginęła, bo natrafiła na ukryte pliki. Nie wiadomo, co w nich było. Wkrótce po zabójstwie Chastain wszedł do systemu i osobiście skasował albo przegrał to wszystko, co dawałoby podstawy do oskarżenia go. Glinom nadal nie udało się ich odnaleźć - podsumował zgryźliwie Reggie. - Amatorszczyzna. Oskarżenie skłania się ku teorii, że pliki zawierały dowody tajnej operacji, którą przeprowadził. Chodzą plotki, że linią obrony ma być sugestia, iż Mulroney była rodzajem korporacyjnej wtyczki, sprzedającej informacje konkurencji i Chastain po prostu próbował zminimalizować szkody.

Ross roześmiał się w głos.

- I dlatego ją zastrzelił?

- Z tego, co słyszałem, są skłonni uznać jego czyn za „obronę przed jej chwilową niepoczytalnością”. Rzekomo nie wytrzymał konfrontacji z nią...

- Żartujesz?!

- Nie, taka jest oficjalna linia obrony i sądzę, że nie mają nic więcej na jego obronę. Prokurator okręgowy dysponuje nagraniem z kamery przemysłowej. Ale kto ośmieli się oskarżyć Chastaina?

Wystarczy jego słowo przeciwko słowu jakiegoś świadka i świadek ten jest ugotowany.

- Jakim cudem prostej sekretarce udało się włamać do systemu i wybrać te pliki?

- Nikt nie wie. Ale wiadomo, że to zrobiła. Podobno miała bardzo bystrego braciszka. Może talenty rodzinne?

- Braciszka? - Ross nagle stał się czujny.

- Tak, jej brat miał podobno zdawać jesienią na Uniwersytet Kolumbii, więc chyba musiał być łebski, nie? On też pracował dla Chastaina... taka wakacyjna robota, akurat w lato, kiedy ten zabił jego siostrę.

- I co się z nim stało? - zapytał Ross, choć już znał odpowiedź. I nie bardzo chciał ją usłyszeć.

- Został zamordowany na miesiąc przed nią. Ciało znaleziono w uliczce, parę bloków od metra. Portfel zniknął. Policja zakwalifikowała to jako grabież. Sprawa nadal pozostaje niewyjaśniona.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wiedział.

Kiedy Ross wrócił i spojrzał na nią, z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że już wie. Wie, kim ona jest. Wszedł na krok do pokoju i zatrzymał się, mierząc ją wściekłym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

- Allie Freeman nie żyje. Jej ciało znaleziono dwa tygodnie po zabójstwie Kathleen Mulronej.

Ton był zaczepny, jakby spodziewał się, że zacznie zaprzeczać. Nie było najmniejszego sensu. Powoli odłożyła niesiony przez siebie talerz, bojąc się, że wypadnie jej z drżących rąk.

- Więc już wiesz.

- Kim jesteś?

- Sądziłam, że znasz odpowiedź.

Postąpił krok ku niej. Wyczuła, że ze wszystkich sił stara się panować nad sobą.

- Chcę usłyszeć to od ciebie. Chcę potwierdzenia, że wszystko, co dotychczas mi powiedziałaś, było prawdą...

- Prawie wszystko, co ci powiedziałam, było prawdą.

- Wszystko poza imieniem i nazwiskiem. Powiedz mi - wycedził. Nawet teraz zawahała się. Nie mogła się zdobyć nawet na powiedzenie tych dwóch słów - imienia i nazwiska, których nie ośmieliła się wymówić przez cały rok.

Głęboko nabrała powietrza. Usta zaczęły formować słowa tak znajome i obce zarazem.

- Kathleen Mulroney. Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

- Ona nie żyje.

W jego tonie, w minie było czyste szyderstwo. Na to nie była przygotowana. Umknęła spojrzeniem w bok.

- Tak samo jak Allie Freeman. Ale uwierzyłeś bez trudu, że jestem nią.

- Bo nie wiedziałem!

- A teraz wiesz. Pozostaje pytanie, jaki użytek zrobisz z tej wiedzy.

- Jaki użytek... kobieto, sądzą człowieka za zamordowanie ciebie, a ty żyjesz!

- Ten człowiek próbował mnie zabić. Strzelił do mnie z zimną krwią i kazał swoim przybocznym pozbyć się ciała. Przeżyłam tylko dlatego, że pewien człowiek uważał, iż jest mi coś winien i ocalił mi życie, w ostatniej chwili zawożąc mnie do lekarza.

- Pete Crowley.

Kiwnęła głową, tknięta poczuciem żalu z powodu tego, który jej pomógł, płacąc za to ogromną cenę. Był dobrym człowiekiem; o wiele za porządnym, żeby pracować dla Chastaina. Lecz dla Chastaina pracowało wielu porządnym ludzi i wielu zapłaciło za to.

- Może lepiej zacznij od początku - zaproponował Ross.

- Jak wiele chcesz wiedzieć? Uśmiechnął się z gorzką kpina.

- Dlaczego mamy zakładać, że nic nie wiem?

Oparła się o kuchenny blat i powoli wypuściła powietrze.

- Wiesz o Jimmym, Myślę, że wtedy się to wszystko zaczęło. Obrazy napłynęły falą do jej pamięci; szczegóły, o których zabraniała sobie myśleć i te, których nie potrafiła wymazać z pamięci. Z wysiłkiem ubierała myśli w zdania.

- Mówiłam ci, że jesienią miał rozpocząć studia. Większość dzieciaków w jego wieku chce fajnie spędzić ostatnie wolne lato, bo wie, że potem będzie musiało zarabiać na naukę. On nie. Przez całe liceum dorabiał różnymi pracami, ale teraz chciał pracy w pełnym wymiarze, aby wreszcie przejść na własne utrzymanie. Więc znalazłam mu zajęcie... nic takiego, proste uzupełnianie i opracowywanie komputerowej bazy danych w firmie. Pokręciła głową.

- Powinnaś wiedzieć, że szybko mu się znudzi. Wkrótce, kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, zaczął szperać w systemie. Był komputerowym geniuszem. Dałabym głowę, że z początku chodziło o zwykłą młodzieńczą ciekawość i chęć sprawdzenia własnych możliwości. Tymczasem Jimmy'emu udało się włamać do prywatnych, specjalnie chronionych plików Chastaina.

- Co w nich było?

- Sprawozdania finansowe z rozmaitych nielegalnych transakcji. Większość chroniona zabezpieczeniami lub zaszyfrowana. Mój brat, który oficjalnie zajmował się bazą danych budownictwa, znalazł tam znane mu nazwiska inspektorów budowlanych. Nie-trudno było skojarzyć, że ma przed sobą listę łapówek. Chastain przekupywał tych ludzi. To przyciągnęło uwagę Jimmy'ego.

Wkrótce odkrył więcej. Pranie pieniędzy. Tajne konta w rachach podatkowych. Łapówki dla urzędników rządowych. Widocznie, kiedy się robi tyle przekrętów, trzeba prowadzić dokładną księgowość, żeby się w tym połapać.

- Nie jestem pewna, czy Jimmy zdawał sobie do końca sprawę, na co natrafił, ale musiał wiedzieć, że afery jest bardzo poważna. Musiał liczyć się z tym, że prędzej czy później zorientują się, że ktoś odkryje włamanie, więc skopiował dane na wypadek, gdyby przeniesiono je gdzie indziej. Domyślałam się, że całość była zbyt duża, by przesłać ją e-mailem albo nie miał czasu przekopiować plików na płytę. W każdym razie ukrył kopię w systemie, we własnym zaszyfrowanym folderze i pewnie zamierzał zająć się tym później. Wtedy Chastain odkrył włamanie. I następnego dnia Jimmy już nie żył.

- Skąd pewność, że Chastain kazał go zabić?

- Z początku nie byłam pewna, bo nie wylał mnie... co, jak można przypuszczać, zrobiłby, gdyby dowiedział się o wyczynie mojego brata. Wszyscy w firmie bardzo mi współczuli. Ale wkrótce po pogrzebie mój szef zaczął zadawać mi dziwne pytania o Jimmy'ego i jak radzę sobie ze stratą, lecz głównie chciał wiedzieć, czy brat opowiadał mi coś o swojej pracy. Sprawiał wrażenie, jakby poszukiwał jakichś papierów związanych z zadaniem archiwizacji, które powierzono Jimmy'emu. Po tym, jak ktoś włamał się do mojego mieszkania i przeszukał je, stałam się podejrzliwa. Wreszcie znalazłam notes Jimmy'ego ukryty pod podłogą w jego pokoju. Wtedy zrozumiałam, czego szukają i sama zaczęłam szperać w systemie.

- Udało ci się znaleźć zaszyfrowany folder? - zapytał z niedowierzaniem Ross.

- A co, uważasz, że zwykła sekretarka potrafi tylko przysyłać e-maile? - Wzruszyła ramionami. - Nie ty jeden. Podejrzewam, że właśnie z tego powodu Chastain z początku nie podejrzewał, że mogę coś wiedzieć. Nie wybierałam się na studia, ale Jimmy zdążył nauczyć mnie paru rzeczy i zostawił w notatkach całkiem dokładne wskazówki na temat lokalizacji tych plików. Resztę dośpiewałam sobie sama i poszło mi bez większych trudności.

- Dlaczego nie poszłaś na policję?

- Poszłam. Dotarłam do detektywa, który zajmował się zabójstwem Jimmy'ego i powiedziałam mu, co znalazłam. Odpowiedział, że bez konkretnego dowodu nikt nie uwierzy, że prezes Chastain zastrzelił siedemnastolatka. Sam nie zamierzał ryzykować. Musiałam dostarczyć mu dowód.

- To nie ma sensu. Skoro złożyłaś doniesienie, musiało znaleźć się w policyjnych raportach.

- Niekoniecznie. Odniosłam wrażenie, że ten detektyw nie potraktował mnie poważnie.

- Jak się nazywał?

- Crandall.

Ross nerwowo przeczesał ręką włosy.

- Rany boskie!

- Co?

- Newcomb, ten glina, który posłał mnie za Taylorem, zawsze podejrzewał, że Chastain musi opłacać kogoś w policji. Cholera, wszyscy podejrzewaliśmy, że Crandall pracuje na dwie strony.

Nie była zaskoczona. Niewiele już było w stanie ją zaskoczyć.

- Zamiast więc spisać moje zeznanie, zadzwonił do Chastaina. I Chastain czekał na mnie, kiedy następnego wieczoru wyszłam z budynku.

- Czemu siedziałaś tam tak długo?

- Aby zgromadzić dowody na afery, w które był zamieszany. Musiałam przeszukać system, czego nie mogłam zrobić za dnia, ściągnąć dane i je skopiować.

- Ryzykowne. Nawet gdyby udało ci się wynieść te materiały, szybko odkryłyby, że zostałaś do późna w pracy.

- To już nie miało znaczenia. Nie zamierzałam tam wrócić. Planowałam dostarczyć dowody policji i zniknąć. Ale Chastain czekał już na mnie przy tylnym wyjściu. Oskarżył mnie, a ja wykrzyczałam mu w twarz, co wiem. Wtedy mi powiedział.

Brwi Rossa podjechały w górę.

- Chastain przyznał, że kazał zabić twojego brata?

- Nie. Przyznał się, że zabił go własnymi rękami. Znasz ten rodzaj ludzi. On pojmuje zdradę bardzo osobiście. Sam, z zimną krwią zastrzelił Jimmy'ego. Tamtego wieczoru powiedział mi wszystko. Wręcz się chwalił. Dlaczego nie? Wiedział, że zaraz zginę. Zresztą nie uważał, by zrobił coś złego. Jimmy nic dla niego nie znaczył; był po prostu nędznym trybikiem w jego maszynie.

Postąpiła krok ku niemu, zaciskając w pięści dłonie opuszczone wzdłuż ciała. Jej głos drżał z tłumionego gniewu.

- Wiesz, co mi powiedział? Powiedział, że Jimmy nie był wart nawet kosztów usunięcia jego ciała. Dlatego porzucono je w śmierdzącym zaułku jak śmieć. Śmiał się, gdy to mówił.

Nawet teraz, po upływie całego roku, widziała wyraźnie twarz Chastaina wypowiadającego te słowa, słyszała, jak się śmieje, cholernie z siebie zadowolony. Ale teraz stał przed nią Ross, po którego twarzy przemknął wyraz współczucia, zanim znów stężała w pokerową maskę.

- A kiedy użył sobie do końca, strzelił do mnie. Dalszy przebieg wydarzeń znam tylko ze słów Pete'a i z gazet - ciągnęła. - Chastain kazał Pete'owi i Royowi Taylorowi pozbyć się moich zwłok. Tymczasem kilka minut po mojej rzekomej śmierci

przyłapali Allie Freeman, gdy uciekała z miejsca zbrodni. Nie wiem, skąd się tam wzięła, ale musiała widzieć wszystko. Teraz mieli dwa ciała do usunięcia. Nie chcieli, aby znaleziono je razem i skojarzono oba zabójstwa, więc się podzielili. Taylor zabrał ciało Allie, a Pete moje. Z tego, co mi potem powiedział, wynikało, że właśnie miałam wylądować w wodach Hudson, gdy zorientował się, że ciągle żyję.

- Chastain nie sprawdził tego?

- Skąd, to ostrożny drań. Pociągnął za spust, ale nie chciał ubabrać sobie rąk, szukając pulsu na mojej zakrwawionej szyi. Zresztą, znając Chastaina, można przypuszczać, że uważa się za perfekcjonistę we wszystkim, co robi. Jego kula musiała być śmiertelna. Po jego jednym strzale nikt nie miał prawa żyć.

- A Taylor? Też nie sprawdził, czy żyjesz?

- Zapewne wyglądałam na wystarczająco martwą. Pete mówił, że też nie sprawdził.

- Dlaczego Pete Crowley nie, dobił cię?

- Nie mógł. Nie jest taki jak oni. Nie potrafiłby zabić kobiety. Powiedział, że jestem podobna do jego narzeczonej. Zawiózł mnie do znajomego lekarza i zataił przed Chastainem, co się stało. Przetrzywał mnie u siebie przez parę tygodni, dopóki nie wydobrzałam.

- A potem? Skoro nie wiedziałaś, że Crandall jest skorumpowany, czemu nie poszłaś na policję? Przez moment wpatrywała się w Rossa, zaskoczona jego niedomyślnością, a potem zaczęła się śmiać.

- Widzę, że nie wykonałaś do końca myślowej roboty - powiedziała kpiąco.

- O co chodzi?

- Czy jesteś aż tak naiwny? Kto, twoim zdaniem, usiłował nas zepchnąć z szosy?

- Sądzisz, że policja chce cię zabić? To obłąd!

- Czyżby? Chastain nie ma powodu dybać na moje życie. Chce, żebym pokazała się w sądzie jako żywy dowód, że mnie nie zabił. Tylko w ten sposób może się wykręcić. Co najwyżej postawią mu zarzut usiłowania zabójstwa. Jego adwokat powie, że nie można mi wierzyć, skoro chcę usadzić w więzieniu niewinnego człowieka za zbrodnię, której nie popełnił. Jedyne policja ma powód, aby widzieć mnie martwą.

- Czemu? - Ross nie krył zdziwienia.

- Sam to powiedziałaś. Mój trup to dla prokuratora okręgowego najlepsza szansa na ostateczne usadzenie Chastaina, który dotąd stale mu się wywijał. Problem w tym, że nie popełnił tej kluczowej zbrodni, a przynajmniej nie do końca mu się udało. Tego jednak nikt by się nie dowiedział, gdybym zniknęła na zawsze.

- Ludzie, o których mówisz, stoją na straży prawa - zauważył Ross.

- Tak, jasne. Bo przecież nie istnieje w przyrodzie coś takiego jak sprzedajny glina, prawda? - zakpiła. -Niestety, ci porządni gli-niarze są jeszcze gorsi. Szaleją z poczucia frustracji, że Chastain chodzi sobie na wolności, choć wszyscy wiedzą, że jest winien wszystkich grzechów i zbrodni, jakie istnieją pod słońcem. Są go-towi zrobić wszystko, by go dorwać. Jak myślisz, kto zabił Petera Crowleya?

- Chastain, kiedy odkrył, że Crowley poszedł na policję. Pewnie za sprawą tej gnidy Crandalla.

- Raczej policja, kiedy Crowley powiedział im, że ofiara z nagrania wideo, ich koronnego dowodu zbrodni, żyje. Wówczas Chastain jeszcze o tym nie wiedział. Wiem, kto węszył po zabiciu Pete'a... i nie byli to ludzie Chastaina. Znam ich i znam gliny. Jak już mówiłam, Chastain chce mieć mnie żywą. Policja chce widzieć mnie martwą.

- Nie wydawało się, aby Taylor wykazywał jakieś skrupuły, kiedy chciał porwać cię na parkingu wczoraj wieczorem - zauważył Ross.

- Sądzę, że gdyby do mnie strzelał, celowałby raczej w stopę. Powiedziałam, że chcę mnie żywą, ale niekoniecznie nietkniętą. Mało tego, rozlew mojej krwi mógłby spowodować pożądane wątpliwości, gdyż policja ma próbki pobrane z marynarki i płaszcza Chastaina. Mogliby je porównać i okazałoby się, że nadal żyję. Dlatego pewnie ten drugi go zabił. Nie mógł pozwolić, bym została postrzelona przez Taylora i zaczęła krwawić.

- Co się działo, kiedy ci gliniarze wpadli na twój trop?

- W ostatniej chwili zdążyłam wyskoczyć przez kuchenne okno. Pete miał torbę Allie Freeman, której zamierzał się pozbyć. Uznałam, że ona jest ostatnią osobą, której by szukali i nikt nie wie, że nie żyje, zatem jej karty nie zostały jeszcze zablokowane. Jedną zapłaciłam za fałszywe prawo jazdy z moim zdjęciem i jej nazwiskiem, a drugą za bilet autobusowy do innego miasta. Od tej pory ciągle uciekam.

- Przed policją.

- I ludźmi Chastaina. Detektyw Crandall pewnie przekazywał im na bieżąco co trzeba. Kto wie, ile jeszcze innych wtyk ma w policji i w biurze prokuratora okręgowego? Gdyby ich nie miał, nie mógłby tak długo chodzić na wolności. Nie wiem, jak dowiedział się, że nadal żyję. Może ktoś mnie widział, nie wiem.

Wówczas Taylor uciekł z miasta, żeby mnie ścigać. A za nim ty i Bóg wie, kto jeszcze... -Zacząła się śmiać. - Nie do wiary. Jedyne facet z całej tej bandy, któremu udało się mnie dostać, nie wiedział nawet, kim jestem. - Chwilowy przebłysk humoru rozwiął się jak pasemko dymu. Przyjęła jego spojrzenie bez drgnienia powieki. - Ale teraz już wiesz. Pozostaje pytanie, co zrobisz?

Ross westchnął przeciągle.

- Nie wiem.

- Sytuacja wydaje się jasna: albo puścisz mnie wolno, albo zabijesz. Popatrzył na nią z błyskiem w oku.

- Jest jeszcze trzecie wyjście.

Z trudem powstrzymała odruch, by obronnym gestem skrzyżować ramiona na piersi. Nie mogła okazać słabości, nie mogła pozwolić, by wyczuł, że nagle zaczęła się bać. Zmusiła się do lekkiego tonu.

- Jakże? Chcesz ogłosić całemu światu, że wiadomość o mojej śmierci jest mocno przesadzona? -zapytała kpiąco.

W paru krokach znalazł się przy niej i wykręcił jej ramię chwytem, który sprawił, że straciła oddech i skrzywiła się z bólu. Górował nad nią, a furia emanowała z jego potężnego ciała. Niemal namacalnie czuła jej napór.

- Zebrało ci się na żarty? - warknął przez zaciśnięte zęby. - Nie rozumiesz, w jakich znalazłaś się tarapatach?

Słowa Rossa uwolniły skumulowany w niej gniew. Nie zważając na ból, gwałtownym szarpnięciem wyrwała się z jego chwytu.

- Oczywiście, że zdaję sobie sprawę. Przecież od roku uciekam. To mnie chcieli zabić gliniarze, a ludzie Chastaina ścigają mnie od tak dawna, że zapomniałam już, jak wygląda normalne życie. Spróbuj żyć tak przez cały rok i przejść to, co ja przesłam. Wtedy szybko zobaczysz, w jakich jesteś tarapatkach.

Po tym wybuchu w pokoju zapadła cisza, podkreślana nierównym oddechem Allie. Ross wpatrywał się w nią zaskoczony, jakby była kompletnie obca i widział ją po raz pierwszy. Miała poczucie, że niezbyt podoba mu się to, co widzi.

Uniosła głowę i zmierzyła się z jego spojrzeniem. Nie miała zamiaru czuć się winna z jakiegokolwiek powodu. Dokonywała wyborów i robiła dokładnie to, co było niezbędne, aby przeżyć i zyskać pewność, że morderca Jimmy'ego nie ujdzie karze. Ross nie miał prawa jej osądzać. Nikt nie miał prawa. Nikt, kto nie przeżył tego co ona.

Stali tak przez niekończącą się chwilę. Ku zdumieniu Allie Ross pierwszy odwrócił wzrok. Zgarbił się. Jeszcze nigdy nie widziała go tak zmęczonego. I momentalnie z niej także opadł bojowy nastrój.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał spokojnie.

- Nie mogłam ci ufać. Bałam się, że będziesz chciał mnie zabić. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Czy choć raz przez cały czas, kiedy byliśmy razem, usiłowałam zrobić ci jakąkolwiek krzywdę, bez względu na próby, jakim poddawałaś moją cierpliwość?

- Tylko dlatego; że nie wiedziałaś, kim naprawdę jestem - powiedziała. - Nie byłam pewna, jak zareagujesz, gdy to powiem, więc wołałam milczeć. Jestem pewna, że ten, który posłał cię za Taylorem myślał, że oni wiedzą.

- O czym ty mówisz?

- Dlaczego ty? Dlaczego wyrwano cię z twojego azyłu emeryta, żebyś ścigał Taylora?

- Bo Newcomb wiedział, jak bardzo pragnę widzieć go w celi śmierci.

- Dokładnie. Byli gotowi poświęcić mnie, aby tylko pograżyć Chastaina i Taylora. Posłali za tobą człowieka, żeby zajął się mną, lecz prawdopodobnie sądzili, że jeśli dojdiesz, o co chodzi, bez żadnych oporów pozwolisz im mnie zabić, aby mogli wreszcie umoczyć Chastaina.

- To obłąd. Nigdy bym nie...

- Na pewno? - wpadła mu w słowo. - Czy pamiętasz, co odpowiedziałeś, kiedy pytałam, co byś zrobił, aby Chastain został skazany?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Oboje pamiętali natychmiastową odpowiedź. Wszystko.

- Naprawdę uważasz, że mógłbym cię zabić? Odwróciła głowę.

- Albo coś gorszego.

- Co może być gorsze?

- Mogłeś zawieźć mnie do Nowego Jorku. Popatrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Z trudnością ukryła rozpaczliwy ton w swoim głosie.

- Wiesz, dlaczego nie mogę tam wrócić, prawda? Jeżeli byś dostawił mnie do sądu, to nawet gdyby nie udało im się zabić mnie, to on pozostałby na wolności.

Teraz zrozumiał.

- Ty też chcesz, żeby został skazany.

- On jest mordercą.

- Nie zabił ciebie.

- Ale bardzo chciał. Był zamiar i wykonanie.

- Jednak żyjesz.

- Za to mój brat nie żyje. I Allie Freeman. I Jed. Ilu jeszcze ludzi musi umrzeć, zanim zostanie skazany za cokolwiek?

Widziała, że nie wie, co odpowiedzieć. Musiał zadawać sobie to pytanie po śmierci Jeda.

- Zastrzelenie mnie przez Chastaina było najlepszym wyjściem, jakie mogło się przydarzyć - ciągnęła.

- Nie potrafiłam ocalić Jimmy'ego ani doprowadzić mordercy na ławę oskarżonych. Ale mogłam poprzysiąc sobie, że Chastain zapłaci za to, co zrobił. A jedynym sposobem doprowadzenia do tego była moja śmierć. Jeżeli nie mogą skazać go za zabicie Jimmy'ego, niech przynajmniej skażą go za mnie. To upiorna ironia. I niestety także sprawiedliwość.

Ross chwycił ją za ramiona.

- Czy ty słyszysz, co mówisz? Chyba nie zamierzasz uciekać do końca swojego życia?

- A mam inne wyjście, Ross? Mam zadekować się w głuszy i tam ukrywać się przed światem? Sądzisz, że tak byłoby lepiej?

Ugryzła się w język, lecz słowa już padły. Ross powoli rozluźnił chwyt i odstepił od niej.

- Masz rację. Nie mogę cię osądzać.

- Przepraszam.

- Nie musisz. Podjęłaś decyzję. Lecz skoro tak czujesz, nie rozumiem, dlaczego nie pozwoliłaś, aby cię po prostu wykończyli?

- Bo chcę usłyszeć, że został skazany na śmierć - powiedziała.
- Chcę doczekać chwili, kiedy otworzę gazetę i przeczytam, że Chastain wreszcie ma to, na co zasłużył. Chcę być żywa, kiedy zostanie skazany i wyląduje w więzieniu, żebym mogła wyobrazić sobie, co czuje. I nie wystarczy mi, że pewnie trafi do piekła. Chcę wiedzieć, że na pewno tam jest. Chcę wiedzieć, że cierpi tak bardzo, jak cierpiały jego ofiary. Wiem, to mało szlachetne. Nie ma we mnie chęci przebaczenia, wiem. Matka pewnie wstydziłaby się za mnie i tak samo Jimmy. Ale pragnienie zemsty to jedyne, co mi pozostało. Tylko oczekiwanie na dzień, w którym dokona się sprawiedliwość jest w stanie każdego ranka wyciągnąć mnie z łóżka i dać siły do dalszej ucieczki. To trzyma mnie przy życiu.

Bojowo zadarła podbródek i trzymała głowę wysoko, poddając się osądowi Rossa. Lecz w jej oczach zakręciły się łzy - łzy gniewu i frustracji. Nie otarła ich, nie chciała ich zauważyć. Za to widziała, jak na nie zareagował. W jego twarzy był smutek i niemal litość.

- I dopuszczasz możliwość, że dla pograżenia Chastaina dałabyś się nawet zabić ginom, aby nie mógł cię wykorzystać do swojej obrony?

To sprawiło, że odwróciła wzrok.

- Nie wiem.

Znów był przy niej; znów chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Teraz kłamiesz!

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Masz rację, kłamię. I nie sędzę, aby odpowiedź ci się podobała. Palce Rossa zacisnęły się na jej ramieniu.

- Jesteś gotowa umrzeć, aby Chastain został skazany?

- Powiedziałam, że gotowa jestem zrobić wszystko, aby zobaczyć, że ma to, na co zasłużył, tak jak ty... wszystko! Tylko że ja naprawdę tak uważam.

- Nie.

Zamrugła bezradnie. Te słowa i ich żarliwy ton kompletnie do niego nie pasowały.

- Dlaczego mówisz: nie?

- Bo tak uważam. Nie mógłbym cię zabić tylko dlatego, iż chcę, żeby został skazany. Nie pozwolę, żebyś poświęciła się dla sprawy.

- Nie powiedziałam, że obstaję przy tej opcji.

- To nie jest żadna opcja. Wymyślmy inne wyjście.

- Sądziysz, że nie próbowałam? Nic innego nie robię od roku. Jeśli masz inne pomysły, zamieniam się w słuch.

- Nie mam. Ale będę miał.

- Dlaczego cię to tak obchodzi? Czemu po prostu nie pozwolisz mi odejść i nie zapomnisz o całej sprawie? Przecież Taylor już nie żyje. W jego głosie, ani w spojrzeniu, którym ją obrzucił, nie było nic z twardości. Znów poczuła, że targają nią sprzeczne uczucia. Ciało ogarnął bezwład. Ross ujął jej twarz w swoje dłonie i potarł kciukiem policzek. Dłonie miał szorstkie, lecz

dotyk był nadspodziewanie łagodny. Poddawała mu się i na moment przymknęła oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że myślałaś, iż mogę cię zabić - powiedział chrapliwym głosem.

- Nie chciałam tak myśleć - odszepnęła. - Nawet nie wiesz, jak bardzo nie chciałam. Obwiodł opuszką kciuka zarys jej kości policzkowej, intensywnie patrząc jej w oczy.

- Chyba wiem - powiedział cicho.

Nie mogła się powstrzymać, by nie patrzeć na jego usta. Zbyt dobrze pamiętała, jak smakował pocałunek wczorajszej nocy; tak naprawdę ciągle o nim myślała. Pragnęła znów poczuć ten smak. Pragnienie zaczęło pulsować jej w żyłach. W życiu nie pragnęła czegoś tak bardzo. Ross, jakby czytał w jej myślach, zniżył usta ku jej ustom.

Tym razem pocałunek był subtelny. Wargi mężczyzny pieściły ją delikatnymi skubnięciami. Przymknęła oczy i przylgnęła do niego. Ich usta złączyły się, a potem znów rozdzieliły, pozostawiając rozkoszny niedosyt. I jeszcze raz, szybciej i bardziej zachłannie. I znów. Pomieszanie nęcących smaków zwiększało pragnienie. Każde desperackie muśnięcie prowadziło do następnego; każde następne było szybsze, dłuższe, aż wreszcie ich wargi już na dłużej pozostały złączone. Ross przyparł ją do blatu, unieruchamiając jej ciało swoim. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągając go do siebie. Chciała poczuć go całą sobą, tęskniła za jego dotknięciem. Na moment odwrócił od niej twarz; oddech miał płytki i nierówny.

- To pewnie błąd.

Jedynym błędem było to, iż przerwał pocałunek.

- Z drugiej strony popełniłem ich tyle, że jeszcze jeden nie robi różnicy.

Stała na palcach i skubnęła jego dolną wargę. Już się nie wahał. Ich usta złączyły się w miażdżącym pocałunku. Cała reszta - ból, strach, wina i gniew, które towarzyszyły im od tak dawna - zbladła i odpłynęła. Zawładnęła ją potężna siła, która zmiotła każdą inną świadomą myśl. Nie zauważyła, kiedy znaleźli się w sypialni. Może ją tam wniósł, otoczywszy silnymi ramionami, aż frunęła stopami nad podłogą. A może tak bardzo skupiła się na zdarciu z niego koszuli aż trzaskały guziki, aby tylko jak najszybciej nacieszyć się dotknięciem rzeźbionych mięśni i płaskiego brzucha, że wszystko inne stało się nieważne. Jeszcze przed sekundą byli w kuchni, a już kładł ją na łóżku. Uklękła na pościeli. Ross stanął przed nią półnagi. Wyciągnęła rękę i położyła mu drżącą dłoń na piersi, na dziko bijącym sercu. Włosy miał tam nadspodziewanie miękkie, lecz mięśnie pod nimi były twarde i pięknie wyrzeźbione. Delikatnie pieściła ciało Rossa, napawając się jego dotykiem. Kiedy z cichym pomrukiem sięgnął pod jej bluzkę, nagle znieruchomiała. Zaskoczony, cofnął rękę. Nie była w stanie popatrzeć mu w oczy.

- Co się stało? - zapytał.

Nie potrafiła znaleźć słów. Nie umiała wytłumaczyć swojej nagłej niepewności. Nigdy nie była próżna, nigdy zbyt nie przejmowała się swoim wyglądem, nie zapewniała sobie luksusu. Tym razem było inaczej. Teraz był on. Dlatego ręce drżały jej, kiedy chwyciła wycięcie bawełnianej koszulki przy szyi. Wzięła głęboki oddech i ściągnęła ją przez głowę. Szybko odpięła biustonosz i cisnęła go na materac.

Czekała. Nadal nie mogła spojrzeć mu w oczy. Nie chciała widzieć tego, czego się tam spodziewała - litości, zdegustowania. Albo, co gorsza, żadnych uczuć, bo jak zwykle zamaskował je pokerową miną.

Nic nie mówił. Jej oczekiwanie narastało z każdą mijającą sekundą, aż wreszcie poczuła ulotne muśnięcie, tak nieznaczne, iż początkowo nie zauważyła, że to nie powiew przeciągu musnął jej piersi.

Niepewną dłonią badał sieć blizn na jej skórze. Lekarz z konieczności musiał zlekceważyć względy estetyczne, aby poradzić sobie z samą raną; w dodatku nie dysponował szpitalną salą operacyjną tylko skromnym wyposażeniem swojego gabinetu. Zapewne byłby w stanie poprawić więcej po zagojeniu się blizn, gdyby nie został zamordowany zaraz po Pete'em. Miała szczęście, że pomógł jej przynajmniej na tyle. Wiedziała, że nigdy tego nie zapomni - zwłaszcza z taką pamiątką na ciele. Ross sunął palcami wzdłuż blizn. Zatrzymał się chwilę na wyrwie pod lewą piersią, gdzie brakowało kawałka ciała, i już tam pozostał.

Nie ruszał się, więc z wolna uniosła głowę, spinając się na myśl, co zobaczy w jego twarzy. Zaskoczył ją całkowicie.

Żadnej odrazy, żadnego współczucia. Tylko gniew, który ściągnął mu rysy. Skrzywione, zaciśnięte wargi.

- Zabiję go za to, co ci zrobił. Zabiję go dla ciebie. Wszystkie obawy wyparowały jak rosa w słońcu. Nawet lekko się uśmiechnęła.

- Nie, nie zrobisz tego. - Ale dzięki, dodała w myślach. - Za bardzo będziesz zaraz zajęty.

Powędrował spojrzeniem do jej twarzy.

- Serio?

Odchyliła się w tył i oparła na łokciach, uśmiechając się do niego.

- Tak sędzę.

Obserwowała, jak gniew w jego oczach rozmywa się w ciemnej mgiełce pożądania.

- Chyba masz rację.

- Może udowodnisz mi to?

Wszedł na łóżko i wsunął się na nią, wtulając twarz w kuszące wgłębienie między piersiami. Przyłgął ustami do blizn, obdarzając je delikatną pieśczością języka. Kurczowo nabrała powietrza, a potem westchnęła, gdy obwiodł językiem każdą półkulę piersi, całując i smakując. W tym czasie jego kciuki zataczały szybkie kręgi, drażniąc sutki, aż w końcu przejął je język i na zmianę szybko obiegał jeden i drugi, zanim wessał każdy po kolei w usta, nabrzmiałe i twarde.

Wczepiła mu palce we włosy, szarpiąc je, gdy ssał ją, wzbudzając rozkoszne dreszcze, falami przenikające jej ciało. Ale ciągle było jej mało i mało.

- Chcę cię dotknąć.

- Więc w czym problem? - odparł, prawie nie odrywając ust od jej skóry.

Zsunęła dłoń w dół jego brzucha i przykryła nią twardość, nabrzmiewającą między udami. Ross z głośnym jękiem sprężył się pod jej dotknięciem. Pocierała wzniesienie, naprężające wytarty materiał dżinsów. Miał wrażenie, że za chwilę eksploduje.

Ross z pomrukiem ściągnął dżinsy i zrzucił je kopnięciem. Jego dłoń natychmiast znalazła się między jej udami. Elektryzujący dreszcz targnął jej ciałem. Ross wsunął palec w wilgotną szczelinę, testując jej gotowość. Jęknęła głośno i chwyciła go kurczowo za barki, wbijając paznokcie w skórę.

Była tak podniecona wszystkim, co robił jej swoimi ustami i dłońmi, targana burzą odczuć i wrażeń, iż prawie nie odnotowała, że rozwiera kolanem jej uda i wsuwa się pomiędzy nie. Usłyszała jeszcze cichy dźwięk rozdzieranego opakowania i w chwilę później Ross już był na niej, opierając się na zdrowym ramieniu, całując jej obrzmiałe usta. Był taki wielki, że wręcz miała wrażenie, że jest wszędzie.

- Gotowa? - wymamrotał, nie odejmując ust od jej warg.

- Tak - wyjąkała z trudem.

Wsunął się w nią mocnym, płynnym ruchem. Był duży, to już wiedziała, ale teraz, gdy miała go w sobie, wydawał się jeszcze większy. Błogie westchnienie wydarło się z jej ust. Wyrównał rytm i zanim spostrzegła się, co robi, dołączyła do niego, zgrywając swoje ruchy z jego ruchami. Poruszała biodrami i wyginała ku niemu ciało, obejmując go mocno, gdy zbliżali się ku naturalnemu zakończeniu.

Błogość narastała powoli, rozchodząc się od dołu, od styku ich ciał, aż intensywność doznań osiągnęła takie ciśnienie, iż czuła, że zaraz wybuchnie. W chwilę potem rozkosz eksplodowała w jednym płynnym wylewie, który przetoczył się przez całe jej ciało falami przyjemności, wypełniając ją od czubka głowy do stóp. Poczowała, że Ross znieruchomiał w niej na moment, a potem zadygotał potężnie i w finale zgłębiał ją raz po raz, aż do kompletnego wyczerpania. Kiedy burza ucichła, zsunął się z niej, ale nie puścił tylko przyciągnął jej głowę do swojej piersi, otaczając ją ramieniem. Oboje ociekali potem, co powinno być nieprzyjemne - cała ta lepka skóra - ale nie było.

Leciutko pocałował ją w szyję. Przez chwilę leżeli w ciszy, wyrównując oddechy, które mieszały się ze sobą. Czuła bicie jego serca przy swoim; nasłuchiwała, jak ich rytm zwalnia w jednokowym tempie.

- Nadal myślisz, że to był błąd? - zapytała. Poczwała, że się uśmiecha.

- Możliwe. Ale nie powiem, że tego żałuję.

- To może chciałbyś go powtórzyć?

Łóżko zadrżało od jego śmiechu i po raz pierwszy od roku na twarzy Kathleen zagościł promienny, szczęśliwy uśmiech, gdy Ross ochoczo przewrócił ją na plecy i znów zaczął całować.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dotyk matczynej dłoni na jej policzku był miękki i zaledwie musnął jej skórę, choć sama dłoń była szorstka i pokryta odciskami po latach szorowania podłóg i sprzątania z pomocą najbardziej zjadliwych środków czystości. Kathleen poddała się głaskaniu, pragnąc więcej, lecz dłoń już opadła, jakby matka nie miała siły utrzymać jej w górze.

- Muszę na momencik przymknąć oczy - powiedziała, tłumiąc ziewnięcie. Opadła na fotel i omiotła zmęczonym spojrzeniem niewielki salon.

- Jadłaś coś?

- Tak. - Pytanie było znajome i odpowiedź niezmiennie ta sama.

Matka zawsze przychodziła po pracy kompletnie wyczerpana. Kathleen zawsze starała się coś ugotować, aby oszczędzić jej dodatkowej roboty.

Powiesiła płaszcz mamy w przedpokoju i schyliła się, żeby zdjąć jej buty. Maura na wpół leżała w fotelu z głową wspartą o zagłówek.

- Dobrze. Bardzo dobrze - mruknęła. - A Jimmy?

- Też jadł. - Nakarmiła go zaraz po przyprowadzeniu od opiekunki.

- Dzielna dziewczynka.

Drugi but upadł na podłogę tuż obok fotela. Kathleen zerknęła w górę i zobaczyła, że matka patrzy na nią; widok trzynastoletniej córki wywołał na jej twarzy smutek.

- Taka mała i taka dorosła. Zdrzemnę się chwilkę, dobrze? - powiedziała, choć obie wiedziały, że pewnie prześpi całą noc przed telewizorem. - Zajmiesz się Jimmym, prawda?

Kathleen wstała, wiedząc, że odpowiedź może być tylko jedna.

- Tak.

Oczy Maury zamknęły się same, zanim ją usłyszała. Zасыpiając wymamrotała jeszcze głosem, w którym zabrzmiała pewność.

- Wiem, że się nim zajmiesz. Jesteś dobrą dziewczynką. Zaopekujesz się braciszkiem...

- Kathleen?

Otworzyła oczy i lekko uniosła głowę. Ross zaglądał jej w twarz z zatroskaną miną. W pokoju było ciemno. Był środek nocy.

- Miałaś zły sen?

Pokręciła przecząco głową i wtuliła twarz w jego pierś.

- Nie. Po prostu sen.

Poczuła jego dłonie we włosach; palce łagodnie masowały jej skórę głowy. Zastanawiała się, czy robi to tylko mimowolnie.

Po długiej chwili powiedziała cicho:

- Opowiedz mi o swojej chatce. Jest fajna? Ziewnął, zanim odpowiedział.

- Niezbyt. Tylko jedna izba. Odcięta od świata. Wokół pustka przez całe mile. Jest tam bardzo spokojnie.

- Czy leży w lasach?

- W górach.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła Kathleen obraz tak żywy, jakby widziała go na własne oczy. Plamy słońca na bujnym gąszczu zieleni, ciągnącej się we wszystkich kierunkach. Ośnieżone szczyty wznoszące się w oddali. A pośrodku mały domek z belek i dym unoszący się z komina prosto w błękitne niebo.
- To musi być raj.

- Jest...

- Chciałabym kiedyś ją zobaczyć. Już jej nie słyszał. Zasnął.

Ucieszyło ją to. Nie chciała, aby myślał, że jest wobec niej zobowiązany; nie chciała, aby czynił obietnice, których ani nie oczekiwała, ani nie wierzyła, że ich dotrzyma. Zbyt długo już żyła z dnia na dzień, nie wiedząc, co przyniesie jej jutro, aby liczyć na cokolwiek w dalszej przyszłości. Dzisiaj była po prostu szczęśliwa, że jest tu, przy nim. Zamknęła oczy i wtuliła się mocno w objęcia mężczyzny. Automatycznym, niemal zaborczym gestem przygarnął ją do siebie. Usiłowała nie myśleć więcej o tej bliskości. Zrobiłby pewnie to samo z poduszką, gdyby miał ją pod ręką, zasypiając. Nic nie znaczący gest.

Zasnęła, nasłuchując bicia jego serca i śniła o niebie, które miało postać górskiej chaty w pustce, gdzie przez setki mil nie można było spotkać człowieka.

Brancato prawie całą noc gapił się w telewizor, nie wiedząc, co ogląda. Nie mógł zasnąć. Nie mógł się niczym zająć, dopóki Ross i ta kobieta pozostawali wolni. Pozostało mu tylko czekać.

Telefon zadzwonił wreszcie o szóstej rano. Wstał i zanim przyjął, sięgnął do wieszaka po płaszcz.

- Czemu tak długo?

- Ross mieszka w samym środku pieprzonych gór. Wiesz, ile czasu zajęło mi trafienie do tego miejsca po nocy?

- I co tam znalazłeś?

- Nazwisko. I adres, który Ross zanotował. Ktoś, kogo zna w Filadelfii.

- Dawaj!

Brancato zapisał informację na strzępku papieru wydartym z gazety. Złożył go wpół i wcisnął do kieszeni płaszcza. Wybiegł z domu, po drodze sprawdzając broń. Najwyższy czas z tym skończyć. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej.

Ross obserwował śpiącą Kathleen, tak odprężoną i spokojną, że wzdrygał się ją budzić. Fakt, iż patrzył na nią w ten sposób - na złagodniałe rysy jej twarzy, na nikły uśmiech wyginający linię ust - wywoływał ucisk w piersi. Spała skulona u jego boku, trzymając go za szyję. Emanowało z niej takie zaufanie, że nie mógł oderwać oczu.

W pewnym momencie wyprostowała się i przeciągnęła, wydając z siebie cichy, zadowolony pomruk. Była to pierwsza oznaka, że zaczyna się budzić. Zmysłowo otarła się mocniej o ciało Rossa i za moment był już gotowy. Do licha, był już prawie gotowy w chwili, kiedy obudził się i zobaczył ją przy sobie, w chmurze włosów rozrzuconych na jego piersi. Jest stary, do cholery, za stary dla niej, ale ta kobieta potrafi sprawić, że reaguje jakby znów był młody.

Tak zaabsorbowała go reakcja własnego ciała, że nie zauważył, kiedy otworzyła oczy i wpatrzyła się w niego.

- Dzień dobry - powiedziała cicho, niskim głosem, który świadczył, że jeszcze nie całkiem się obudziła.

- Dzień dobry.

Przełożyła smukłą nogę pomiędzy jego nogi, tuląc się jeszcze ciaśniej i powiększając zamęt w umyśle Rossa. Pragnął tylko jednego - znów smakować ustami jej obrzmiałe wargi, zapominając o całym świecie. Ale nie mógł tego zrobić. Nie można zapomnieć, że poza czterema ścianami ich chwilowego azylu są ludzie, którzy me ustają w wysiłkach, aby dopaść ją i zabić. Z nienawiścią pomyślał o tym, co musi jej teraz powiedzieć. Trącił ją delikatnie, kiedy ponownie przytknęła oczy.

- Musimy jechać dalej. Uśmiechnęła się na wpół sennie.

- Dokąd?

- Z powrotem do Nowego Jorku.

To ją obudziło, jak się spodziewał. Szeroko otworzyła oczy. Jednym szybkim, płynnym ruchem podciągnęła prześcieradło do piersi i odsunęła się od niego. Poczul ukłucie żalu, kiedy jej wszystkie cuda znikły z jego oczu. W jej spojrzeniu widoczny był gniew i poczucie zdrady.

- Myślałam, że rozumiałeś - szepnęła drżącym głosem. - Nie mogę tam wrócić.

- Rozumiem, że nie możesz wiecznie uciekać. Wyzywająco podniosła podbródek.

- Mogę, jeśli tak będzie trzeba.

- A jeśli nie będzie trzeba? Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Co masz na myśli?

- Co się stało z płytą?

- Z jaką płytą?

- Mówiłaś, że tamtego wieczoru zostałam do późna w siedzibie Chastaina, bo kopiałaś znalezione informacje. Na płytę, prawda?

- Owszem - przyznała. W jej głosie pojawiła się natychmiastowa czujność, jak gdyby znów obawiała się powiedzieć zbyt wiele.

- Co więc stało się z płytą? Zabrał ją Chastain? Zmarszczyła brwi.

- Miałam ją do momentu, w którym do mnie strzelił. Owszem, zabrał wydruki, które trzymałam w torbie, ale płytę miałam w tylnej kieszeni dżinsów. Nawet nie wiem, co się z nimi stało. Chyba wyrzucił je Pete razem z resztą moich rzeczy.

- Należy przypuszczać, że najpierw przejrzał kieszenie, nie uważasz? Mógł znaleźć płytę?

- Wówczas wspomniałby mi o tym.

- A jeśli nie zdawał sobie sprawy, jaka jest ważna? Pokręciła głową.

- To bezsensowna dyskusja.

- Możliwe. Jest jednak szansa, że płyta istnieje i może być wykorzystana przeciwko Chastainowi, a wtedy będziesz wreszcie miała spokój.

- Na co ty liczysz? - zapytała kpiąco.

Miała rację. To było śmieszne. Gdyby ktoś przyszedł do niego z taką wariacką teorią, zaśmiałyby mu się w nos.

Lecz w tym momencie musiał brać pod uwagę wszystkie opcje, nawet te najbardziej nieprawdopodobne. - Jest szansa, choć nikła. Nie spodobał mu się cień smutku w jej oczach.

- Ja jej nie widzę. Jeżeli wrócę, wystawię się na odstrzał i ktoś mnie dopadnie, będzie po sprawie. - Pokręciła głową. - Bardzo mi przykro, Ross. - Wstała z łóżka, owinięta prześcieradłem. - Idę pod prysznic. Wstał i poszedł za nią.

- Jeżeli nie to, wymyślimy coś innego, ale tak czy owak musisz wrócić do Nowego Jorku i stawić czoło sytuacji. Musi być jakieś wyjście, ktoś musi uwierzyć w naszą historię, aby prawda mogła wyjść na jaw. Odnajdziemy tę płytę.

Aż się skuliła na te słowa, jakby fizycznie zadał jej ból.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym w to uwierzyć. Ale nie będę ryzykować.

Nie mógł pozwolić, by rozmowa wygasła; musiał wytłumaczyć jej, że nagła konieczność pcha go do działania.

- Czy naprawdę o takim życiu marzysz, Kathleen? O uciekaniu do końca życia?

- A jaka jest alternatywa? Nawet jeśli wrócę i powiem prawdę, będę żyła tylko do czasu skazania Chastaina. W najlepszym przypadku oskarżą go o usiłowanie zabójstwa i wiesz, że w momencie, w którym wyjdzie z sądu, naśle na mnie któregoś ze swoich zbirów. Do kogo, twoim zdaniem, miałabym się zwrócić? Do policji, która teraz też dybie na moje życie? W każdym przypadku pozostaje mi tylko ucieczka.

- Możesz powiedzieć im o Allie Freeman, aby mogli skazać go za morderstwo.

- Samo moje zeznanie nie wystarczy. Wiem tyle, ile dowiedziałam się od Pete'a. Zresztą, jeżeli mają nagranie Chastaina, strzelającego do mnie, a ja ciągle żyję, nie ma szans, aby skazali go za jakiegokolwiek morderstwo.

- Cholera, musi być jakieś wyjście!

- Jest - odparła ze spokojem. - Moja dalsza ucieczka. Wtedy Chastain pójdzie siedzieć za morderstwo. A muszę walczyć o życie.

- Albo zostać cholerną męczennicą.

Miał nadzieję, że zareaguje, ale wzruszyła tylko ramionami.

- Lepsze to, niż umierać za nic. Wiesz, dlaczego przestałam mieć opory przed opowiedzeniem ci historii mojego życia po tym, jak zorientowałam się, że nie wiesz kim jestem? Bo gdybyś wiedział, nie zdołałbyś w żaden sposób poskładać całości do kupy. Czytałam artykuły w gazetach po moim „zabójstwie”. Żaden z nich nie opisał tej historii. W żadnym nie wspomniano o moim życiu, chyba że miało jakiś styk z Chastainem. W żadnym nie napisano o Jimmym. Nikt nie połączył jego śmierci z moją. Nie było nawet nekrologu! Za to przeczytałam wszystko o Chastamie. Sam więc widzisz, że żywa nie zdziałam wiele. A jako martwa mogę go pograżyć. Chciał protestować, lecz przerwała mu.

- Ja nie użalam się nad sobą. Nie szukam współczucia. Jestem realistką. Robię to, co muszę robić. Czy żałuję, że tak jest? Jasne. Ale nie ma innego wyjścia. I dopóki nie wymyślisz czegoś, co będę mogła zaakceptować, nie obciążonego niebezpiecznym ryzykiem, musi być, jak jest.

Podeszła do drzwi.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - rzucił za nią. Ramiona jej opadły. Było w tej pozie coś tak rozpaczliwego, że Ross poczuł się wstrząśnięty.

- Przykro mi - odpowiedziała. - Mówiłam ci wiele razy. Nikt mi nie pomoże.

Ogródek z tyłu domu był kwadratowym trawnikiem wielkości pocztowego znaczka, na którym ledwie mieścił się grill i chuderlawe drzewo. Mimo to widok był całkiem miły. Kathleen stała przy kuchennym oknie z filizanką kawy, napawając się spokojem chwili, szelestem liści poruszanych łagodnym wiatrem i blaskiem porannego słońca.

Żałowała, że nie mogła zaznać choć małej części tego spokoju. Konieczność ucieczki była zbyt nagła; sam fakt, że stała tutaj, nic nie robiąc, kiedy powinna już powiększyć o całe mile dystans pomiędzy nią a jej prześladowcami, budził w niej niepokój. Ross wiedział o tym, dlatego idąc do łazienki, zabrał ze sobą jej torbę.

Była na niego wściekła, choć w głębi duszy nie była pewna, czy naprawdę chciałaby go zostawić i uciec. Pamięć tej nocy przyprawiała ją o uderzenia gorąca. Boże, nawet na myśl o nim czuła bolesny skurcz w żołądku. Pragnęła go, chciała wrócić do bliskości, której wspólnie doświadczyli. Ale nieuchronnie wróciły wcześniejsze odczucia. Niepewność. Dręcząca świadomość, że mimo tych przeżyć dwoje ludzi nie potrafi się ze sobą porozumieć.

Kiedy się obudziła, była w stanie cudownej harmonii. Była szczęśliwa. Ross zburzył to, upierając się przy swoich szalonych pomysłach. Kusił magicznymi rozwiązaniami, w które bardziej niż kiedykolwiek pragnęła uwierzyć, ale wiedziała, że nie zdoła. A byłoby tak łatwo... Usłyszała za plecami chrobot otwieranych

drzwi garażu. Pewnie Josh wrócił ze szpitala. Szybko przybrała na twarz maskujący uśmiech i odwróciła się, żeby go powitać.

Uśmiech zamarł jej na wargach. Znieruchomiała.

To nie był Josh. W drzwiach kuchni stał obcy mężczyzna. Triumf i wrogość błyszczały w szeroko rozstawionych oczach. Ostre rysy wykrzywiały szyderczy grymas; usta były zaciśnięte w wąską linię. Bez problemu rozpoznała w nim prześladowcę z motelowego parkingu. Z równą ostrością dostrzegła pistolet w jego dłoni. Gestem wskazał blat.

- Odstaw kubek.

Posłuchała; nie miała innego wyjścia. Zrobiła to powoli, patrząc, jak zabójca czujnie zerka za siebie.

- Gdzie Ross?

Alarmujący skurcz przełamał jej odrętwienie. Ross. Nie może pozwolić, by skrzywdził Rossa!

- Wyjechał - skłamała gładko. Szyderczy grymas pogłębił się.

- Sprytnie. Może poczekamy aż wróci?

- Po co? Przecież to mnie szukałeś.

- Z początku tak... teraz chcę was obojga. Ten drań narobił mi wystarczająco dużo kłopotów. Odpowie za to.

Palec drgnął mu na cynglu i wiedziała, że chce zabić Rossa. Serce zaczęło jej walić dziko na myśl, że Ross zaraz wpadnie w pułapkę. Musi jakoś odwrócić uwagę mordercy. Skrzyżowała ramiona na piersi i popatrzyła twardo na mężczyznę.

- Dla kogo pracujesz? Dla Chastaina? Skrzywił się z pogardą.

- Zwariowałaś? - Zdziwiła się, że splunął po tych słowach. - Tego bękarta dorwałbym jeszcze chętniej.

- W takim razie jesteś zdegenerowanym gliną. Inny głos odezwał się, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Funkcjonariusz Brancato nie jest już policjantem i nigdy nie zasługiwał na to miano.

Zabójca obejrzał się gwałtownie i zobaczył Rossa stojącego w drzwiach, z włosami jeszcze mokrymi po prysznicu. Szybko ustawił się tak, by mieć ich oboje na muszce i skierował na Rossa spojrzenie spod zmrużonych powiek

Ross stał nieruchomo, lecz wyczuła w nim czujne napięcie, jakby czekał na odpowiedni moment, by skoczyć. Mężczyzna również musiał to wyczuć, bo skierował na niego wylot lufy. Zrozumiała, że celowo ujawnił się, aby odwrócić od niej uwagę napastnika. Jej napięcie spotęgowało się momentalnie.

- Nie tak dawno wyczytałem w gazetach bardzo interesujące wiadomości na twój temat - rzekł Ross swobodnym tonem. - Oskarżenia o brutalność policji popsują ci krew, co?

- Te skurwysyny dostaną za swoje. Tak jak Chastain.

- A panna Mulronej? Czy też dostała za swoje?

- Po tym, co narobiła? - Rzucił jej tak nienawistne spojrzenie, że odruchowo cofnęła się o krok. - Miałaś szansę umrzeć szybko, ale nie skorzystałaś i zapewniam cię, że już ją straciłaś - dodał lodowato.

Ta chwila rozproszenia uwagi miała go dużo kosztować. Ross rzucił się na Brancato, wbił mu łokieć w żołądek i wyszarpnął broń, zanim zabójca zdążył zorientować się, co się stało. Teraz

stał nad nim, a zimna furia emanowała z całej jego napiętej postaci.

- Masz szczęście, bo gdyby nie obecność tej damy, już byś nie żył - wycedził.

Brancato, trzymając się za brzuch, z nienawiścią wyszczerzył zęby.

- Cholerny Newcomb nie uprzedził mnie, że potrafisz być takim wrzodem na dupie. Przez twarz Rossa przemknął cień bólu i niemal smutku.

- To Newcomb cię tu przysłał? - spytał dziwnym głosem.

Zanim zdążyła krzyknąć ostrzegawczo, w ręku Brancato błysnął nóż, który wyciągnął zza pleców. W następnym ułamku sekundy rzucił się na Rossa. Ostrze cięło po piersi, zostawiając na koszuli krwawy zygzak. Kathleen zdusiła krzyk.

Napastnik, najwyraźniej licząc, że Ross wypuści broń, sięgnął po nią. Znowu błysnął nóż, celując w uzbrojone ramię. Ross błyskawicznym ruchem chwycił go za przegub i wykręcił. Nóż wypadł z dłoni Brancato i trzasnął o podłogę.

Teraz walczyli o pistolet. Cztery ręce szarpały się desperacko, orząc ciało paznokciami. Huknął strzał. Kathleen stała jak sparaliżowana, chłonąc scenę rozgrywającą się przed jej oczami. Nikt nie drgnął, ani mężczyźni, ani czas, który nagle stanął w miejscu. A potem Brancato zaczął się śmiać. Groza sparaliżowała ją na nowo, a serce zamarło w piersi.

Nie.

W następnej sekundzie zabójca zachwiał się w kierunku Rossa i z wolna osunął, aż kolana dotknęły podłogi. Ross próbował

podtrzymać go, ale zaraz puścił i Brancato upadł na kafelkową podłogę kuchni.

W samym środku jego piersi ziała dziura, z której tryskała krew, mnóstwo krwi. Widok był straszny. Ranny przez cały czas się śmiał; potężne salwy śmiechu odbijały się echem w pomieszczeniu, a potem jęły słabnąć stopniowo, coraz bardziej przerywane i spazmatyczne. Nie wiedziała, co było gorsze - ten upiorny śmiech czy agonია, która wkrótce nastąpiła. Umierający zaczął krztusić się krwią, wypływając wielkie, czarne skrzepy.

Ale nawet wtedy nie oderwał spojrzenia od Rossa, który stał nad nim z twarzą nieruchomą jak maska.

- Nie uciekniesz, draniu - wycharczał. - Nie uda ci się. Oni ci nie popuszczą.

Znów się zaśmiał. Krew połała mu się strumieniem spomiędzy zębów, upodabiając go do upiора z horroru. Koszmarny uśmiech trwał, aż uszło z niego życie i dopiero wtedy zgasł jak zdmuchnięta świeca.

Zaległo milczenie i żadne z nich nie ruszało się przez chwilę, która trwała jak wieczność. Wreszcie Kathleen odzyskała zdolność ruchu. Starając się nie patrzeć na zwłoki na podłodze, skoncentrowała się wyłącznie na krwawej szramie na piersi Rossa.

Podeszła do niego. Nadal stał nieruchomo. Delikatnie położyła mu dłoń na prawej ręce, w której nadal tkwiła broń.

- Wszystko w porządku?

Z wolna uniół głowę i ogarnął ją pustym spojrzeniem. Cofnęła rękę.

- Oni nie odpuszczają, wiesz o tym - powiedział. - Dopóki nie znajdą cię albo nie zabiją. Na twoim tropie będą pojawiali się coraz to nowi mordercy, tacy jak ten.

- Wiem.

- I tak chcesz spędzić całą resztę życia? Uciekając przed takimi typami? Dźwięk, który wydobył się z jej ściśniętego gardła był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Nie.

- Czy zgadzasz się, abym ci pomógł?

To było z jego strony nie fair, że zadawał takie pytanie teraz, kiedy koszmarny lęk, że zostanie zastrzelony, jeszcze krążył w jej żyłach i paraliżował myśli. Czowała jego zapach, czysty i tak bardzo męski, którego zmysłowe impulsy przenikały jej umysł, zaburzając procesy myślowe. Teraz marzyła tylko, aby rzucić się w jego ramiona i pozwolić, by znów przyciągnął ją do siebie. Nie mogła dać innej odpowiedzi.

- Tak.

Nie poruszył się nadal, ale nie uszło jej uwagi, że błysk ulgi złagodził na moment rysy jego twarzy. Powoli opuściła spojrzenie.

Tym razem nie musiała niczego dopowiadać. Komentarz wisiał w powietrzu, jakby wypowiedziała go głośno.

Pozwoli, aby przejął inicjatywę. Na razie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kathleen zmieniła pościel w pokoju gościnnym. Ross owinął w nią ciało.

Wczoraj wstawił ich samochód do garażu, więc nie musiał się martwić, że ktoś zobaczy, jak taszczą zwłoki Brancato do bagażnika. Nie chciał, aby zobaczył je Josh. Brat i tak już był zbyt zamieszany w tę sprawę. Ross nie chciał również, by w jego domu pojawiła się policja, zadająca niewygodne pytania. Przejrzał zawartość portfela Brancato, uważając, aby nie zostawić odcisków palców. Zabójca nie nosił obrączki. Oboje uznali, że nie ma rodziny, którą należałoby zawiadomić. Tyle tylko mogli dla niego zrobić, gdyż nie zasługiwał na więcej.

Ross wytarł mopem krew z podłogi, umył naczynia i powstawił wszystko na miejsce. Starannie wytarł nóż i pistolet Brancato, zatrzymując je dla siebie. Kiedy wyjechali z garażu, zostawili dom spokojny i czysty, tak jak go zastali.

Dopiero w głębi New Jersey Ross zjechał z autostrady międzystanowej. Przepuścili kilkanaście zjazdów, aż uznali, że kolejny prowadzi do drogi, która jest wystarczająco bezludna. Wkrótce się zatrzymali. Kathleen chciała wyjść z samochodu, ale Ross gestem nakazał jej, by została. Sam wytaszczył zwłoki z bagażnika i poniósł je między drzewa. Po paru minutach wrócił sam. Nie zapytała, co zrobił z ciałem. On również nie powiedział. Nie musiał.

Żadne z nich nie wypowiedziało słowa przez resztę drogi do Nowego Jorku. Bo czuli, że nie muszą. Kathleen nie miała poczucia, że wraca do domu, gdy jechali przez most brooklyński, za którym czekał na nich Reggie Harris, uprzedzony przez Rossa,

który zadzwonił do niego z Filadelfii, prosząc o niezbędne informacje. Obiecał, że zdobędzie je do czasu ich przybycia.

Patrzyła na mijane ulice z dziwnym poczuciem obcości. To nie był obszar, w którym dorastała, lecz jedynie zbiór budynków i ludzi na chodnikach, co najwyżej znajomy.

Nie czuła żadnej nostalgii. To miasto było jej domem w takim samym stopniu jak tyle innych miast, w których mieszkała przejściowo w ciągu ostatniego roku. Jedyne co odróżniało je od innych, było towarzyszące jej uczucie psychicznego dyskomfortu, które narastało w miarę, jak wjeżdżali głębiej w obszar jej dzielnicy. Dojmujące, szarpiące nerwy, wzmacniane ostrzegawczymi sygnałami instynktu. Nie powinna się tu znaleźć. Powinna być daleko stąd, jak najdalej. Przyjazd tutaj był błędem. Błędem, który popełniła świadomie z powodów, których nie bardzo miała ochotę dociekać. Reggie Harris mieszkał na drugim piętrze średniej klasy apartamentowca niedaleko Prospect Park, brooklyńskiej wersji Central Parku. Ross zaparkował o parę przecznic dalej i bocznymi uliczkami doszli na tyły budynku. Przejeżdżając przez miasto, zatrzymali się na chwilę, aby kupić kapelusze i ciemne okulary, które miały ich choć trochę zamaskować. Ross poszedł i sprawdził drogę, zanim dał jej znak, by weszła. Choć był środek dnia, nie zobaczyli nikogo, lecz Kathleen czuła się bardzo niekomfortowo na otwartej przestrzeni.

Ross uspokajającym gestem położył jej dłoń na karku.

- Wszystko w porządku? - szepnął tak, aby nikt inny go nie usłyszał.

- Tak - skłamała. - Załatwiał sprawę.

Reggie kazał im długo czekać pod drzwiami. Słyszeli stłumione przekleństwa, kiedy trząsał niezliczonymi zamkami i szcekał łańcuchami, otwierając je po kolei. Wreszcie ukazała się

blada twarz, zwieńczona strzechą tlenionych na blond włosów. Zaczerwienione oczy patrzyły na nich czujnie ze szpary w uchylonych drzwiach.

Spojrzenie powędrowało od Rossa do Kathleen i z powrotem. Podejrziwy wyraz złagodniał, choć nie do końca. Reggie otworzył drzwi do połowy i zaprosił ich gestem do środka.

- Nie wyrobię się z robotą, jeśli będziecie mnie napastować co pięć minut - poczęstował ich tekstem na powitanie.

Reszta osoby gospodarza była równie koścista i blada jak jego twarz. Zdawał się być płataniną rozlatanych członków, będących w bezustannym ruchu. Teraz zrozumiała, czemu ma takie trudności z otwieraniem rozlicznych zamków. Ręce trzęsły mu się okropnie. Zerknęła na Rossa. Pokręcił głową.

- Jest w porządku. Trochę nadpobudliwy.

Reggie uporał się w końcu ze wszystkimi zamkami. Ross szybko dokonał prezentacji.

- Kath, poznaj Reggie'ego Harrisa. Reggie, to jest Kathleen.

W odpowiedzi głowa za drzwiami podskoczyła jak w epileptycznym ataku.

- Ta martwa dziewczyna? Wspaniale!

Zanim zdążyła zareagować, odsunął się i wpuścił ich do zapuszczonego korytarza, wypełnionego po sufit półkami, zapchanymi częściami komputerowymi i innymi gratami, majaczącymi w mdłym świetle żarówki.

Salon, do którego ich wprowadził - jeśli tak można było określić to pomieszczenie - nie wyglądał wiele lepiej. Grube zasłony blokowały dostęp dziennego światła. Pokój wypełniała nienaturalna poświata komputerowych monitorów ustawionych na

blacie i blask halogenowych lamp nad nimi. Sztuczne światło raziło w oczy po półmroku korytarza. Z grubych, archaicznych słuchawek, rzuconych na biurko, dudniła głośna muzyka. Reggie z rozpadu klapnął na kręcony fotel i sięgnął po wydruk.

- Masz informacje, o które cię prosiłem? - zapytał Ross.

- Adres narzeczonej Crowleya, jak chciałeś.

- Masz zdjęcie?

- Za kogo mnie masz? - oburzył się haker, podsuwając mu kolejny wydruk z powiększoną fotografią z prawa jazdy.

- Świetnie. Czy Kathleen może tu zostać, kiedy pójde do tej kobiety?

Reggie otworzył oczy tak szeroko, jakby miały wyskoczyć mu z orbit. Najwyraźniej ten pomysł przeraził go równie bardzo jak Kathleen. Gotowa była się założyć o każdą sumę, że jest pierwszą kobietą, która przekroczyła drzwi tego mieszkania.

- Ona? Tutaj? Dlaczego?

- Nie możemy ryzykować, że ktoś zobaczy ją na ulicy. To miejsce jest chronione znacznie lepiej niż bankowy skarbiec.

Kathleen i Reggie wymienili przerażone spojrzenia.

- Nie masz innego adresu? Któregoś z twoich przyjaciół z pistoletem albo kogoś w tym stylu?

- Nikogo, komu mógłbym zaufać. Reggie skrzywił się.

- Więcej z tobą kłopotu niż jesteś wart, Ross. Mam nadzieję, że mi to zrekompensujesz?

- A czy kiedykolwiek zawiodłeś się na mnie? Widać było, że Reggie nie znajduje odpowiedniego argumentu.

- Dobra - mruknął w końcu, odwracając się do swoich komputerów. - Niech zostanie, byle mi nie przeszkadzała.

Kathleen pokręciła głową.

- Och, jakże bym mogła odrzucić tak gościnną ofertę.

- Tylko nie nadużywaj mojej gościnności, pani. Ross zbył go machnięciem ręki i pociągnął ją do holu.

- Nie przejmuj się nim. To nieszkodliwy dziwak.

- Nie martw się, dam sobie radę. Mam gorsze problemy.

- Powinnaś być tu bezpieczna. Wrócę jak najszybciej. I mam nadzieję, że z dobrymi wieściami.

- Ja też mam nadzieję - odparła, nie patrząc mu w oczy. Uniósł jej podbródek placem, zmuszając, by spojrzała na niego.

- Na pewno znajdziemy wyjście.

Przytaknęła z wysiłkiem. Dałaby wszystko, aby mieć jego wiarę.

Roztarta dłonią gęsią skórę na ramieniu. Nie powinna tak tu stać. Powinna się ruszyć.

Ross wpatrywał się w Kathleen przez długą chwilę, a potem chwycił w objęcia i pocałował. Zarzuciła

mu ramiona na szyję i na moment zapomniała o całym świecie. Syciła się jego smakiem, jego zapachem. Nie chciała go puścić i nie chciała przyznać się przed samą sobą, dlaczego to robi.

Kiedy wreszcie odstąpił od niej, poczuła się nieskończenie samotna.

- Niedługo wrócę - zapewnił.

Skwitowała jego słowa krótkim skinieniem głowy i patrzyła, jak odchodzi, usiłując zignorować nieznośny alarmowy brzęczyk w mózgu i bolesny ucisk w żołądku. Błąd. Ogromny błąd.

Brancato nawalił.

Newcomb tkwił nerwowo przy biurku; napięcie narastało w nim z każdym wybiciem zegara. Nie miał potwierdzenia, ale instynkt podpowiadał mu, że przeczucie jest prawdą. Brancato nie odmeldował się. Nie odpowiadał na telefony. Jeśli miałby już tę kobietę, dawno by o tym zawiadomił. Musiało się stać coś złego. Znów.

Na szczęście Newcomb miał na podorędziu parę planów awaryjnych. Jeden z nich dotyczył Rossa. Newcomb do dziś nie mógł sobie wybaczyć pomyłki. Sądził, że Ross chce mieć z głowy Chastaina i Taylora i opętany tą myślą nie dojdzie, że najważniejsza w grze jest kobieta. Nadal wołał się łudzić, że Ross nie wie, lecz coraz mniej wierzył w tę opcję. Gorzej, zdawał sobie sprawę, że się myli, lecz nie miał na tyle siły, by zrobić to, co należało.

Jasne, Taylor nie żył i istniał cień nadziei, że Ross poprzestanie na tym, czego najbardziej pragnął i nie będzie drażył dalej.

Kiedy zadzwonił telefon, rzucił się do aparatu, ignorując spojrzenia współpracowników z komisariatu, którzy nie podejrzewali, że potrafi tak szybko się ruszać.

- Newcomb - rzucił do słuchawki.

- Detektyw Newcomb? Tu Adele Abramowitz. Czy to pan pytał mnie o jednego z moich sublokatorów?

Bez trudności skojarzył głos starszej kobiety, mówiącej konspiracyjnym szeptem. Ktoś tu naoglądał się za dużo kiepskich filmów policyjnych - w tym wypadku była to dozorczyńni apartamentowca, w którym mieszkał Reggie Harris. Namierzył ją przy okazji śledzenia kontaktów Rossa w mieście. Newcomb wiedział, że ten gość dostarcza Rossowi najważniejszych -informacji - i miał przewagę, gdyż Ross nie był tego świadom.

Poczuł przyływ podniecenia, ożywiający uspięne nadzieje.

- Tak, to ja, pani Abramowitz. Co mogę dla pani zrobić?

- Prosił pan, abym powiadomiła, jeśli ktoś przyjdzie do Reggie'ego Harrisa, prawda? - Wypowiedziała to nazwisko z nieukrywanym niesmakiem. - Byłam czujna, tak jak pan zalecał.

Jasne, że była. Stara, wścibska jędza. Co innego miała do roboty, niż śledzenie na monitorze wejść i wyjść lokatorów?

Zauważył, że Crandall zerka na niego znad swojego biurka. Newcomb zniżył głos i przysunął słuchawkę do ust.

- Jest tam ktoś teraz?

- Tak, kobieta i mężczyzna. Weszli po cichu od tyłu, jak gdyby chcieli, żeby nikt ich nie widział. Tych drzwi używają tylko lokatorzy, więc myślę, że sam im otworzył.

Ciśnienie krwi Newcomba podskoczyło niebezpiecznie. Niech to szlag! Ross przywiózł dziewczynę do Nowego Jorku.

- Przyjrzała się pani dokładnie tej kobiecie? Czy ktoś ją rozpoznał?

- Nie. Miała wielkie słoneczne okulary i apaszkę na szyi jak gwiazdy filmowe. Newcomb poczuł ulgę. Dzięki Bogu za drobne laski.

- W porządku. Proszę obserwować, czy nie wychodzą. Wkrótce u pani będę. Crandall znalazł swojego biurka patrzył, jak Newcomb odkłada słuchawkę.

- Coś się dzieje, Ken?

Newcomb odjechał do tyłu w swoim fotelu na kółkach i wstał.

- Muszę wyjść na chwilę. Nie wiem, czy zdążę dziś wrócić.

- Może pojechać z tobą? Detektyw pokręcił głową.

- Nie, to sprawa w pewnym sensie osobista. Sam muszę się nią zająć. Jak zwykle.

Martin Crandall odczekał, aż Newcomb wyjdzie z sali, po czym wstał i szybko ruszył do wyjścia. Nie poszedł w kierunku, w którym udał się Newcomb, do garażu. Nie musiał. Usłyszał wszystko, czego potrzebował.

Abramowitz. Dozorczyni apartamentowca w Brooklynie, z którą Newcomb rozmawiał parę dni temu. Crandall monitorował jego rozmowy i miał namiary. Ułamek konwersacji, który zdołał podsłuchać i reakcja Kena powiedziały mu wszystko. Ross i kobieta byli w mieście.

Chastain był w domu, kiedy zadzwonił telefon. Nic nowego. Ostatnio ciągle był w domu. Nie mógł prowadzić interesów tak, jak chciał. Ludzie go unikali, odwoływali spotkania, nie chcieli się umawiać. Boże, jak tego nienawidził! Musiał zaprzestać bywania w firmie i usiłował kierować nią z domu. Jego luksusowy apartament coraz bardziej wydawał mu się więzieniem - bardziej realnym niż to, którym mu grożono.

Na szczęście miał jeszcze paru lojalnych współpracowników.

- Ona tu jest.

Te trzy słowa momentalnie odmieniły nastrój Chastaina. Energicznie wyprostował się w fotelu.

- Gdzie?

- Ross przywiózł ją do jednego ze swoich kontaktów w Brooklynie. Tam teraz są. Newcomb już jedzie. Chcesz, żebym pojechał za nim?

- Nie. Ona jest moja. - Zabita dziewczyna zbyt gładko wymykała się pogoni. Musi dorwać ją sam.

- Daj mi adres. - Szybko zanotował go, a potem odłożył słuchawkę i wstał zza biurka.

Kathleen Mulroney za długo sprawiała mu kłopoty. Niestety, nie umrze dzisiaj - w tym względzie nie miał wyboru.

Co nie oznacza, że nie odpłaci jej tak, jak na to zasługuje.

- Zaraz to zrzucisz! - warknął Reggie, wrogo zerkając na nią przez ramię.

- Przepraszam - wymamrotała Kathleen. Nie mogła usiedzieć w miejscu i chodziła w kółko po mieszkaniu. Źle znosiła bierne oczekiwanie na rozwój wydarzeń i przymusowa bezczynność doprowadzała ją do szaleństwa.

Nie liczyła, że Ross powróci z dobrymi wieściami. Chciała tylko, aby w ogóle wrócił, by mogła spędzić z nim czas, który jej jeszcze pozostał.

- Nie przepraszaj. Po prostu wyjdź stąd. Zatrzymała się i podniosła ręce do góry.

- Gdybyś miał tu kawałek wolnego miejsca, z przyjemnością wybyłabym tam i nie zabierała ci powietrza. Ale nie mam nawet gdzie usiąść.

- W łazience.

- Chyba nie mówisz o sedesie?

- Możesz usiąść na klapie.

- Rozumiem, że raczej nie miewasz tu gości.

- Nie są mi potrzebni. Tylko przeszkadzają. Nieświadomie zaczęła znowu chodzić, kręcąc się po ciasnej przestrzeni. Zobaczyła błysk irytacji na twarzy Reggie'ego. Otworzył usta, by wygłosić kolejną kąśliwą uwagę.

I wtedy usłyszeli ten zgrzyt. Tępy zgrzyt klucza obracanego dwa razy w zamku drzwi wejściowych. Ale przecież zamknęła drzwi za Rossem! Zamarli. Ich spojrzenia spotkały się i znieruchomiały.

- Oczekujesz kogoś? - spytała szeptem. Pokręcił głową.

- Nie.

- Kto ma klucze?

- Dozorczyni, pani Abramowitz - odparł głosem, w którym pojawił się strach. - Ta stara zołza ciągle grozi mi, że przyjdzie tutaj i sprawdzi, jeśli nie będzie mnie widziała przez dłuższy czas. Mam w domu sprzęt za ciężkie tysiące. Nie potrzebuję, żeby ktoś mi węszył.

- Kiedy ostatni raz ją widziałeś? Machnął ręką.

- Parę tygodni temu. Może miesiąc. Nie tęsknię za jej widokiem. Zaczekaj, zaraz ją spławię. Chwyliła go za rękę, niezdolna pozbyć się wrażenia, że coś jest bardzo nie w porządku.

- Reggie...

Już go nie było. Pobiegł do drzwi.

- Reggie, nie...

Ze swojego miejsca nie widziała wejścia. Zaczęła przesuwając się ku jedynej drodze ucieczki, oknom. Usłyszała szcęk odpinanego łańcucha i poirytowany głos Reggie'ego, otwierającego drzwi.

- Słuchaj, ty stara... Cisza.

I odgłos czegoś ciężkiego, upadającego na podłogę. Wstrzymała oddech, nasłuchując.

Usłyszała odgłos kroków, powolnych i czujnych, posuwających się wzdłuż korytarza.

To nie był Reggie. Równe, zdecydowane stąpnięcia w niczym nie przypominały płasających,

nerwowych kroków hakera, który nie miałby zresztą powodu się skradać.

Rzuciła się do okna, starając się poruszać jeszcze bardziej bezgłośnie niż ten intruz. Nie miała pojęcia, czy za oknem są schody przeciwpożarowe ani czy samo okno da się otworzyć, lecz musiała przynajmniej spróbować.

Nieznajomy zaczął poruszać się szybciej. Kathleen targnęła zasłoną i zobaczyła, że żaluzje są przyklejone do szyby.

Obróciła się błyskawicznie, rozglądając się za czymś, czym mogłaby rozbić szybę. W drzwiach salonu pojawił się mężczyzna. Zamarała.

Ewidentnie nie Reggie. Był łysy, z nadwagą, ubrany w nie-dopasowany garnitur, który potęgował jego niezgrabny wygląd. Twarz miał pobrużdżoną i obwisłą, a pod oczami worki. Sprawiałby żalotne wrażenie, gdyby nie dwoje zaskakująco niebieskich oczu o intensywnym spojrzeniu. W rękę trzymał pistolet. Nie wycelował w nią. Nie musiał.

Żadne nie poruszyło się. Przez długą chwilę po prostu patrzyli na siebie. Nie było o czym mówić. Wiedział, kim jest. A ona wiedziała, po co tu przyszedł. Na odległość śmierział policją. Kathleen odezwała się pierwsza.

- Gdzie jest Reggie?

- Zdrzemnął się. Wkrótce się obudzi. Trochę poboli go głowa, ale nic mu nie będzie. Dziwna była ta potrzeba zapewnienia, że nie zrobił Reggie'emu krzywdy, lecz dalsze słowa bynajmniej jej nie zdziwiły.

- Pójdiesz ze mną, dobrze?

Tak naprawdę nie było to pytanie. Obydwoje znali odpowiedź. Przepraszam cię, Ross.

- Tak - powiedziała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ross nie mógł się pozbyć niepokojącego uczucia, które pełzło mu po krzyżu, gdy wracał do mieszkania Reggie'ego. Nie miał dobrych wieści. W nieskończoność czekał, aż narzeczona Pete'a Crowleya wróci do domu, aby w dwie sekundy dowiedzieć się od niej, że wśród jego osobistych rzeczy nie ma żadnej płyty. Facet nie miał nawet komputera, więc nie przeoczyłaby czegoś takiego. Zupełnie bezsensownie wystawił Kathleen na niebezpieczeństwo.

Nie, nie bezsensownie. Musi być inny sposób. Wystarczy, że zastanowi się, komu jeszcze może ufać, do kogo się zwrócić.

Szedł po schodach do mieszkania Reggie'ego, gnębiony poczuciem zawodu, lecz jeszcze nie klęski. Nagle na trzecim podejściu stanął i wszystkie myśli uleciały mu z głowy. Drzwi mieszkania, uzbrojone w tyle przemyślnych zamków, były niedomknięte. Ruszył biegiem w górę i pchnął je z rozpędu. Łupnęły głośno, napotykać na opór. - Cholera, Ross, ty też chcesz mnie zabić?

Ross pociągnął klamkę ku sobie i ostrożnie wślizgnął się do środka.

Reggie podnosił się z podłogi, masując sobie głowę.

Ross klęknął przy nim.

- Co się stało? Gdzie jest Kathleen?

- Pewnie znikła.

- Co znaczy... znikła, co do diabła?

- Usłyszeliśmy, jak ktoś otwiera drzwi. Myślałem, że to dozorczyńni, bo tylko ona ma klucze. Poszedłem, żeby ją opieprzyć,

ale to nie była ona, tylko ten facet. Walnął mnie. - Ostatnie słowa zabrzmiały jak skowyt.

- Jak wyglądał?

- Duży. Starszy. Tłusty.

- Newcomb. - Ross zmełł w ustach przekleństwo. - Pewnie pokazał dozorczyńni swoją policyjną odznakę i wziął od niej klucze.

- To był gliniarz? Kurczę, złożę zażalenie na brutalność.

- Przyszedł tu poza swoimi obowiązkami. - Ross przeszedł do salonu, żeby się rozejrzeć. Reggie pokuśtykał za nim. - Nie ma śladów krwi ani śladów walki. Musiała pójść z nim z własnej woli.

- Skoro zgodziła się z nim wyjść, mogłem ją po prostu wypuścić. Nie musiał mnie walić.

- Nie chciała z nim iść. Nie dałaby mu się tak łatwo wyprowadzić, gdyby to był jeden z ludzi Chastaina.

- Dlaczego w takim razie nie stawiała się gliniarzowi, skoro nie chciała z nim iść?

- Bo uważała, że lepiej jest zostać pojmaną przez policję niż przez Chastaina.

- Co ten gliniarz chce z nią zrobić?

- Zabić ją.

- I to ma być lepsze niż Chastain?

- Kathleen tak myśli. Może sądzi, że uda się jej uciec. Na litość boską, Kathleen, próbuj uciekać!

Reggie pomacał się w głowę i jęknął, natrafiwszy na miejsce, w którym dosięgnął go cios.

- Co w takim razie robimy?

- Dokąd mógł zabrać ją Newcomb? Musi mieć pewność, że Kathleen zniknie na dobre i już nikt nigdy jej nie zobaczy.

- Czyli tam, gdzie będzie mógł pozbyć się ciała tak, aby nikt go nie znalazł?

- Jakaś prywatna posiadłość, gdzie na pewno nikt się nie pojawi. - Odpowiedź pojawiła się momentalnie. - Jersey. Ma ziemię w New Jersey. Chyba niedaleko od miasta. Muszę wiedzieć, gdzie to jest. Zaraz!

- To zajmie trochę...

Ross zebrał w garści przód koszuli hakera i szarpnął, aż Reggie uniósł się na palce i oczy wyszły mu na wierzch.

- Nie mamy ani chwili do stracenia. Jesteś mi to winien, Reg. Muszę wiedzieć, gdzie jest działka Newcoma.

- Okey, okey, znajdę ci to. Ross puścił go.

- Masz komórkę?

- Tak. A bo co?

- Daj mi.

Reggie, aż nadto szczęśliwy, że może wyjść z zasięgu jego rąk, rzucił się do biurka i za moment znalazł telefon pod stosem papierzysek. Ross chwycił komórkę i pospieszył do wyjścia.

- Przedzwoń mi adres.

- Dokąd jedziesz? - zawołał za nim Reggie.

- Do Jersey.
- Przecież nie wiesz konkretnie, gdzie.
- Ale kiedy zadzwonisz do mnie, będę bliżej celu.

Trzasnął drzwiami i za moment znalazł się przy samochodzie. Szlag, nie wiedział, ile Newcomb ma nad nim przewagi. Mógł już być na miejscu.

- Dwadzieścia pięć lat w służbie i ciągle widzieć, jak sukiny-syny, o których winie wie każdy, zawsze wychodzą na wolność. Chastain był gorszy od nich wszystkich, a my mogliśmy mu naskoczyć. Kathleen nie odpowiedziała. Newcomb perorował tak od chwili, kiedy wsadził ją do samochodu i zaczął wyjeżdżać z miasta.

Co gorsze, znów miała na rękach kajdanki. Jak można było oczekiwać, ciągnął dalej.

- On nie przestanie, przecież wiesz. Może być tylko gorzej. Ktoś musi go wreszcie zatrzymać. Patrzyła, jak szosa miga za oknem, kalkulując, co by sobie zrobiła, gdyby wyskoczyła teraz z jadącego samochodu. Zapewne ułatwiłaby zadanie Newcombowi. Pozostałoby mu tylko zawrócić i ukryć ciało. Musi istnieć inny sposób ucieczki. Może wykombinuje coś na miejscu, tam gdzie przywiezie ją Newcomb. Pomyślała, że musi się liczyć ze śmiercią.

Nagle uświadomiła sobie, że Newcomb przestał mówić. Uniosła głowę i zobaczyła we wstecznym lusterku, że raz po raz rzuca na nią spojrzenie, w którym lśni niezdrowa gorączka. Jeśli dotychczasowe zachowanie detektywa nie wystarczyło, by Kathleen nabrała przekonania, że ma do czynienia z niebezpiecznym

szaleńcem, dziki błysk w jego oczach upewnił ją o tym ostatecznie. Odwróciła głowę, usiłując nie patrzeć w jego kierunku.

- Rozumiesz, dlaczego muszę to zrobić, prawda?

- Nie wiem, co według ciebie powinnam odpowiedzieć. Potrzebujesz mojej zgody?

- Nie, raczej nie.

- Potrafisz to zrobić, detektywie Newcomb? Naprawdę jesteś zdolny mnie zabić?

- Myślisz, że nie zabijałem wcześniej? Nie żartuj.

- Jak Pete Crowley?

- Jak Pete Crowley.

- Musiał wiedzieć, że jesteś jednym z glin nie będących na żołdzie Chastaina i jak strasznie chcesz dopaść tego drania. Przyszedł do ciebie, a ty zastrzeliłeś go z zimną krwią.

- Dostał to, na co zasłużył. Nikt nie wie, ile zabójstw miał na swoim koncie.

- Uratował mi życie.

Powieki Newcomba zwęziły się w wąskie szparki.

- Nie przypominaj mi.

- A ja, detektywie? Ja też zasłużyłam na śmierć? Nie odpowiedział i nie patrzył na nią. Wyczuła, że zyskała punkt.

Musiała kuć żelazo póki gorące.

- Nie zabijałeś niewinnych osób, prawda, detektywie Newcomb? Nie wierzę w to. - Przyjęła jego milczenie za potwierdzenie. - Zgadza się, detektywie?

- Sama odpowiedziałaś sobie na pytanie. Jestem funkcjonariuszem policji kryminalnej. Moim powołaniem jest znajdowanie szumowin takich jak Chastain i oczyszczanie z nich miasta.

- W granicach prawa. Walnął pięścią w kierownicę.

- Próbowałem. Wszyscy próbowaliśmy. Ale nie mam już innego sposobu i Bóg mi świadkiem, zrobię to.

- Bo Ross nie byłby w stanie? A myślałeś, że mógłby, detektywie? Zabić mnie, kiedy dowiedział się prawdy?

- Nie życzyłem mu, aby musiał to sprawdzać, ale tak, owszem, uznałem, że byłoby dobrze mieć kogoś, kto nienawidzi Chastaina równie głęboko jak my. Kogoś, kto wie, jak ważne jest usadzenie tego łotra.

- Nie doceniłeś go.

- Przeceniłem go. Nie sądziłem, że straci głowę z powodu jakiejś kiecki. Więc musiałem wziąć sprawy w swoje ręce.

- Nawet jeśli oznacza to, że nie będziesz lepszy niż Chastain?
- nie ustępowała.

- Jedna śmierć w porównaniu z kilkunastoma? Dużo by mi brakowało!

- Morderstwo jest morderstwem, detektywie.

- Chastain morduje dla siebie. Ja próbuję ocalić innych ludzi. Pomyśl, o ile bezpieczniejszy będzie świat, gdy ten potwór znajdzie się za kratkami!

Kathleen znów przymknęła oczy. Przerażała ją świadomość, że jeszcze parę dni temu zapewne przyznałaby mu rację. Nic nie było ważniejsze niż zobaczenie, jak Chastain w końcu dostaje to, na co zasłużył. I gotowa była poświęcić się dla tej sprawy.

Lecz wszystko się zmieniło. Teraz wiedziała, że nawet zemsta nie jest warta jej poświęcenia. Zresztą już nie chciała umierać. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, własne życie zaczęło dla niej coś znaczyć.

- Nie musisz tego robić. Istnieje płyta z plikami, które i skopiowałam tamtego wieczoru, kiedy do mnie strzelał. A w nich sprawozdania finansowe, dokumentujące nielegalne interesy Chastaina. To wystarczy, aby go skazać.

Roześmiał się kpiąco.

- Dobra, nawet gdybym uwierzył, że istnieje taki cudowny dowód, i tak by mi nie wystarczył. Degenerat, który ma tyle zabójstw na sumieniu, miałby zarobić nędzne parę lat za malwersacje finansowe i odbębnić wyrok w luksusowej celi, bo stać go na to? Osądzony za zwykłe przekręty białych kołnierzyków? Wolne żarty! Musi być tak, jak powiedziałem. Nie ma innego sposobu. Kathleen, świadoma, że niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej sama myślała podobnie, nie czuła się na siłach oponować.

- Nie masz racji - mruknęła. - Wiesz, że nie masz.

Jechali milę za milą, oddalając się od miasta, od Rossa. Zastanawiała się, kogo Newcomb próbował przekonać - ją czy samego siebie.

Ross przyglądał się każdemu pojazdowi, który wyprzedzał na trasie do New Jersey. Raczej nie liczył, że zdoła nadrobić dystans

do Newcomba, ale nie rezygnował. Lepsza była taka opcja niż myślenie, czy aby nie zmierza w złym kierunku.

Albo czy Kathleen jeszcze żyje.

Nie, taka możliwość w ogóle nie ma prawa zaistnieć.

Zadzwoiła komórka. Odebrał, zanim zdążyła odezwać się ponownie.

- Powiedz, że masz.

- Mam. - Reggie pospiesznie podał adres. - Potrzebujesz wskazówek, jak dojechać?

- Podaj na wszelki wypadek.

Przytrzymując podbródkiem telefon przy uchu, Ross nabazgrał wskazówki na kawałku papieru, który położył wcześniej na przednim siedzeniu. Nie był nawet pewien, czy chodzi o to miejsce. Ale przynajmniej coś miał.

- Dzięki, Reg. Zadzwoń do policji stanowej z New Jersey. Powiedz im, że porwano kobietę, że jej życie jest w niebezpieczeństwie i przyślij ich tam.

- Rozumiem. Jesteś pewien, że on tam właśnie z nią jedzie?

- Niczego nie jestem pewien. Ale to jedyne, co mam. Wyłączył się i rzucił komórkę na siedzenie, wciskając gaz do podłogi. Miał jeszcze dobre pół godziny jazdy do działki Newcomba. Zamierzał pokonać ten dystans w dziesięć minut, nie więcej.

Ostatecznym celem ich jazdy był niezabudowany kawałek terenu, położony w pewnej odległości od autostrady w Północnym Jersey. Działka, obramowana ze wszystkich stron drzewami, była malowniczym miejscem. Obecność autostrady w oddali

zaznaczała się jedynie lekkim poszumem. W innych okolicznościach Kathleen uznałaby to miejsce za przyjemne i spokojne. Całkiem odpowiednie jako miejsce jej ostatniego spoczynku. Newcomb zaparkował w pobliżu drzew i zgasił silnik.

- Wysiadaj.

Wyjął kluczyk ze stacyjki i sam zaczął wysiadać.

Zawahała się, rozważając gorączkowo, czy nie zatrzasać mu drzwiczek przed nosem i nie zamknąć ich, zanim zdoła ją powstrzymać. A potem, gdyby udało się jej podłączyć stacyjkę na krótko... Newcomb znieruchomiał z jedną nogą na ziemi i popatrzył na nią wściekły.

- Powiedziałem: wysiadaj! - warknął, podkreślając rozkaz wymownym gestem lufy. Nie miała wyjścia. Musiała posłuchać.

Ani na moment nie spuszczał z niej wzroku, kiedy wysiadł, a potem podszedł do bagażnika i otworzył go. Wolną ręką wyciągnął szpadel i zatrzasał klapę łokciem. Z jakiegoś powodu Kathleen uznała łopatę za przedmiot bardziej przerażający niż pistolet. Broń była tylko potencjalnym zagrożeniem. Narzędzie do wykopania dołu stanowiło aż nazbyt dobitne poświadczenie groźby. Newcomb machnął lufą ku drzewom.

- Teraz idź.

- Dokąd?

- Tam, na łąkę.

Zrobiła, jak kazał, choć bezustannie rozglądała się czujnie i skrycie. Czy powinna zaryzykować i skoczyć między drzewa? W pierwszym momencie zyska przewagę, ale dogoni ją, niestety. Jednak było to jakieś wyjście. Mogłaby po prostu biec, najszybciej jak potrafi. Czy strzeli jej w plecy? Czy jest z tego gatunku?

A może uda się uciec? Czy przeciwnie, na razie nie powinna niczego robić i tylko czekać?

Newcomb zbliżył się do niej od tyłu i oparł jej lufę na karku. Nerwowo ruszyła do przodu i poczuła mocniejszy nacisk stali.

- Ruszaj się.

Znaleźli się na łące. Trawa, zniszczona pierwszymi przymrozkami, nie była wysoka. Niskie promienie popołudniowego słońca oblewały okolicę ciepłym blaskiem.

Nerwowy śmiech zagulgotał w gardle Kathleen. Nie mogła sobie wybrać przyjemniejszego miejsca na własną śmierć.

Nie zdążyli wejść daleko w łąkę, gdy poczuła, że lufa cofnęła się z jej karku.

- Odwróć się.

Posłuchała. Stał parę kroków od niej, z wycelowaną bronią w jednej ręce i szpadłem w drugiej. Upuścił go na ziemię. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

Nic nie powiedział. W zaciśniętych szczękach była determinacja, lecz w resztkach dziennego blasku dostrzegła, jak bardzo jest zmęczony. Wyglądał, jakby uszła z niego cała energia. Kathleen pojęła, że ma szansę.

Nie miał interesu, żeby odwlekać egzekucję czy darować jej życie. A jednak trwał w bezruchu.

- Nie musisz tego robić - powiedziała, usiłując nadać swojemu głosowi brzmienie na tyle spokojne, na ile mogła się zdobyć, widząc wycelowaną w siebie lufę i palec spoczywający na spuście.

- Muszę.

- Tak samo jak ty chcę, aby Chastain zapłacił za wszystko, co zrobił. Znajdziemy jakiś sposób, żeby go usadzić.

Gniew błysnął w oczach detektywa.

- Nie ma innego sposobu. Pięć lat polowałem na niego i miałem w rękach same trupy, podpisane jego nazwiskiem. Uważasz, że nie skorzystałbym z innego wyjścia, gdyby tylko istniało? - Zmęczonym gestem pokręcił głową. - Nie mogłaś trzymać się od tego z daleka? Musiałaś pozwolić, żeby cię znaleźli?

- Mogę znów się ukryć.

- Jasne, i znów dać się namierzyć! Nie ma mowy. Trzeba z tym wreszcie skończyć. Wypowiedział te słowa z taką determinacją, że mimowolnie odstała krok w tył. Szczęknął odciągany bezpiecznik. Newcomb wycelował jej w głowę.

Nie była zdolna wykonać ruchu. Nie była zdolna wypowiedzieć słowa. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wylot lufy.

Kathleen czekała na strzał. Czekala na ogłuszający huk, który odbije się echem wśród drzew. Jej ciało zeszywniało w najwyższym napięciu.

Nie spodziewała się, że oczy wyjdą Newcombowi z orbit, a szczęka opadnie w totalnym zaskoczeniu. Usta poruszyły się bezgłośnie, formując słowa, które nie zdążyły zostać wypowiedziane. Zachwiał się i padł ciężko u jej stóp.

Plama krwi szybko powiększała się na jego plecach. Kathleen wpatrywała się w całą scenę przez nieskończenie długą chwilę. Wreszcie zmusiła się, żeby unieść wzrok.

Price Chastain stał o kilkanaście kroków od niej, a jego pistolet celował teraz w nią. Nie zwracał uwagi na człowieka, którego przed chwilą zabił, nawet nie spojrzał na ciało leżące przed nim na ziemi. Patrzył tylko na nią, z twarzą zaciętą w tłumionym gniewie. Wreszcie uśmiechnął się. - Witaj, Kathleen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wyglądał tak samo jak przed rokiem, kiedy stali naprzeciw siebie w uliczce - z tym samym chłodnym i aroganckim wyrazem twarzy, nie naznaczonej stresem ani wiekiem. To budziło w niej gniew i zarazem rozczarowanie. Oczekiwała - miała nadzieję - że ten rok wyrze na nim jakieś piętno, tak jak na niej. Mógłby przynajmniej wyglądać na bardziej zmęczonego. Tak byłoby sprawiedliwie. Ostatniej myśli uczepiła się jak jedynej nadziei - że w tym wszystkim musi być jakaś sprawiedliwość. Głos miał również ten sam. Pamiętała go aż za dobrze. Brzmiał nieznacznie protekcyjnie, jakby król zniżał się do rozmowy z pospolitym poddanym i wyraźnie dawał mu to odczuć. - Proszę, proszę, co ja widzę... Kathleen we własnej osobie, cała żywa i zdrowa. Muszę ci powiedzieć, że przez ostatnie parę miesięcy porządnie napsułaś mi krwi.

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Mogła tylko wpatrywać się w człowieka, który zrujnował jej życie. Nienawidziła go od tamtej chwili, ale dopiero teraz, stojąc znów przed nim, dławiąc się od żalu i furii, przepalających jej duszę jak żrący kwas, zrozumiała, że nienawidzi go straszliwie.

Wyszedł spomiędzy drzew z nikłym uśmiechem, igrającym na wargach.

- Nie wydajesz się uszczęśliwiona moim widokiem. Doprawdy dziwne. A ja przeciwnie, jestem zachwycony.

- Nie wątpię - burknęła.

Z każdym jego krokiem w jej stronę usztywniała się coraz bardziej.

- Musiałaś słyszeć o tym pieprzonym procesie, który mnie czeka. Władze z jakichś powodów uważają, że to ja cię zamordowałem.

- Ciekawe, skąd im to przyszło do głowy - stwierdziła zjadliwie. Ciągnął dalej, jakby jej nie słyszał.

- Zabawne. Na pewno o tym słyszałaś, ale nie zrobiłaś nic, żeby wyciągnąć mnie z tarapatów.

- Naprawdę uważasz, że powinnam? Udał zaskoczenie.

- Ależ jasne. Wydawało mi się, że twój braciszek był przekonany o swoim posłannictwie. Musiał to przejąć od ciebie.

Z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie rzucić się na niego i nie zdrapać mu pazurami z twarzy tego obrzydliwego uśmiešku.

- Nie mów mi o moim bracie!

- Przypomnij mi, jak miał na imię. Jimmy?

- Jak śmiesz je wypowiadać!

Pierwszy błysk wściekłości zmaćił gładki, konwersacyjny styl Chastaina. Uśmiech znikł, zastąpiony okrutnym grymasem.

- To był zawsze twój problem, Kathleen. Nigdy nie pilnowałaś swojego miejsca w szeregu. Ty i ten twój niewydarzony braciszek. Więc przypominam ci, że znów trzymam broń i mogę powiedzieć ci, co tylko zechcę, a ty masz słuchać.

- A takiego! - Nie ucieszyło jej, że na ułamek sekundy szerzej otworzył oczy, zaskoczony jej arogancją. Posłała mu własny, protekcyjnalny uśmiešek i zaczęła powoli, krok po kroku, przesuwać się w stronę drzew.

Chastain mierzył do niej przez cały czas.

- Wracaj tu.

- Nie.

Odciągnął bezpiecznik i wycelował w jej głowę.

- Powiedziałem, wracaj.

- Bo co? Bo mnie zastrzelisz?

- Nie prowokuj mnie, Kathleen!

- Wiem, że mnie nie zastrzelisz. Potrzebujesz mnie żywej. To jedyny sposób, aby udowodnić, że mnie nie zabiłeś.

- Nie ma różnicy, czy dostarczę cię żywą, czy niedawno zastrzeloną. Tak czy owak będzie jasne, że nie zginęłaś rok temu.

- Jasne. Zawleciesz trupa do sądu i wszyscy dowiedzą się, że tym razem naprawdę to zrobiłeś.

- Nie muszę pokazywać się w sądzie, żeby udowodnić swoje. Wystarczy, że twój trup wypłynie w jakimś publicznym miejscu. Zapomniałaś, iż mam sporą wprawę w pozbywaniu się zwłok tak, aby nie powiązano mnie z nimi.

- Ale w ocenianiu, czy są naprawdę martwe jesteś kiepski.

Tak wściekły grymas wykrzywił jego twarz, iż Kathleen zdziwiła się, że jeszcze nie wpakował jej kuli. Nie strzelił, lecz przez cały czas trzymał ją na muszce.

- Istotnie, większą korzyść będę miał z ciebie żywej. Co nie znaczy, że nie mogę posłać ci kulki w parę cennych części ciała. Kto mnie za to potępi? Po tym, w co mnie wpędziłaś? Chwilowa niepoczytalność bardzo tu pasuje. Jestem nawet w stanie przekonać tych tępych idiotów z departamentu policji, że to nie ja

do ciebie strzelałem. Twoje słowo przeciwko mojemu, a nie do końca można ci ufać, prawda, Kathleen? Przecież przez cały okrągły rok okłamywałaś wszystkich, udając, że nie żyjesz.

Powinna się domyślić, że coś kombinuje, bo dziwnie się rozgadał; powinna wcześniej zauważyć, jak chyłkiem zerka w bok. Dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w głowie Kathleen, każąc jej zwolnić, kroku. Z początku nie wiedziała, o co chodzi. Wtedy uśmiech Chastaina powrócił.

- Albo zastrzelę jego.

Patrzyła z totalnym przerażeniem, jak robi błyskawiczny półobrót, biorąc na muszkę nowy cel -mężczyznę, który cicho wyłonił się pomiędzy drzew za jego plecami.

Ross.

Zamarła. Kompletnie straciła zdolność ruchu.

Trzymał broń w ręku, lecz nie była wycelowana. Nie miał szans, aby strzelić pierwszy. Dotąd się nie bała. Chastain mógł ją postrzelić, ale nie zabić i to dawało jej przewagę. Teraz dopiero zrozumiała, co to znaczy strach.

Spojrzenie Kathleen napotkało spojrzenie Rossa. W jego oczach dostrzegła lęk równy jej lękowi. Chciała krzyknąć do niego, wściekła, że bezsensownie naraża się na śmierć.

Nieprawda, w tym postępowaniu był głęboki sens. Dla niego zrobiłaby dokładnie to samo. I to przerażało ją najbardziej.

- Rzuć broń, Ross - rozkazał Chastain, znów przenosząc celownik na Kathleen. - Nie zabiję jej, ale mogę na przykład odstrzelić jej nogę.

Rozpaczliwie spojrzała na Rossa. Jej oczy mówiły: Nie rób tego!

Muszę... - Głośno, wyraźnie odebrała przekaz. Ross wyprostował palce i pistolet upadł na ziemię. Rozległ się śmiech Chastaina.

- No i co, Kathleen? - zagadnął szyderczo, cofając się o parę kroków, aby mieć oboje na muszce. -Przekonajmy się teraz, jaka jesteś dobra. Albo pójdziesz ze mną z własnej woli, albo będziesz uciekać, lecz wtedy zabiję Rossa. On zasługuje na kulkę między oczy jeszcze bardziej niż ty. Więc jak? Zechcesz ocalić własną skórę kosztem jego śmierci?

- Nie rób tego, Kathleen! - zawołał Ross głosem spokojnym i pewnym.

Nie było znać po nim strachu ani rozpacz. Dostrzegła je tylko w jego oczach. Bał się o nią.

- Muszę - wybąkała, nie kryjąc drżenia głosu. - Inaczej on cię zabije.

- Kam...

- Ross, zamknij się - rzucił Chastain. - Pozwól damie samej decydować.

- Zgoda - powiedziała. Nie była w stanie dłużej patrzeć na Rossa. Zmusiła się, by przenieść spojrzenie na Chastaina. - Pójdę z tobą, jeśli puścisz go wolno.

Momentalnie pojęła, że zdradziła za dużo. Oczy zwęziły mu się w szparki, kiedy zmierzył ją chłodnym, wyrachowanym spojrzeniem. Zobaczyła w nich okrutny błysk, który знаła już wcześniej. Wiedziała, co powie, zanim otworzył usta.

- Idiotko, pójdziesz ze mną tak czy nie tak. Bo, jak słusznie powiedziałaś, potrzebuję cię. Uśmiechnął się okrutnie.

- Natomiast nie mam powodu, aby darować mu życie. Przeciwnie.

Czas zwolnił, odmierzany dzikimi uderzeniami serca, a każda sekunda zdawała się być wiecznością.

Ross rzucił się w przód, jakby nie rozumiał, co za chwilę może się stać.

Uśmiech Chastaina pogłębił się.

Kathleen otworzyła usta do krzyku.

Chastain zacisnął szczęki i skoczył w stronę Rossa.

Ross zamarł w miejscu.

Minęło zaledwie parę sekund, ale widziała każdy szczegół wyraziście, jak na zwolnionym filmie. To było to. To było wszystko.

Widziała, jak Chastain zabija Jimmy'ego, bezbronного chłopaka, który nie miał żadnej możliwości ucieczki.

Znów była w uliczce w deszczową noc i jak wtedy patrzyła w wylot lufy, wiedząc, że zaraz umrze i że nic nie powstrzyma zabójcy.

Jednocześnie stała tu, patrząc na mężczyznę, którego pokochała, a który zaraz miał zginąć. Ale tym razem o kilkanaście kroków od niej leżała odbezpieczona broń.

Zanim myśl zdążyła sformować się w głowie Kathleen, już była w ruchu, już pędziła do pistoletu Newcomba. Z sercem eksplodującym w piersi, z dzikim łomotem pulsu w uszach, chwyciła broń i klęcząc wycelowała w Chastaina. Pociągnęła spust.

Wystrzał targnął ciałem Kathleen. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że ręce zostaną wyrwane z barków. Cudem udało się jej pozostać na kolanach.

Ciało Chastaina odskoczyło w tył wielkim łukiem, impet nieomal oderwał je od ziemi. Krew trysnęła z piersi. Ręka trzymająca broń poderwała się, pomijając Rossa, ku niej. Na twarzy Chastaina okrutne rozbawienie zastąpił grymas furii. Zaczął obniżać lufę, celując w Kathleen. Mocniej zacisnęła dłonie na kolbie i pociągnęła spust.

Ciało wroga zadrgało spazmatycznie i szarpnęło się w przód i w tył, uderzone siłą eksplozji. Kolejna szkarłatna plama rozlała się na koszuli. Wrzasnął strasznym, wysokim głosem, który rozszedł się po całej łące. Ból gwałtownie zmienił rysy jego twarzy, by już po sekundzie zastygła w masce agonii. Ich spojrzenia spotkały się z daleka. W oczach Chastaina płonęła dzika nienawiść. Tylko że nie wiedział, co naprawdę znaczy nienawiść. Znów nacisnęła spust.

Ross zobaczył broń Chastaina przesuwaną się w jego kierunku o ułamek sekundy za późno. Spiał się w oczekiwaniu trafienia. Nie nastąpiło.

Kolejne wystrzały odbijały się echem w jego głowie. Mięśnie całego ciała napięły się w oczekiwaniu na ukąszenia kul i eksplozję bólu rozrywanych impetem kuli mięśni, miażdżonych kości.

Huk rozplynął się i ucichł. Stopniowo uświadomił sobie, że jedyny ból, jaki odczuwa, wynika z potwornego napięcia całego ciała, zamarłego w wyczekującym bezruchu. Wreszcie dotarło do niego, że jest żywy i cały.

Powrócił do rzeczywistości w samą porę, aby zobaczyć, jak Chastain, chwycąc się na nogach, z gorseem koszuli

przeziąkniętym krwią, z twarzą zastygłą w szoku jak maska, z pustym spojrzeniem umierającego, osuwa się bezwładnie na ziemię i tam zastyga.

Natychmiast poszukał spojrzeniem Kathleen. Klęczała w tym samym miejscu co przedtem, z pistoletem w ręku, a jej palec raz po raz naciskał spust, choć dawno skończyły się naboje. Ross zmusił odporne kończyny do ruchu. Podszedł do niej i łagodnie położył dłoń na jej rękę.

- On nie żyje.

Potrzebowała dobrych paru chwil, aby zrozumieć sens jego słów. Palec zsunął się ze spustu, a chwyt dłoni, zaciśniętej na pistolecie rozluźnił się na tyle, że Ross mógł wyjąć Kathleen broń z ręki. Ani na moment nie odwróciła spojrzenia od miejsca, gdzie leżał Chastain. Wpatrywała się w trupa nieruchomym spojrzeniem, nie mrugając.

- To dobrze.

Powiedziała to obojętnie, bez emocji. Zaledwie słowa uleciały z jej ust, zaczęła trząść się na całym ciele. Fale dreszczy targaly nią tak gwałtownie, że upuściła pistolet i zachwiała się na kolanach. Byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Znał ten objaw. Była w szoku i dobrze to rozumiał. Z pewnością wiele razy w ciągu tego roku wyobrażała sobie moment, w którym zabija Chastaina tysiące razy. Jednak żadna, nawet najżywsza imaginacja nie dała się porównać z realnym aktem unicestwienia czyjegoś życia.

Przyłgnęła do niego, a Ross utulił ją w swoich ramionach. Nic nie mówił. Po prostu trzymał Kathleen, aż z oddali zaczął narastać dźwięk policyjnych syren.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bliźniacze, ziemne groby znajdowały się obok siebie przy krawędzi cmentarza. Na żadnym nie było napisu. Nieważne. Wkrótce miały tu stanąć dwa murowane nagrobki.

Kathleen dziękowała Bogu, że udało się jej załatwić pogrzeb Jimmy'emu, zanim zaczęło się dziać najgorsze. Już sama okrutna, niesprawiedliwa śmierć od kuli była straszna. A pochówek w anonimowym grobie dołożył jej dodatkowych cierpień.

Jesienny zmrok zapadał wcześniej i długie cienie położyły się na jeszcze zielonej murawie cmentarza. Nikogo więcej nie było, lecz Kathleen nie martwiła się tym. Potrzebowała tej chwili, kiedy mogła być sam na sam z mamą i z Jimmym. Niemal namacalnie czuła ich obecność.

Lecz nie tylko z tego powodu siedziała nad grobami długo po zmroku, aż ledwie majaczyły przed jej oczami. Był jeszcze jeden powód. Przed bramą, w swoim pikapie czekał Ross. Czekał na rozmowę, której oboje woleliby uniknąć. Przyszedł czas pożegnania.

Gdy wreszcie zrobiło się tak ciemno, że Kathleen prawie nie widziała już ziemi pod stopami, pochyliła się i położyła dłoń na mogile, obiecując, że wróci. I wiedziała, że dotrzyma obietnicy. Bo tylko to jedno było pewne.

Ross czekał na nią u podnóża pagórka. Popatrzyła na jego wyrazisty, mocny profil i jak zwykle serce zabiło jej szybciej. Dziś miała widzieć go po raz ostatni.

- Wszystko w porządku? - zapytał z niepokojem w głosie. - Stało się coś? Musiał mylnie odczytać uczucia z jej twarzy, a przecież bardzo usiłowała je ukryć.

- W porządku. Nagrobki będą gotowe w przyszłym tygodniu.

- To ładnie ze strony burmistrza, że z własnej inicjatywy zaproponował ci finansową rekompensatę. Uśmiechnęła się smutno.

- Bo chce, żebym się stąd jak najszybciej wyniosła razem ze swoją historią.

Gazety całymi tygodniami pastwiły się nad zbrodniczymi i skorumpowanymi miejscowymi glinami i rozpisywały się o sprzątnięciu z tego świata znieawidzonego Chastaina. Kąciki ust Rossa nieznacznie podjechały do góry.

- Tak też pomyślałem.

- W każdym razie cieszę się. - Pieniądze, oprócz opłacenia nagrobków, pozwoliły jej także spłacić zadłużenie, które zrobiła na kartach kredytowych Allie Freeman. Prokurator okręgowy również pragnął jak najszybciej zapomnieć o całej historii, toteż zgodził się nie stawiać Kathleen zarzutu o defraudację. Jeden kłopot mniej. - Dobrze, że ta historia wreszcie przestanie się za mną ciągnąć. Teraz będę mogła wyjechać stąd i zastanowić się, co dalej zrobić ze swoim życiem.

Ross wcisnął ręce w kieszenie.

- Istotnie, będziesz mogła wyjechać. Masz jakieś pomysły?

Stali naprzeciw siebie w niezręcznym milczeniu przez kilka długich sekund, a wokół szybko zapadały ciemności.

Kathleen wzruszyła ramionami.

- Pomysły? Nie mam. Ostatnie miesiące były totalnym szaleństwem...

- Na pewno chcesz wrócić do normalnego życia.

- Nie mam do czego wracać. Moje dawne życie skończyło się bezpowrotnie. Nie mam pracy, rodziny. Muszę zacząć wszystko od nowa.

- A co byś chciała? Masz jakieś konkretne plany? Musiało do tego dojść. Musiał zadać jej to pytanie.

- Zależy. Powiedz lepiej, jakie są twoje dalsze plany. Przez moment wydawało się jej, że coś drgnęło w jego pokerowej twarzy, ulotny cień nadziei, szybko jednak stłumiony. Westchnął i pokręcił głową.

- Nie mam ci nic do zaoferowania.

- Nie liczyłam na to.

- Kompletnie nie wiem, co mam zrobić ze sobą i ze swoim cholernym życiem.

- Ja też.

- Nie ciągnie mnie do ludzi.

- A kto ich potrzebuje?

- Jestem za stary dla ciebie. Uśmiechnęła się.

- Czterdzieści cztery to niewiele więcej niż trzydzieści trzy. - Jej żart nagle podgrzał temperaturę rozmowy.

W Rossa wstąpiła nadzieja. Postanowił zaryzykować. W razie czego zawsze może wszystko obrócić w żart.

Przysunął się bliżej, aż zobaczyła jego oczy, dziwnie błyszczące w świetle księżyca.

- Wiem tylko, że nie po to walczyłem o ocalenie twojego życia, bym teraz pozwolił ci zniknąć na zawsze z mojego.

- Przypominam ci, że to ja trzymałam broń, a ty byłeś bezbronny i wystawiony na strzały.

- Tym bardziej wolałbym mieć cię przy sobie i po mojej stronie. Już do końca moich dni będziesz musiała mnie bronić przed zbrojami.

- Niezły pomysł - przyznała radośnie. Wstrzymała oddech, niemal bojąc się uwierzyć. Wreszcie, po chwili długiej jak wieczność, napięte rysy twarzy Rossa złagodniały. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu doznała uczucia, o którym nawet nie śmiała marzyć, tak dziwnego, że przez moment nie potrafiła właściwie odczytać emocji, która pojawiła się w jej sercu. Co to jest? Uczucie nadziei?

Ross odstąpił krok w tył i wyciągnął do niej rękę. To było coś więcej niż oferta. To była obietnica. Nie wahała się dłużej. Wsunęła dłoń w dłoń mężczyzny i razem - jak przedtem, jak przez te wszystkie szalone dni - wkroczyli w mrok.

W ciemnościach nocy czy w świetle dnia - byle być razem z nim, pomyślała i odetchnęła z ulgą.